



01-523 W-wa

LWP

OCHNIK Genowefa

zam. Likowska

520/WSK

SPIS ZAWARTOŚCI TECZKI — OTCHNIK Genowefa

zam. Likowsko

T. 520/1954

I/1. Relacja ✓ k. 14, 5. 1-14

I/2. Dokumenty (sensu stricto) dotyczące osoby relatora ✓ k. 8, 5. 1-8

I/3. Inne materiały dokumentacyjne dotyczące osoby relatora —

II. Materiały uzupełniające relację ✓ k. 52, 5. 1-52

III/1 — Materiały dotyczące rodziny relatora —

III/2 — Materiały dotyczące ogólnie okresu sprzed 1939 r. —

III/3 — Materiały dotyczące ogólnie okresu okupacji (1939-1945) —

III/4 — Materiały dotyczące ogólnie okresu po 1945 r. —

III/5 — inne... —

IV. Korespondencja ✓

V. Nazwiskowe karty informacyjne ✓

VI. Fotografie ✓ szt. 4



1/1. RELACJA

- Relacja własna [b-d], mps, rękopis, kopia, k. 5, s. 1-5. Wpłynęło do fundacji w 1997r.
- G. Lichowska z d. Ochwik, Losy wojenne [b-d], mps, kopia, k. 9, s. 6-14



L o s y      w o j e n n e  
=====

I. POCHODZENIE, SYTUACJA RODZINNA, WYKSZTAŁCENIE DO 1939 Ró  
-----

Moje dane osobiste:

Urodziłam się w Borowinie Gąseckiej woj. Siódleckie 17.IV.1921. Moją ojciec Antoni Ochnik był bezrolnym robotnikiem rolnym; w 1924 r. wstąpił do Policji Państwowej i był starszym posterunkowym. Matka Zofia z d. Warpaś pochodziła z małorolnego gospodarstwa.

Ojciec z utęsknieniem czekał na emeryturę, która przysługiwała mu po 15 latach służby, gdy niezależnie od tego zaliczało się do wysługi lat służbę w armii rosyjskiej. Służbę policyjną podjął na krótko w Malczu pow. Próżna, a później w Czerniakowie, małej miejscowości na Polesiu. Później postarał się o powrót do Malcza, gdyż w Czerniakowie mieliśmy b. daleko do szkoły a kilka kilometrów przez las. Z Malcza w 1935 r. uzyskałam ze względu na czworo dzieci /ja zaczynałam naukę w gimnazjum/ przeniesienie do Kobrynia. Tam rodzice - po otrzymaniu przez moją matkę niewielkiej spłaty z gospodarstwa /za ca 3 ha/ kupili plac i przez trzy lata budowali dom dla rodziny. W 1938 r. dom był gotowy - wraz z dobrze zagospodarowanym ogrodem. Do 1939 r. zdołałam ukończyć cztery klasy gimnazjum - zdając tzw. <sup>Byłam także drużynową "młodszych dziewcząt" w ZHP.</sup> maturę.

II. WKROCZENIE SOWIETÓW

We wrześniu 1939 r. ojciec mój konwojował przesyłkę akt ewakuowanego starostwa w Kobryniu. Po drodze transport napadli uzbrojeni najconalniejsi ukraińscy. Wrócił wprawdzie do domu, lecz z ciężkimi kontuzjami w.in. głowy. Chorował. Sowieci odrazu go aresztowali. Matka chodziła "po ludziach" zbierając podpisy, że posterunkowy PP Antoni Ochnik był porządnym człowiekiem: nikogo nie krzywdził, nie nadużywał władzy, był uczciwym policjantem. Być może na początku bolszewicy liczyli się z takimi opiniami, i ojca zwolnili, lecz na krótko. Po kilku tygodniach ponownie aresztowali, i wkrótce wywieźli do Mińska. Konkretnych wiadomości o jego losie już nigdy nie dostaliśmy. Dwa lata później, gdy w Kazachstanie pracowałam w Delegaturze Ambasady RP mającej siedzibę w Akmoleńsku /było to coś na kształt konsulatu/ prowadziłam tzw. rejestr poszukiwanych. Jeden z interesantów słysząc moje nazwisko - powiedział, że przebywał w jednej celi z Antonim Ochnikiem. Pewnego dnia, gdy był on chory, zabrano go - bodaj w kwietniu 1940 roku "z rzeczami" - i już więcej nie wrócił.

III. DEPORTACJA NA SYBERIE

Moją matkę Zofię Ochnik, mnie oraz trzech młodszych braci - Kazimierza /1923 r./, Mariana /1925 r./ i Henryka /1926 r./ w dniu 13 kwietnia 1940 r. wysiedlono z Kobrynia i w trybie karnej deportacji powieziono transportem, oczywiście w towarowych wagonach - do północnego Kazachstanu.



Po dwutygodniowej podróży załadowano nas na ciężarówkę i wysadzono na posesji nr 27 w obwodzie i rejonie Akmoleńsk /dzisiejsza Akmoła, a poprzednio Celinograd/. Przewodniczący kolchozu oraz "komendant placówki NKWD" nakazał budowanie chałupki z samanów czyli z cegieł z nie-wypalanej gliny mieszanej ze słomą. Na początku przygarnęła nas rodzina Kubancewych - wysiedlonych Kozaków z Kubania, którzy gehennę "osiedlenia" w Kazachstanie przeżyli w 1936 r. Byli to wyjątkowo dobrzy ludzie, rzeczywiście rozumiejący nasze nieszczęście wywołane przez Sowietów.

Pracowałam jako robotnica w kolchozie, choć trudno byłoby mówić o zarobkach. Zarząd kolchozu starannie obliczał wydatki ponoszone na nasze <sup>wyżywienie - a ponieważ później zbiory były marne, bo mężczyźni powołano do wojska w czerwcu 1941 r. /a w ogóle było ich niewiele, bo kolchoz składał się z rodzin głównie bez mężów/ - okazało się, że rodzina Och-  
ników jest zadłużona wobec kolchozu. Wydawało się nam to czymś absurdalnym, lecz później - już w czasie studiów ekonomicznych po wojnie - dowiedziałam się, że taka metoda jest typową, stosowaną w gospodarce opartej na jawnej lub ukrytej pracy niewolniczej np. w Meksyku, Brazylii czy Paragwaju.</sup>

#### IV. REPRESJE, WIEZIENIE

Skutków tego zadłużenia już bezpośrednio nie odczułam, gdyż w połowie kwietnia 1941 r. aresztowano mnie <sup>NKGB</sup> ~~1941~~. Zostałam osadzona w więzieniu. Zarzucano mi zrazu, że "byłam terrorystką". Miałam mianowicie pobić osobę, która zdierała nasze /?/ plakaty o treści "Niech żyje 3 Maj - Precz z komunizmem!". Przebiegli oskarżyciele chyba nie wiedzieli, co to jest 3 Maja i uchwalona wtedy Konstytucja, a poza tym przeczyli, że jeśli owe plakaty miały być rozlepiane z okazji 3. maja - to akurat <sup>wówczas</sup> (od dwu tygodni) przebywałam w więzieniu. Był jeszcze inny surrealistyczny element śledztwa. Gdy śledczy usiłował wmawiać mi, że pi-  
sałam i rozlepiałam plakaty - powiedziały mi w przepisanej formie więziennej: "Obywatelu naczelniku, a skąd miałam wziąć papier na te ulotki i plakaty? Usłyszałam obelżywy okrzyk: "Małczy, ty..... mać!". Później rozwinięto oskarżenie, że uprawiałam szpiegostwo. Nie precyzowano na czyją rzecz, i w jaki sposób <sup>Y</sup> mieszkając na posesji nr. 27 /skąd nie wolno było samowolnie się oddalać/ w odległości ca 30 km od Akmoleńska miałam przekazywać wiadomości szpiegowskie i, <sup>co</sup> chyba najważniejsze - "o czym?". Tego typu abstrakcyjne oskarżenia nie były jednak wycofywane przez śledczych.

Trwało to <sup>Y</sup> mniej więcej do sierpnia 1941 r., gdy nastąpiła konfrontacja z konfidentką ~~██████████~~ NKGB ~~██████████~~, którą według postępowania śledczego rzekomo miałam pobić. Wypowiedziała ona wyuczono lekcję w ten mniej więcej sposób: "Tak, ja znam tę dziewczynę. Ona jest zepsuta poli-



tycznie do szpiku kości. Ona mówiła, że Polska będzie...". W tym momencie stało się coś dziwnego. Przesłuchujący huknął gniewnie pięścią w swoje biurko i wykrzyknął: ██████████ "Budźcie - nie budźcie, nie wasze dziecko, dawajcie dalsze!". Byłam głęboko oszokowana taką reakcją, gdyż stawiany przez konfidentkę zarzut trwania przy twierdzeniu, że "Polska nie zginęła" równał się zdrażie "Związku Sowieckiego. Już nie słuchałam, i chyba przesłuchujący nie za bardzo był zainteresowany następnymi zeznaniami konfidentki /zdaje się była to Białorusinka/, choć przecież sam nagrywał na jej taśmie pamięci te idiotyczne zarzuty. Czemu tak zareagował, odrzucając koronny dowód "zdrady Związku Sowieckiego"? Nie wiedziałam jeszcze o umowie Sikorski-Majski, no i że coś zaczęło się zmieniać w sprawach sowiecko-polskich. Jednak zanim fala zwolnień w formie, jak mi się zdaje eufemistycznie, oszukańczo nazwanej "amnestią" /bo przecież amnestia dotyczy faktycznie popełnionych przestępstw, a nie bezprawnych, bezasadnych oskarżeń/ - minęło parę miesięcy. Zwolniono mnie dopiero w grudniu 1941 r.

Po zwolnieniu znalazłam zatrudnienie jako rejestratorka w punkcie nawiązującym kontakty z zwalnianymi z obozów i więzień. Placówka ta pracowała w Akmoleńsku na rzecz powstającej armii pod d-ctwem gen. Andersa; wówczas jeszcze w Buzukuku. Działo się to za przyzwoleniem władz sowieckich. Organizatorem był p. Róża Holzman, przed wojną aplikantka adwokacka. Była Żydówką, co nieuchroniło ją przed ciężkimi represjami. W końcu ██████████ 1942 r. była aresztowana, osadzona w gułagu, w którym przebywała do 1957 roku... Oczywiście ze rzekome szpiegostwo, według ryczałtowego oskarżenia ██████████. Gdy już powstała w Akmoleńsku Delegatura Ambasady RP, przeszłam do identycznej pracy w ██████████ Delegaturze-Konsulacie. Nawiasem mówiąc p. Róża Holzman powróciła do Polski, a po paru latach wyemigrowała do Szwecji. Pracując w akmoleńskiej Delegaturze Ambasady spotkała mnie niewątpliwa prowokacja. Otóż pewnego dnia przyszło na korytarz dwu panów, którzy wywołali mnie z pokoju. Z przerażeniem stwierdziłam, że byli to oficerowie NKGB /odpowiednik późniejszego KGB/, którzy "chcieli porozmawiać". Wzięli mnie na podwórze, zapewne - aby wszyscy widzieli, a byli to oficerowie znani, gdyż zajmowali się sprawami Polaków. Manifestowali przyjazną życzliwość. Rozmawialiśmy /oni do mnie mówili/ ██████████ trzy najwyżej minuty. Po tym nieoczekiwanym spotkaniu ze swoimi niedawnymi prześladowcami pobiegłam do sekretarza Delegatury i opowiedziałam, co mnie spotkało, i że w takiej sytuacji nie będę dłużej pracować. Tymczasem okazało się po pewnym czasie, że jedna z pracownic sama powiadomiła Szefa Delegatury, że donosi NKGB o wewnętrznych sprawach i działalności placówki. Wizyta u mnie - miała odwrócić, tak myślę, podejrzania od niej. Delegatura natychmiast ową faktyczną konfidentkę wyekspediowała do Jingu-Julu, gdzie wówczas była główna kwatera armii polskiej gen. Andersa, a stamtąd do Persji. W Palestynie, tak głosiły pogłoski



ki, popełniła samobójstwo. Być może była szantażowana, lub jak się to w pewnym okresie mówiło "zastano ją w domu".

Później pracowałam w różnych przedsiębiorstwach, m.in. w spółdzielni metalowców, którzy dostarczali jakąś część do sprzętu wojskowego, a także przy pomiarach geologicznych. Jesienią 1942 r. przyjechał sierżant z armii polskiej z rozkazem zabrania mnie nad Morze Kaspijskie, by zaokrętować, o czym jeszcze nie wiedziałam - na wyjazd do Persji. Tymczasem w Petropawłosku w czasie czekania na odpowiedni pociąg - sierżant chciał zrealizować kartki na chleb. Przyszła milicja, kartki i nasze dokumenty zabrała. ~~W~~ Wojskowemu <sup>oddali</sup> kazali odjeżdżać - niestety bezemnie.

Tużylałam się po Petropawłosku a w końcu dowiedziałam się, że jest tu Delegatura Ambasady - więc ~~poszłam~~ poszłam po pomoc. Tam zaś był "koniekt" urządzony przez NKGB; był to już okres, gdy stosunki polskiego Londynu z Sowietami bardzo się pogorszyły. W ten sposób ponownie znalazłam się w więzieniu. Przeżyłam niewiarygodną gehennę, a m.in. pobicie przez bandytkę morderczynię, bo osadzono mnie między kryminalistkami. Opis byłby za długi, więc go pomiję. Pomijam zresztą jeszcze kilka innych przeżyć na stepach Kazachstanu. Po paru <sup>miesiącach</sup> powieszono mnie więziennym wagonem pod surowym konwojem <sup>do Akmauliska</sup>, gdzie rozpoczęłam kolejne półroczne więzienie - oczywiście z koronnym oskarżeniem "o szpiegostwo". Co szpiegować, i dla kogo - tego śledczy wogóle nie dochodzili. Przebywałam kilka razy w karczerze w strasznych warunkach, choć nie mogę powiedzieć, że mnie katowali fizycznie. Uderzyli tylko parę razy, gdy śledczemu nie wychodziło jego postępowania według tego - co sobie przed tym założył. Natomiast torturowano w inny sposób: prowadzono śledztwo w dzień i w nocy, przy obowiązkowym siedzeniu na samym skraju krzesła, przy nastawieniu ostrego światła prosto w oczy. Przeciwno mnie zeznawała na konfrontacji niejaką Iza Oskierko, piękna 23 letnia dziewczyna podobno z litewskiego rodu książęcego, o której powszechnie mówiono, że jest kochanką Delegata w Akmoleńsku p. Roli-Janickiego. Wyemigrowała do Brazylii, gdzie zmarła - jak mnie ktoś powiadomił.

W pewnym momencie - zimą, zostałam zwolniona w czasie niesłychanie ostrego mrozu i wiatru. Być może liczono, że nie dotrę nigdzie i zamarzną. Jakiś Kazach w tej strasznej ~~nie~~ śnieżycy pozwolił mi zostać w korytarzu <sup>na wielki chleb</sup>, co napewno uratowało mi życie. Nikt natomiast w więzieniu nie informował mnie, dlaczego mnie zwalniano. Później miałam przygody więziennych mniejszych kategorii, bo zostałam skazana za rzekomy "proguł" czyli uchylenie się od pracy, co było oparte na całkowicie fałszywych przesłankach. Pojechałyśmy z koleżanką do pracy na wyrąb lasu, a tam - dokąd nas skierowano nie było żadnego wyrąbu. Uczestników parodii sądu ten fakt zupełnie nie obchodził. Jednak zwolniono nas - razem z koleżanką - przed terminem. Był to podaj sierpień 1943 r. Wkrótce dostałam wezwanie do sta-



3/1/3

wienia się w wojenkomacie. Tam otrzymałam powołanie do armii tworzonej przez płk. Berlinga. Trzeba tu zaznaczyć, że do armii gen. Andersa - także mobilizował właściwy obszarowo wojenkomat; tyle, że działał przy nim łącznik z armii gen. Andersa.

#### V. W BATALIONIE KOBIECYM

Batalion Kobiety powstały równocześnie <sup>lub</sup> z niewielkim opóźnieniem z I dyw. im. Tadeusza Kościuszki - był w swym założeniu jednostką bojową przeznaczoną do walk na pierwszej linii frontu. Wydaje się, że dopiero później okazało się, że nie ma praktycznej możliwości wykorzystania tej jednostki w formie zwartej. Wprawdzie kilkanaście dziewcząt <sup>mlodych</sup> kobiet po przeszkoleniu oficerskim dowodziło plutonami a nawet kompaniami złożonymi z samych mężczyzn, i to z powodzeniem. Były także dzielnymi podoficerami w jednostkach bojowych, uczestniczących w walkach na froncie. Jednak ani razu batalion kobiety, a dokładniej: "dziewczęcy" - nie walczył jako całość.

Wybierano spośród nas kandydatki do szkół oficerskich - nie tylko do służby liniowej, lecz także jako oficerów "oświatowych" - co było eufemistycznym określeniem oficerów "polityczno-wychowawczych". Jednak - jeśli chodzi o praktykę - nowo przeszkolone kandydatki były z punktu widzenia socjologicznego - oficerami "oświatowymi", a nie politycznymi czyli wpajającymi coś w rodzaju prymitywnego marksizmu-leninizmu podległym żołnierzom. Podam, że nawet takie zadania nie tkwiły w programach działań i planach pracy tego typu oficerów, co wiem z własnego doświadczenia.

Wyższe funkcje oficerskie w batalionie kobiecym objęły <sup>o</sup> członkin  KPP, KPZB, KPZU /podaję tu formalne rozczłonkowanie polskich komunistów na rzekome trzy partie/. Były to jednak osoby, które w różny sposób ocalały się z pogromu polskich komunistów w Związku Sowieckim. Mogę powiedzieć, że wcale nie były nachalne z narzucaniem swojego typu myślenia, i nie za bardzo miały możliwości prze-wychowania nas na  myślenie z okresu, gdy w pełni ufały swojej utopijnej ideologii. Piszę o tym, gdyż właśnie jedna z dowódców kompanii wywodząca się z tego środowiska wytypowała mnie do szkoły oficerów <sup>o</sup>, jak się okazało - nie "oświatowych" a "polityczno-wychowawczych". Miałam, jak już podawałam, małą maturę - co zapewne ułatwiło wytypowanie. Potrzebowano nie tyle kandydatek "zaangażowanych" /o nie było doprawdy trudno/, ile poprostu mających nieco wykształcenia. Szeregowe batalionu były przeważnie po szkole podstawowej a nie rzadko po trzech lub pięciu klasach. Wiele problemów było dla nich całkowicie niezrozumiałych, co można było odrazu na początku stwierdzić.

Po męczącym, pełnym przeszkoleniu rekruckim <sup>o</sup> (dostrzeżono, że mam ni- co wyższy poziom wykształcenia i w pewnym momencie dano mi mundur offi



cerski ,Tak zostałam - chyba dziwnym ewenementem w I dyw.im.T.Kośc-  
ciuszki - "oficarem bez stopnia".Po paromiesięcznej szkole,gdy już za-  
znajomiliśmy się z teoriami stojącymi u podstaw istnienia tworzonoego w  
Związku Sowieckim - Wojska Polskiego - opanowałam odpowiednią fraze-  
ologię "oświatową" i "polityczną",umijając się nią posługiwać - nie bu-  
rząc moich własnych przekonań patriotycznych i innych. Wtedy zresztą b-  
ło dla mnie jasne, że droga wewnątrz Polskiej I ARMII WP wiedzie do Oj-  
czyzny, a napewno nie na wschód, spowrotem do Kazachstanu. Jak znam pogl-  
dy tych dziewcząt-żołnierzy - dla wszystkich powrót do Ojczyzny był  
fundamentalnym motywem akceptacji ubrania się w mundur - i zostania  
podkomendnym (wówczas już generała Berlinga. On miał być tym, który nas  
wywiedzie z sowieckiej niewoli. Hasła na naszych ziemiankach odwoływa-  
ły się do patriotycznych myśli: "Idziemy do Ciebie - Ziemi Matko Na-  
sza!" i podobne. Rano w zwartym szeregu śpiewano obowiązkowo "Kiedy ran-  
ne wstają zorze..." a wieczorem "Wszystkie nasze dzienne sprawy...". By-  
ło to w obyczaju żołnierskim - niewątpliwie Wojsko Polskie, tak myśla-  
łyśmy od samego początku i później. Dopiero w Lublinie mogły nas ogarnąć  
inne myśli.

Szkołę ukończyłam z drugą lokatą i zostałam podporucznikiem. Skiero-  
wano mnie do Żytomierza, gdzie razem z por. Stanisławą Zawadecką miałyś-  
my przygotować rekrutki z Wołynia i Podola - głównie chłopskiego pocho-  
dzenia - do "stanu żołnierskiego. Znalazłszy się w Żytomierzu - bały się  
ze ziemie, z których pochodzą, mogą znów wrócić, jak w 1939 r. pod  
władzę Sowieców. <sup>Nurkeli - tak się stało</sup> Równocześnie pobór tych dziewcząt do wojska był próbą  
ocalenia ich od napaści, gwałtów, mordów, palen wsi - jakich dokonywali  
nacjonaliści ukraińscy na tamym terenie.

Nie byłaam do końca przyformowaniu tej kobiecej formacji, która  
zapewne - jak większość batalionu kobiecego - podjęła ciężką służbę  
wartowniczą. Kobiety spełniały ją dobrze, były służbistkami pilnując ob-  
jektów wojskowych. Mnie natomiast powołano na dowódcę konwoju udającego  
się do Lublina. Nie miałam żadnego tego typu doświadczenia, a jednak do-  
prowadziłam te kilkanaście ciężarówek ze sprzętem i zaopatrzeniem -  
mimo kłopotów na miejsce przeznaczenia.

W Lublinie skierowano mnie, co mnie się bardzo nie podobało -  
do Głównego Zarządu Polityczno-Wychowawczego" Wojska Polskiego. Było to  
środowisko złożone na wysokich szczeblach głównie z byłych członków <sup>kpp</sup>  
a właściwie znajomych-znajomych o określonym pochodzeniu. Popierali, jak  
się można było bardzo szybko zorientować - tylko swoich. Wprawdzie, na  
całe szczęście, nie otrzymałam funkcji politycznych, a zostałam tak  
bardzo nieoczekiwanie "instruktorem propagandy artystycznej". Oznaczało  
to organizację imprez kulturalnych, świetlicowych oraz czasem okolicz-  
nościowych "akademii", co w tamtych czasach odbywało się bardzo często.



We wrześniu 1944, nie pamiętam już kto - zaproponował mi skierowanie na z-cę Komendanta Szpitala Ewakuacyjnego nr.64. Mam w dobrej pamięci to skierowanie, bo odpowiadało mojej chęci pomagania ludziom porrzywdzonym przez los - rannym. W dodatku zespół oficerów-lekarzy Polaków był złożony z oddanych pacjentom ludzi, o bardzo dobrym - taka była powszechna opinia - przygotowaniu zawodowym. Znaczna część z nich miała za sobą przeszłość w AK. Na czele stał sowiecki major-lekarz pochodzenia żydowskiego; poza tym pracowało tam dwu dalszych lekarzy sowieckich. Z polskiego zespołu należy wymienić lekarzy: Kazimierza Hołogę, Tadeusza Mockała, St. Lorentza, Edwarda Gorzkowskiego a także stomatologa p. Grabowicz-Perskiewiczową. Tych zapamiętałam, mając w najlepszej pamięci.

Do szpitala trafiali także żołnierze Armii Krajowej, którzy przepłynęli Wisłę w czasie Powstania Warszawskiego lub byli ranni przed dotarciem się do Warszawy. Opiekowano się nimi, praktycznie zatajano okoliczności odniesienia rany, przedłużano pobyt w szpitalu. Ujawnienie mogłoby przynieść daleko idące, katastroficzne skutki dla wszystkich, którzy w tym uczestniczyli. Jednak nawet obecni w szpitalu sowieccy lekarze a także Informacja Wojskowa o niczym się, na szczęście, nie dowiedziały.

<sup>NW 889</sup> Wtedy - w Lublinie w 1944 r. już wiedziałam, że władze PKWN zezwalają ~~na~~ i polskim organom bezpieczeństwa /kierowanym przez "sowieckich doradców"/ na brutalne, krwawe represje wobec żołnierzy AK oraz innych ruchów niepodległościowych. Praktycznie stosowano eksterminację ruchów niepodległościowych. Wiedząc o tym - byłam przerażona szczerością żołnierzy AK, a także tym - że na początku chodzili /w sierpniu/ w mundurach z biało-czerwonymi opaskami. W tym okresie /sierpień/ odwiedziła <sup>w Lublinie</sup> (stryjenkę) mojej przyjaciółki z deportacji do Kazachstanu /Maria Suracka, zam. Muchlińska - zamieszkała dziś w Anglii/ - panią Żyżkiewiczową z d. Suracką. Była to osoba związana z lubelską AK, którą m.in. wspierała finansowo, prowadząc dochodowe przedsiębiorstwo hurtu artykułów spożywczych. U niej spotkałam sporo ludzi - przeważnie kuzynów i kuzynki Marysi Surackiej, która w tym czasie była w armii gen. Andersa. Tam opowiadano wiele - mając pełne zaufanie do mnie, jako osoby związanej z ich krewną. Informacje były przerażające, właśnie o fizycznym niszczeniu całych grup żołnierzy AK, choć zarówno obecni tam, jak i ja - nie zdawaliśmy sobie sprawy z ogromnych rozmiarów tych krwawych represji. Parę faktów docierało do mnie także z innych źródeł.

Oto mój b. dowódca kompanii, znany mi dobrze por. Wozniak nawiązał osobisty kontakt z miejscowym /na Pradze/ oddziałem AK. Niezwłocznie został aresztowany i rozstrzelany. Pewnego dnia, chyba we wrześniu, spotkałam na Placu Unii w Lublinie por. Pisulę, który wówczas był adiutantem



gen. Aleksandra Zawadzkiego /Pisula był później ministrem przemysłu spożywczego i skupu/. Wtedy na Placu Unii był w okropnym szoku. Wraczał bowiem bezpośrednio z miejsca /nie powiedział gdzie/ uwięzienia żołnierzy AK, a gen. Zawadzki - późniejszy przewodniczący Rady Państwa, osobiście do nich strzelał. Oni krzyčili - opowiadał por. Pisula - "Walczyliśmy za Polskę! Dlaczego nas zabijacie!?!". To wszystko opowiadał mi półszepem w pustej, zacisznej knajpce po wypiciu wina. Nigdy na ten temat otwarcie nie rozmawiałam z polskimi lekarzami, oczywiście w obawie dojścia takiej informacji do niewłaściwych ludzi. Natomiast w tym temacie rozumieliśmy się bez słów.

W marcu 1945 r. Szpital Ewakuacyjny nr. 64 został pospiesznie przetransportowany do Bydgoszczy, przyjmując ogromne transporty rannych z pola walki na Wale Pomorskim, a później Kołobrzegu. Szczytowo mieliśmy zajętych 1000 łozek przez rannych, głównie z uszkodzeniami rąk i nóg. Na początku 1945 r. otrzymałam stopień pełnego porucznika. Dodam jeszcze, że w czasie służby w Lublinie uległam ciężkiemu wypadkowi samochodowemu - spowodowanemu przez kierowcę sowieckiego, który nieoczekiwanie wjechał na chodnik. Kontuzja ta do dziś mi się odzywa, gdyż spowodowała zniekształcenie górnej części kręgosłupa.

W grudniu 1945 r. na własną /dwukrotną!/ prośbę po stanięciu do raportu - prosiłam o zwolnienie z wojska, co motywowałam chęcią rozpoczęcia studiów. W istocie jednak poprostu nie chciałam pozostawać w wojsku. Jedną z sowieckich oficerów-lekarzy zaczęła mnie ostro atakować, że nie prowadzę "żadnej pracy politycznej". Nawiasem mówiąc była to prawda; starałam się pomagać rannym, dodawać życiowej otuchy, lecz nie zajmowałam się wtłaczaniem im propagandowych sloganów i frazesów. W dodatku szpital przemianowano na "garnizonowy", co zupełnie zmieniło warunki pracy z-cy komendanta, jaką to funkcję pełniłam.

## VI. LOSY POWOJENNE

W końcu 1945 r. zapisałam się w Poznaniu na wydział prawno-ekonomiczny - sekcję ekonomiczną UP /obecnie UAM/. Początkowo była studentką nadzwyczajną, gdyż musiałam zdać maturę, co uczyniłam, w lutym 1946 roku. Skończyłam trzy lata tych studiów. Na przeszkodzie ukończenia stanął fakt założenia rodziny. W kwietniu 1947 r. wyszłam za mąż za inwalidę wojennego /Armia Krajowa/, kolegę ze studiów ekonomicznych. W 1948 r. urodziłam syna, a później dwoje następnych dzieci. W 1950 r. zlikwidowano sekcję ekonomiczną /prof. E. Taylor/, więc ukończenie studiów stało się niemożliwe.

Później podjęłam pracę zarobkową, jak w "Bomiu Książki", w redakcji "Weteran Walki i Pracy", Centralnym Zarządzie "Społem". W 1979 r.



uzyskałam prawa inwalidy wojennego w oparciu o poważną kontuzję odniesioną w 1944 r. w Lublinie, gdy mnie w czasie służby wojskowej najechał samochód. Od 1982 r. jestem na emeryturze.

Mój adres: Genowefa Likowska /Ochnik/  
01-523 Warszawa

*Genowefa*





**LOSY WOJENNE**

17 września 1939 - pocz. grudnia 1945

**1. Pochodzenie, sytuacja rodzinna, wykształcenie po 1939 r.**

Dane osobiste:

Urodziłam się w Borowinie Gąseckiej w ówczesnej gminie Sarnów w obecnym województwie siedleckim, w pobliżu powiatowego miasta Łukowa, 17 kwietnia 1921 r., jako najstarsza spośród czworga rodzeństwa.

Mój ojciec Antoni Ochnik był bezrolnym robotnikiem rolnym. W 1924 r. wstąpił do Policji Państwowej.

Moja matka Zofia z d. Warpas, pochodziła z pobliskiej wsi Jeleniec w gminie Stanin (bliżej Łukowa) z rodziny średniorolnego chłopca.

Ojciec z utęsknieniem wyczekiwał na emeryturę, która wtedy Policji przysługiwała po 15 latach służby po zaliczeniu wysługi lat ze służby w armiach zaborczych. Służbę policyjną Ojciec podjął na krótko w Malczu w powiecie próżańskim na Polesiu, a następnie w Czerniakowie, także na Polesiu. Ze względu na odległość do szkoły, Ojciec starał się o powrót do Malcza; następnie właśnie ze względu na sytuację rodzinną (zaczynałam naukę w gimnazjum) uzyskał przeniesienie do Kobrynia, miasta powiatowego.

W Kobryniu Rodzice, po uzyskaniu niewielkiej tzw. spłaty z tytułu spadku po rodzicach Matki, moi Rodzice nabyli plac i przez trzy lata budowali dom rodzinny, ukończony w 1937 r. Dom otaczał dobrze zagospodarowany ogród, dający cenne uzupełnienie dochodów Ojca.

Do 1939 r., idąc normalnym trybem, zdołałam ukończyć cztery klasy gimnazjum, zdając tzw. małą maturę. Byłam w tym okresie drużynową „młodszych dziewcząt” w ZHP.

Wkroczenie Sowietów.

W grudniu 1939 r. Ojciec został dotkliwie pobity przez bandę Ukraińców, a później aresztowany przez Sowietów i wkrótce wywieziony do Mińska. Konkretnych wiadomości o jego losie już nigdy więcej rodzina nie otrzymała. Tylko pośrednie wieści: dwa lata później, w Akmolińsku (obecnie Akmoła, od końca lat sześćdziesiątych Celinograd) w Kazachstanie, gdy pracowałam w Delegaturze Ambasady RP (było to coś na kształt konsulatu) i prowadziłam rejestr poszukiwanych, jeden z interesantów, słysząc moje nazwisko powiedział, że przebywał w jednej celi z Antonim Ochnikiem. Pewnego dnia Ojciec zachorował i bodaj luty - marzec 1940 r. zabrano go „z rzeczami” i więcej już nie wrócił.

Deportacja na Syberię.

Moją Matkę, Zofię Ochnik, mnie i trzech moich młodszych braci (Kazimierz - 1923 r.; Marian - 1925 r.; Henryk - 1926 r.) w dniu 13 kwietnia 1940 r. Wysiedlono z



Kobrynia i powieziono transportem kolejowym w wagonach towarowych - do północnego Kazachstanu.

Po ponad dwutygodniowej podróży załadowano nas na ciężarówkę i zawieziono do posesiłka Nr 27 w obwodzie i rejonie Akmolińsk.

Na początku przygarnęła nas rodzina Kubancewych - Kozaków wysiedlonych z Kubania, którzy gehennę przesiedlenia do Kazachstanu przeżyli w 1936r. Byli to wyjątkowo życzliwi i dobrzy ludzie, doskonale rozumiejący nasze nieszczęście.

Warto dodać, że na posesiłku Nr 27 komendantem był przedstawiciel NKWD.

Pracowałam w kołchozie jako robotnica - prace rolne, pomoc przy pracach budowlanych, załadunek i wyładunek samochodów. Zarząd kołchozu bardzo starannie starał się obliczać wartość naszego wyżywienia, bardzo zresztą marnego - takie zresztą, jakie otrzymywali i inni robotnicy; byliśmy głodni, bądź jedliśmy z trudem zdobyte mleko i chleb. Za pracę nie otrzymywaliśmy wynagrodzenia - żyliśmy ze sprzedaży rzeczy, jakie pozostały po deportacji, głównie odzież. W czerwcu 1941 r. okazało się nawet, że my, kołchoźnicy, jesteśmy zadłużeni w kołchozie!

### Represje - więzienie

Skutków tego „zadłużenia” nie pamiętam, m.in. dlatego, że 13 kwietnia 1941 r. zostałam aresztowana przez NKGB i osadzona w więzieniu. Zarzucano mi zrazu, że byłam „terrorystką” - miałam jakoby pobić osobę, która zdzierła nasze (czyje?! - dotąd nie wiem) plakaty z hasłami „Niech żyje 3 maja - Precz w komunizmem”. Gdy śledczy w trakcie przesłuchań wmawiał mi, że pisałam i rozlepiałam owe plakaty - przepisanej formie więziennej spytałam „- A skąd, Obywatelu naczelniku, miałam brać papier na te ulotki i plakaty?!” - w odpowiedzi usłyszałam obelżywe wrzaski: „- Małczy, ty ..... mać”.

Potem rozwinięto „bardzo pomysłowe” oskarżenie o szpiegostwo; nie precyzowano, na czym rzecz i w jaki sposób, mieszkając w interiorze syberyjskim z surowym zakazem opuszczania posesiłka Nr 27, miałabym brać wiadomości interesujące obce wywiady - i jak je miałabym przekazywać za granicę czy też obcym ambasadam.

Trwało to mniej więcej do lipca 1941 r., gdy nastąpiła konfrontacja z konfidentką NKGB zwerbowaną na posesiłku, którą według śledczego miałam pobić i która wypowiedziała wyuczoną lekcję: „- Tak, znam tę dziewczynę. Ona jest zepsuta politycznie do szpiku kości. Ona mówiła, że Polska będzie!” I w tym momencie stało się coś dla mnie bardzo dziwnego, mianowicie śledczy gniewnie huknął pięścią w stół i wykrzyknął „- Budiet - nie budiet, nie wasze dzieło, dawajcie dalsze.” Byłam wręcz zaszokowana taką reakcją, gdyż stawiany przez konfidentkę zarzut trwania przy twierdzeniu „Jeszcze Polska nie zginęła” równało się wtedy „zdradzie Związku Radzieckiego”. Reszty zarzutów już nie chciało mi się słuchać. Nie wiedziała jeszcze o umowie Majski - Sikorski, siedziałam przecież w karcerze - lecz natychmiast domyśliłam się, że coś się zmienia w stosunkach polsko - radzieckich.

Nim jednak do nas dotarła fala zwolnień, obłudnie i oszukańczo nazwanych „amnestią”, minęło parę miesięcy; zwolniono mnie dopiero w grudniu 1941 r.

Oto kilka epizodów z życia więziennego.

✓ Usłyszałam głos mojej znajomej z posesiłka Nr 27, Ireny Jackowskiej, żony oficera WP; krzyknęłam „- Irena - ty też tutaj?” - i dostałam za to dziesięć dni karceru. Karcer był



w piwnicy o drewnianej podłodze ze starych desek, drewniane były też drzwi okute żelazem. Nie było miejsca do spania, a podłogę codziennie polewano wiadrzem wody - bo tak przewidywały więzienne przepisy. Po podłodze grasowały szczury, okienko było małe i wysoko umieszczone, z niewielkim ceglany parapetem. Z rozbiegu przez całą niewielką celę (ca 3 m) wskakiwałam na parapet; miałam podrapane nogi, zwłaszcza uda i w więzieniu nie wierzono mi potem, że nie byłam torturowana czy tylko bita. Kuliłam się na parapecie i wtedy przychodził do mnie kot i grzał mnie i siebie, odstraszał szczury swoją obecnością. Było to w lipcu i na dworze upał, a celi był chłód i wilgoć.

Do jedzenia dawano mi bielutki chleb pszenny - jak chyba nikomu w Kazachstanie... W każdym razie na posiołku takiego chleba nikt by nie uświadczył. Bardzo się temu dziwiłam - aż znacznie później, już w Polsce, dowiedziałam się, że i u nas w kraju w więzieniach ubowskich dawano taki biały chleb - jako pozbawiony witamin z grupy B osłabiał wolę oporu!

Razem ze mną przy pierwszej fazie pobytu w więzieniu siedziało 17 Polek; zwalniano je sukcesywnie do grudnia 1941 r. włącznie. W naszej celi - i w całym więzieniu panował niebywały tłok - przewracałyśmy się na pryczy na komendę.

Pory przesłuchań tak wyznaczano, aby ominąć czas obiadu. Kolacja nie wystarczała i stale byłam głodna - tak niewielkie były racje i tak wiele znaczył brak obiadu w łącznym bilansie wyżywienia.

We wszystkich celach było niezwykle wiele robactwa - wszy i pluskiew. Zwalczano tę plagę organizując dla nas mniej więcej regularnie kąpiele, w odstępach kilku tygodni (nie pamiętam, jak często). Ale robactwo gnieździło się w narach, a na nas tylko żerowało, więc skuteczność odpluskwiwania pozostawiała wiele do życzenia.

Podłoga była faktycznie klepiskiem - nie było desek. Na narach nie było sienników - same gołe deski.

W 1991 r. napisałam przez polski MSZ do ambasady RP w Moskwie - tak dostałam potwierdzenie na piśmie z podpisami i pieczęciami MSZ Kazachstanu, że z akt archiwum władz obwodu celinogradzkiego wynika, że G. A. Ochnik rzeczywiście była aresztowana, ale w maju, a nie 13 kwietnia 1941 r. Tak po latach naprawiono „błąd” śledczych z NKGB co do tego, czy mogłam atakować ludzi zrywających plakaty 3-majowe...

Jednym z zadań delegatury była opieka społeczna nad wywiezionymi Polakami - rozdzielanie darów zawierających żywność i ubrania. Nie można jednak powiedzieć, aby była ona dzielona stosownie do równości losu: bardziej ustosunkowani, a także postawieni przed wojną na wyższych szczeblach społecznych i rodziny wojskowych, otrzymywali pomoc większą i bardziej istotną. Biedni otrzymywali już tylko przeważnie smalec i ~~ubrania~~ buty z demobilu; skądinąd wśród tych biedniejszych przeważały rodziny chłopów - osadników wojskowych i obuwie to było bardzo cenione, chociaż nie nadające się na zimę. Podkute były mianaowccie ćwiekami żelaznymi i nogi w nich marzły natychmiast.

Zdaje się w lipcu 1942 r. spotkało mnie coś nieoczekiwanego. W korytarzu biur Delegatury, gdzie tłoczyli się interesanci po informacje, wywołano moje nazwisko. Wyszłam, aby zapisać - jak się spodziewałam - nazwisko osoby poszukiwanej. Tymczasem ku mojemu przerażeniu czekało na mnie NKGB - „specjalista” od spraw polskich Grigoriew zastępca szefa NKGB na obwód akmoleński Iwanow. Powiedzieli,



że na korytarzu trudno rozmawiać, więc może wyjdziemy na podwórze. Zapewne chodziło im o to, aby wszyscy mogli zobaczyć, że tak sobie, po przyjacielsku rozmawiam z NKGB-owcami. Ale na otwartej przestrzeni rozmowa była bardzo banalna: „- Dobrze wyglądacie, lepiej niż u nas... Wolność Wam służy... Ładnie tu...” i tak dalej. Rzekome grzeczności i rozmowa prowadzona z uśmiechem miały wykazać, że jesteśmy w wielkiej zżyłości! Zdawałam sobie sprawę z tej gry i wewnątrz drżałam.

Cała ta scena trwała zaledwie kilka minut. Natychmiast zameldowałam się u inż. Tomaszewskiego, Sekretarza Delegatury; Szefem - Delegatem był wtedy p. Rola-Janecki. Tomaszewskiemu powiedziałam, że NKGB-yści przyszli do mnie i dlatego nie mogę pracować w Delegaturze. On nie chciał mnie zwalniać, ale zdecydowanie sama napisałam rezygnację. Nie chciałam, aby ktoś mógł o mnie źle pomyśleć i tak straciłam tę tak dla mnie dobrą posadę. Widocznie Delegatura powiadomiła o tym Ambasadę, bo gdy powtórnie siedziałam w więzieniu, moja Matka dostawała na mnie paczki, a 52 lata po wojnie, gdy przyszły dokumenty z Instytutu Sikorskiego z Londynu, pod moim nazwiskiem można było znaleźć adnotację „wymaga szczególnej pomocy i opieki” - pisał attaché ambasady w Kujbyszewie, ppłk. Rudnicki.

↑  
 ✓ Otóż w Delegaturze były przynajmniej dwie osoby, które współpracowały z NKGB. Jedną z nich była p. Toberowa, która zmuszono do współpracy grożąc życiu jej 9 czy 10 letniego syna; przyznała się ona Delegatowi, że szantażowano ją. Wysłano więc ją jako kuriera dyplomatycznego - z synem - do Armii Polskiej (gen. Andersa) w Jing - Julu, a stamtąd do Persji. Znalazła się w Palestynie, gdzie podobno popełniła samobójstwo ...  
 ↑  
 ✓ Drugą osobą była ówczesna kochanka Delegata (p. Rola-Janickiego), 23-letnia Iza Oskierko, bardzo piękna dziewczyna z pomniejszego rodu książęcego na Litwie, jak mówiono.

Później pracowałam w różnych przedsiębiorstwach, m.in. w spółdzielni metalowców, gdzie oczywiście robiono jakieś części do sprzętu wojskowego, a także przy pomiarach geologicznych.

Jesienią 1942 r. przyjechał sierżant z Armii Polskiej, z rozkazem zabrania mnie do jednostki. Bez zezwolenia NKGB wyjechałam; w Petropawłowsku, gdy czekaliśmy na przesiadkowy pociąg, sierżant chciał zrealizować kartki na chleb. Milicja zabrała kartki i nasze dokumenty - wojskowemu oddali i kazali odjeżdżać, niestety beze mnie! Tułałam się po Petropawłowsku, aż dowiedziawszy się, gdzie jest Delegatura Ambasady, udałam się po pomoc. Tam zaś był „kocioł” urządzony przez KGB; był to okres, gdy stosunki między Moskwą i Londynem chyba zostały już zerwane.

W ten sposób ponownie znalazłam się w więzieniu. Przeżyłam niewiarygodną gehennę, m.in. pobicie wiekiem od kibla przez *socjalnobezopastną* (społecznie bezpieczną - w odróżnieniu od politycznych, społecznie niebezpiecznych), czyli bandytkę morderczynię; osadzono mnie bowiem pomiędzy kryminalistkami, co było powszechnie stosowaną szykaną wobec politycznych. Nie wdaję się w szczegóły tego pobytu w więzieniu - za wiele by było tego; tak samo pomijam wiele spraw z Kazachstanu. Po paru miesiącach powieziono mnie wagonem więziennym pod silną strażą do Akmoleńska, gdzie znowu spędziłam pół roku - oczywiście pod koronnym oskarżeniem o „szpiegostwo”, tym razem na rzecz armii gen. Andersa.

Nie katowano mnie jakoś szczególnie, ale sam kilkukrotny pobyt w karcerze, w strasznych warunkach, starczył za tortury. Uderzono zaś mnie tylko kilka raz, gdy nie



chciałam się nagiąć do założeń śledztwa. Torturowano mnie w inny sposób, charakterystyczny dla Sowietów: śledztwo prowadzono w dzień i w nocy, ja miałam siedzieć na samym brzeżku krzesła, z ostrym światłem prosto w oczy. Przeciwnie mnie zeznawała wtedy wspomniana Iza Oskierko. Mimo zakazu dla Polaków po wojnie wyemigrowała ona do Brazylii - jak po latach mówiono.

1 Zimą 1943 r. zostałam zwolniona w czasie niesłychanie silnego mrozu i śnieżnej zamieci; być może liczono, że żywiły załatwią sprawę za KGB? Jakiś Kazach wśród tego wichru i śniegu, do którego domu dotarłam, pozwolił mi zostać w stajni, co uratowało mi życie.

W więzieniu musiałam podpisać dokument, że zostaję zwolniona na podstawie wyroku specjalnego sądu. Potem miałam jeszcze przygody więzienne mniejszych kategorii, jak za „proguł” (dosłownie spacer, przechadzka; tu chodzi o włóczęgostwo i uchylanie się od prac), także całkowicie fałszywe oskarżenie, jak zwykle. Następnie siedziałam z bardzo dużą grupą kobiet osadzonych za odmowę odebrania paszportu radzieckiego. Wszystkie nas po 2 tygodniach zwolniono.

W październiku 1943 r. dostałam wezwanie do stawienia się w wojenkomacie, gdzie otrzymałam powołanie do armii tworzonej przez płk. Berlinga. Trzeba tu zaznaczyć, że ten wojenkomat mobilizował także do armii gen. Andersa jako właściwy obszarowo, tyle, że wówczas działał przy nim łącznik z armii gen. Berlinga. Po przybyciu z Akmolińska do Pietropawłowska przez dwa tygodnie czekaliśmy na dworcu, nocując na gołym betonie, bez sienników, rogoży, luźnej słomy czy choćby koców do przykrycia się. Po następnych 1000 km (ulitował się kierownik pociągu sanitarnego) w miejscowości Diwowo, przez jedną noc spaliliśmy w namiotach, tym razem na słomie, lecz nadal bez kocy, choć leżał już śnieg.

#### V. W BATALIONIE KOBIECYM.

Batalion Kobiety im. Emilii Plater powstał równocześnie, lub z niewielkim opóźnieniem, przy tworzeniu 1 Dywizji im Tadeusza Kościuszki. Był w swym założeniu jednostką bojową przeznaczoną do walki na pierwszej linii frontu, na co zdaje się wskazywać uzbrojenie nas, dziewcząt, w pistolety maszynowe oraz w moździerze piechoty; typowe zresztą uzbrojenie dla jednostek szturmowych... Wprawdzie kilkanaście dziewcząt i młodych kobiet po przeszkoleniu oficerskim dowodziło plutonami, a nawet kompaniami złożonymi z samych mężczyzn, i to nie bez sukcesów, lecz był to raczej typowy sowiecki gest na rzecz „równouprawnienia kobiet”, niż rzecz o znaczeniu praktycznym czy zwłaszcza masowym. Kobiety były dzielnymi podoficerami w jednostkach liniowych biorących udział w walkach na froncie. Jednak Batalion Kobiety - Platerówki, jak nas nazywano - nie walczył jako całość. Często używano poszczególnych kompanii do służby wartowniczej. Ja byłam dowódcą takiej kompanii w Mogotowie pod Riazaniem.

Spośród nas wybierano kandydatki do szkół oficerskich nie tylko do służby liniowej, ale także jako na oficerów „oświatowych”. Naszym zadaniem było codzienne informowanie żołnierzy o sytuacji na froncie oraz trudne tłumaczenie, że na ziemi wschodnie, gdzie były nasze domy - bo przecież dywizja składała się z deportowanych z

ziem zajętych przez Sowietów po 17 września 1939 r. - już nie wrócimy. Było to bolesne - lecz nie byliśmy już w Kazachstanie, Workucie, Jakucji i na setkach innych wysp archipelagu Gułag... Do naszych obowiązków nie należało przekazywanie choćby



sprymityzowanego marksizmu - leninizmu. Poza tym miałyśmy normalne szkolenie bojowe.

Wyższe funkcje oficerskie w Batalionie Kobięcym objęły - jak się później okazało - osoby związane przed wojną z lewicującymi organizacjami młodzieżowymi, bądź wprost członkinie byłej KPP. Jednak nie były nachalne i nie narzucały swoich idei. Polacy byli po deportacji i potwornych warunkach pobytu na Syberii wprost impregnowani na takie koncepcje.

Moje przełożone wytypowały mnie do szkoły oficerskiej oficerów polityczno - wychowawczych w Moskwie. Legitymowałam się małą maturą, co zapewne było jednym z argumentów. Potrzebowano bowiem dziewcząt z pewnym wykształceniem, tymczasem szeregowie i podoficerki były przeważnie po szkole podstawowej, a nierzadko zaledwie po trzech - pięciu klasach.

Po paromiesięcznej szkole, gdy już zapoznałyśmy się z teoriami stojącymi u podstaw tworzenia w Związku Sowieckim Wojska Polskiego, opanowałam odpowiednią frazeologię *oświatową* i *polityczną* umiejac się biegle nią posługiwać bez angażowania własnego światopoglądu. Było dla mnie wtedy jasne, że droga polskiej I Armii wiedzie do kraju, a nie na wschód, z powrotem do Kazachstanu i dalej. Powrót do Ojczyzny był jedynym motywem służenia w tej Armii - na ile znam poglądy tych dziewcząt. Gen. Berling był odbierany jako ten, który może nas wyprowadzić ze Związku Sowieckiego, cieszył się zaufaniem i pokładano w nim nadzieje nieledwie jak w Mojżeszu. Wanda Wasilewska, która bywała u nas, nie była natomiast lubiana.

Na ziemiankach umieszczalyśmy hasła odwołujące się do patriotyzmu: *Idziemy do Ciebie - Ziemia, Matko nasza!* i tym podobne. Rano w szykach zwartych obowiązkowo śpiewano *Kiedy ranne wstają zorze*, a wieczorem *Wszystkie nasze dzienne sprawy*. Było to w obyczaju żołnierskim - niewątpliwie Wojsko Polskie, myślałyśmy. Dopiero w Lublinie zaczęło być inaczej i powstały wątpliwości.

Wspomnianą szkołę oficerów polityczno - wychowawczych ukończyłam z drugą lokatą i mianowano mnie podporucznikiem. Skierowano mnie do Żytomierza, gdzie z razem z por. Stanisławą Zawadecką miałyśmy przygotowywać rekrutki z Wołynia i Podola - głównie chłopskiego pochodzenia - do *stanu żołnierskiego*. Znalazłszy się w Żytomierzu obawiały się, że ziemie te mogą wrócić, jak w 1939 r., pod władzę Sowieców. Co też i niestety się stało. Równocześnie pobór tych dziewcząt do Wojska Polskiego był próbą ocalenia ich od napaści, gwałtów, mordów, podpaleń całych wsi - jakich jak wiadomo, dokonywali nacjonałiści ukraińscy na tamtym terenie.

Nie było dla tych dziewcząt mundurów, więc trudno było stworzyć z nich jakieś wojsko. Nie byłam do końca przy formowaniu tej kobiecej jednostki, która - zapewne jak większość Batalionu Kobięcego - została skierowana do bardzo ciężkiej w czasie wojny służby wartowniczej. Kobiety służbę tę pełniły bardzo dobrze, będąc - zapewne ze strachu - wielkimi służbistkami na posterunkach.

Mnie powołano na dowódcę konwoju udającego się do Lublina. Nie miałam żadnych doświadczeń tego rodzaju, a jednak doprowadziłam kilkanaście ciężarówek ze sprzętem i zaopatrzeniem - mimo kłopotów na miejscu przeznaczenia.

W Lublinie skierowano mnie do Głównego Zarządu Polityczno - Wychowawczego Wojska Polskiego. Było to środowisko na wysokich szczeblach złożone głównie z byłych członków KPP, a raczej ich *krewnych i znajomych królika*.



Zjawia się na przykład młody człowiek i nosi mundur oficerski bez oznak stopnia (tak jak ja na

początku); po tygodniu - patrzcie! - już z niego porucznik, a po następnych dwu - cały, kapitan! Takich *zdolnych* było tam znacznie więcej, lecz rzadko byli to Polacy, być może jako mniej pewni politycznie i rodzinnie... W biurach tego zarządu urzędowały żony oficerów przygotowując posiłki i karmiąc mężów i uratowanych z Holokaustu. Dostałam nominację na instruktora propagandy artystycznej i byłam tam dwa tygodnie.

We wrześniu 1944 r. zaproponowano mi skierowanie do Szpitala Ewakuacyjnego Nr 64. Mam w dobrej pamięci to skierowanie, bowiem odpowiadało mojej chęci pomagania rannym - ludziom pokrzywdzonym przez los. W dodatku zespół oficerów - lekarzy Polaków był złożony z ludzi oddanych pacjentom, o bardzo dobrym - w powszechnej opinii - przygotowaniu zawodowym. Znaczna ich część wywodziła się z partyzantki AK.

Chyba po 2 miesiącach zostałam zastępcą komendanta ds. polityczno - wychowawczych. Komendantem był natomiast lekarz - Żyd pochodzący ze Związku Sowieckiego. Zadania moje polegały na organizowaniu informacji (miałam dwie pomocnice) o działaniach na froncie, imprez artystycznych. W szpitalu była świetlica i scena. Obok była szkoła siostr urszulanek; dzieci przychodziły do rannych, a oni widzieli to bardzo chętnie.

Do szpitala trafiali także żołnierze AK, którzy przepłynęli Wisłę w czasie Powstania Warszawskiego lub byli ranni przed dostaniem się do Warszawy. Opiekowano się nimi i utajniano okoliczności odniesienia ran. Również sanitariuszki z AK trafiały do naszego szpitala i jedna z nich powiada: „- ... bo my z AK...”, a ja natychmiast odparłam, że: „- Zapomnijcie o AK, jesteście w Wojsku Polskim”. Opowiadano mi potem, że sanitariuszka ta była najpierw oburzona, ale potem zrozumiała ostrzeżenie.

Wtedy, w Lublinie w końcu lipca 1944 r. Wiedziałam już, że wobec żołnierzy AK i innych ruchów niepodległościowych stosuje się brutalne i krwawe represje. Widząc o tym - i znając obyczaje sowieckie! - byłam wprost przerażona szczerością żołnierzy AK, którzy w sierpniu 1944 r. chodzili w mundurach z białą - czerwonymi opaskami. W tym okresie odwiedzałam w Lublinie stryjenkę mojej przyjaciółki z deportacji do Kazachstanu (Maria Suracka, po mężu Muchlińska, od wojny mieszka w W. Brytanii) - panią Zyszkiewiczową z d. Suracką. Była to osoba związana z lubelską AK, którą m.in. bardzo intensywnie wspierała finansowo, prowadziła bowiem bardzo dochodowe przedsiębiorstwo hurtowego obrotu artykułami spożywczymi. W jej domu spotkałam kuzynów i kuzynki Marysi Surackiej, która wtedy była w armii gen. Andersa. Opowiadano mi wiele - mając pełne zaufanie do osoby związanej z ich krewną. Informacje były przerażające - właśnie o fizycznym niszczeniu całych grup żołnierzy AK. Ale mimo to ani oni, ani ja nie zdawaliśmy sobie sprawy z faktycznych rozmiarów - mierzonych liczbą ofiar - represji. Parę faktów dotarło do mnie z innych źródeł.

Dobrze mi znany, jako dowódca mojej byłej kompanii, por. Woźniak nawiązał na Pradze kontakt z miejscowym oddziałem AK; został aresztowany i rozstrzelany.

Chyba we wrześniu 1944 r. r. na planie Unii w Lublinie spotkałam por. Pisulę (późniejszy minister przemysłu spożywczego i skupu), wówczas adiutanta gen. Aleksandra Zawadzkiego, znajdującego się w strasznym szoku. Wracał bowiem bezpośrednio z miejsca, którego nie ujawnił i gdzie więziono żołnierzy AK. Tam gen. Al. Zawadzki, późniejszy Przewodniczący Rady Państwa PRL, raczył osobiście do nich



strzelać. Oni krzyczeli - opowiadał po winie por. Pisula - „- Walczyliśmy za Polskę! Dlaczego nas zabijacie?!” Por. Pisula odważył się opowiadać to w pustej, odosobnionej knajpce, a i to półszepem.

Z polskimi lekarzami nigdy na ten temat nie rozmawiałam - w tej sprawie rozumieliśmy się w pół słowa.

Na początku 1945 r. Otrzymałam awans na porucznika. Dodam jeszcze, że w czasie służby w Lublinie uległam ciężkiemu wypadkowi samochodowemu (spowodowanemu przez sowieckiego kierowcę), którego pełne skutki ujawniły się po około 20 latach.

Z mojej działalności w Szpitalu Ewakuacyjnym w Bydgoszczy warto przytoczyć jeszcze jedno wydarzenie. Otóż późną jesienią 1944 r. zwożono rannych z walk na przyczółku na Wiśle. Ranni leżeli na samochodach ciężarowych pod plandekami, chroniącymi ich przed śniegiem z deszczem. W tym czasie na klatce schodowej dawnego gimnazjum kapelan naszego szpitala odprawiał mszę. Wnoszono rannych do izby przyjęć, co spowodowało naturalnie zrozumiwały ruch. W pewnej chwili zniecierpliwiony kapelan odwrócił się od ołtarza i donośnie obwieścił: „- Wzywam por. Ochnikównę, aby zaprzestała tych praktyk!” Ja na to zdecydowanie i stanowczo odparłam: „- Wzywam Was, koledzy ranni, abyście skupili się na modlitwie za zdrowie i ratowanie życie rannych kolegów, którzy czekają na pomoc na dworze przykryci tylko brezentowymi plandekami!”. Ranni ze szpitala przyjęli moje słowa oklaskami i spontanicznie odmawiali „Ojciec nasz” i „Zdrowaś Mario”; kapelan podjął bez słowa dalsze czynności liturgiczne.

Finał tego wydarzenia nastąpił w 1952 r. w poznańskim tramwaju. Jechałam z dwójką moich dzieci i ksiądz siedzący obok nagle zwrócił się do mnie: „- Porucznik Ochnikówna?”, a ja na to: „- Już nie Ochnikówna, jak ksiądz widzi, mam dwoje dzieci”. A ksiądz kapelan tak dalej powiada: „- Pamiętam o tym wydarzeniu w szpitalu; PANI miała wówczas rację i słusznie postępowała”. Rzadkie to u duchownego katolickiego samokrytyczne spojrzenie na swoje postępowanie i pochwała oficera pol - wych.

W marcu 1945 r. Mój Szpital Ewakuacyjny spieszenie przetransportowano do Bydgoszczy. Z pola walki na Wale Pomorskim, a później w z Kołobrzegu, nadchodziły ogromne transporty rannych; szczytowo mieliśmy zajętych 1.000 łóżek, głównie z uszkodzeniami rąk i nóg.

W czasie pracy w Szpitalu Ewakuacyjnym Nr 64 miałam kilka przygód i incydentów, które warto chyba zachować dla potomności.

W Lublinie dokonano w szpitalu pierwszej dekoracji odznaczeniami, które wręczał Bolesław Bierut. Nie umiał jeszcze nosić się z godnością, nie wiedział, po której stronie przypina się Krzyże Walecznych. Miał na sobie przykusą czarną marynarkę ze zbyt krótkimi rękawami i wyglądał jak źle ubrany wójt gminny, a nie *ludowy dostojnik*. Same zaś odznaczenia przyznawano *wolnomyślnie*, bez analizy czynu uhonorowanego: leżał u nas ranny w plecy, gdzie ranił go przełożony za ucieczkę z pola walki!

Jeszcze w Lublinie odwiedził mnie kapitan Malawski, który później był prokuratorem w Prokuraturze Generalnej, a po 1968 r. Wyemigrował do Szwecji. Poinformował mnie, że wiadomo mu o tym, że nie wszystko w Sz.E. Nr 64 jest w księgach finansowych i towarowo - magazynowych w porządku. Nie wiedziałam, co robić. Za nadużycia w kwatermistrzostwie byłam również odpowiedzialna. Wtedy Malawski pomógł mi - podyktował pismo do prokuratury. Ale nic z tego nie wyszło,



bowiem - przypominam - w kwatermistrzostwie pracowali Sowieci, i to jeszcze dobrze ustosunkowani. Ale odsunęłam od siebie ewentualne konsekwencje.

W Bydgoszczy szpital nie miał dostatecznej liczby personelu pomocniczego. Zgłaszały się do pracy osoby z wpisem do dowodu osobistego „Eingeddeutsch”, czyli dosłownie „wniemczony”, czyli mówiąc współczesnym potocznym językiem - *wrobione w niemczyznę*. Ale Komendant szpitala nie wiedział, czy mu wolno zatrudniać takie osoby i dostałam zadanie dowiedzenia się tego w UB. Udałam się tam oczywiście w mundurze porucznika do Woj.UBPubl., który mieścił się w dawnej kwaterze Sicherheitspolizei; kraty zamykały się za każdym segmentem korytarza. Czułam się nieswojo; gdy weszłam do pokoju, gdzie rezydował jakiś podporucznik, który nie wstał na widok starszego stopniem, nie odpowiedział na salutowanie, dalej sobie palił! Potraktował mnie nie jak oficera, lecz jak podejrzaną i w odpowiedzi na moje pytanie niczego nie wyjaśnił; też pewnie nie znał niemieckiego.

Były w Szpitalu - już wówczas garnizonowym - wydarzenia z jednej strony śmieszne, z drugiej straszne, jak choćby stanowcze domaganie się przez oficerów sowieckich lepszego wyżywienia niż reszta rannych i jeszcze radia, którego nie mieliśmy. Jeden z podpułkowników podniesionym głosem domagał się tych przywilejów: „- Nam się należy, my krew przelewali za was!”. Rzecz w tym, że działo się to na sali dla chorych wenerycznie i mogłam mu odpowiedzieć także po rosyjsku, z całą ironią: „- No, chyba nie krew wy przelewaliście ...”. Ma się rozumieć zamilkł jak niepyszny.

Wojna skończyła się, Szpital Ewakuacyjny Nr 64 kończył swoje pożyteczne działania, powołano szpital garnizonowy. Dotychczasowy personel rozpraszał się, coraz więcej było lekarzy - oficerów radzieckich. Zupełnie zmieniły się obowiązki zastępcy komendanta ds. polityczno - wychowawczych.

W grudniu 1945 r. dwukrotnie zwrócałam się o pozwolenie stanięcie do raportu i poprosiłam o zwolnienie z wojska, co motywowałam chęcią rozpoczęcia studiów. Podjęłam już przygotowania do pełnej matury, intensywnie się uczyłam. Nie chciałam pozostawać w wojsku, atakowana przez jedną z sowieckich lekarek za to, że „nie prowadzę żadnej pracy politycznej”.

## VI. LOSY POWOJENNE.

W końcu 1945 r. zapisałam się w Poznaniu na wydział prawno - ekonomiczny, sekcję ekonomiczną Uniwersytetu Poznańskiego (obecnie Uniwersytet im. Adama Mickiewicza - UAM). Początkowo byłam tzw. studentką nadzwyczajną, gdyż musiałam zdać maturę, co uczyniłam w lutym 1946 r. Skończyłam trzy lata tych studiów; na przeszkodzie ich ukończenia stanął fakt założenia rodziny. Mąż pochodzi z Wielkopolski (zresztą kolega z wydziału) i jest inwalidą wojennym (bez prawej nogi do połowy uda), był w oddziale chroniącym w Górach Świętokrzyskich radiostację, z której Delegat Rządu na Kraj porozumiewał się z Londynem. Tak oto losy polskie poniekąd się uśredniły: ja - ze wschodnich kresów, oficer pol-wych I Armii WP; on - z Wielkopolski, doborowa jednostka AK.

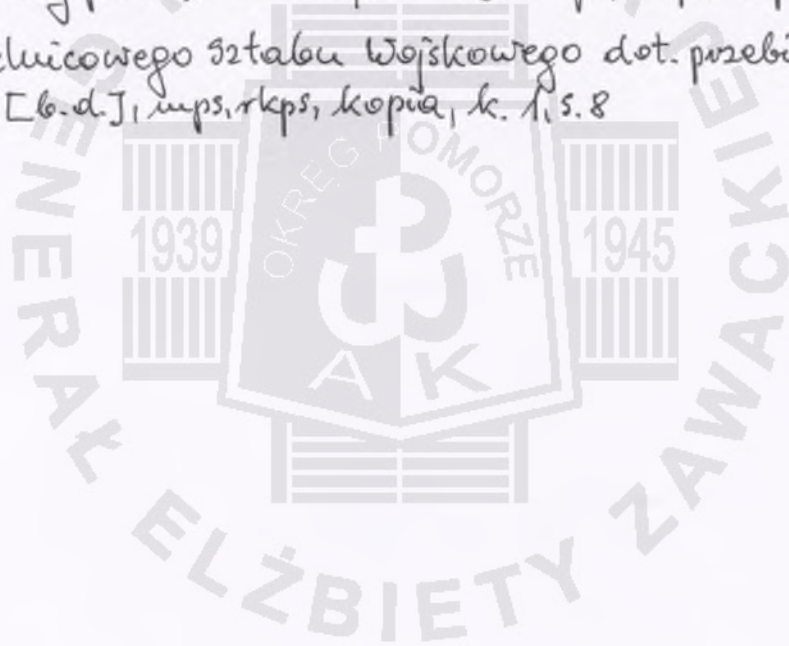
Później podejmowałam pracę w Polskim Radio, w „Domu Książki”, w redakcji pisma „Weteran Walki i Pracy”, w Centralnej Poradni Amatorskiego Ruchu Artystycznego, w Centralnym Zarządzie „Społem”, a na koniec w Ambasadzie PRL w Budapeszcie (mąż był na Węgrzech zastępcą dyrektora Instytutu Kultury Polskiej).

Prawa inwalidy wojennego uzyskałam w 1979 r. Od 1982 r. Jestem na emeryturze.



## I/2 Dokumenty

- Dokument Archiwum Celinogradu dotyczący przebywania G. Ochwik w Akmolesku, 1991, mps, kopia, k. l. s. 1, wj-ros.
- Dokument wyplatany przez Prokuraturę w Akmolesku dotyczący przesiedlenia G. Ochwik do Kazachstanu, Akmoła 1992, mps, rkps, kopia, k. l. s. 2-3, j-ros.
- Dokument wydany przez archiwum Brestskiej obłasti dot. wywiezienie rodziny Ochwik, Brest 1999, mps, rkps, kopia, k. l. s. 4, j-ros.
- Dokument - lista osób pkt-D Inne osoby wymagające szczególnej opieki, Polski Instytut i Muzeum Sikorskiego [b.d.], mps, kopia, k. l. s. 5
- Arkusz weryfikacyjny [b.d.], mps, rkps, kopia, k. l. s. 6
- Charakterystyka służbowa 2-cy Komendanta Szpitala Granicznego w 64 w Bydgoszczy por. G. Ochwik, [b.d.], mps, rkps, kopia, k. l. s. 7
- Dokument Dzielnicowego Sztabu Wojskowego dot. przebiegu służby, W-wa-Soliborz [b.d.], mps, rkps, kopia, k. l. s. 8





1/21

АРХИВНАЯ СПРАВКА

В документах Государственного архива Целиноградской области имеются сведения, что гр. Охник Геновефа Антоновна, рождения 1920 года /дата рождения - так в документе/, по состоянию на 25 июля 1942 года проживала в городе Акмолинске и работала канцелярским работником в Польском представительстве.

25 июля 1942 года она была арестована по обвинению в шпионаже и антисоветской деятельности. Однако решением Особого Сопещения при НКВД СССР от 21 октября 1942 года за недостаточностью улик о деятельности Охник Г.А. дело по ее обвинению было производством прекращено, а сама она из-под стражи освобождена.

Имеются также сведения, что 11 мая 1941 года Охник Г.А. арестовывалась, однако суду не представлялась в связи с амнистией польских граждан.

Директор Государственного  
архива Целиноградской области



Б.В.Токарев

№3-11/56

29 июля 1991 года



FUNDACJA  
"Archiwum i Muzeum Pomorskie  
Armii Krajowej oraz Wojskowej Służby Polek"  
w Toruniu

Wpłynęło dnia: 3.03.2008

L. dz. 619/1954-412/08.

d. Generały Litawskiej

Załączniki: .....

Referent: .....





1/2/2

ПРОКУРАТУРА  
 АКМОЛИНСКОЙ ОБЛАСТИ  
 ЦЕЛЛИНОГРАД  
 ул. Комсомольская  
 телетайп ЦП-197  
 № 13-1024-52  
 г. Целиноград — 473022

СПРАВКА

09 июля 1992г.  
г. Акмола

Охник Геновефа Антоновна, 1922 года рождения, уроженка Люблинской области Луковоского района в Польше, по национальности полька, гражданка СССР, в 1940 году в административном порядке по национальному признаку была переселена с постоянного места жительства вместе с родителями в Акмолинскую область Казахской ССР, где находилась под надзором спецкомендатуры МВД и проживала в пос. № 27 в Акмолинском районе Акмолинской области, нигде не работала.

19 мая 1941 года она была арестована УКГБ по Акмолинской области 24 мая 1941 года ей было предъявлено обвинение в том, что она, являясь участницей антисоветской группы, систематически вела антисоветскую агитацию, принимала участие в составлении антисоветского содержания стихов, писем, песен, листовок и распространяла их, т.е. в совершении преступлений, предусмотренных ст.58-10, II ч. I УК РСФСР.

На основании Указа Президиума Верховного Совета СССР от 12 августа 1941 года "Об амнистии польских граждан" уголовное дело в отношении Охник Г.А. 26 ноября 1941 года было прекращено и она из-под стражи освобождена.

Она же, Охник Г.А., 19 июня 1942 года УКГБ по Акмолинской области снова была арестована и 7 августа 1942 года ей было предъявлено обвинение в том, что, являясь активным участником антисоветской шпионской организации, вела шпионскую работу в пользу иностранной разведки против СССР, занималась антисоветской пропагандой, направленной на дискредитацию советского строя, т.е. в совершении преступлений, предусмотренных ст.ст.58-6, 58-10 ч.2, 58-II УК РСФСР.





Przyjęte G. Litwoske 3<sup>III</sup> 2008 11. dz. 613/WSE-412/08



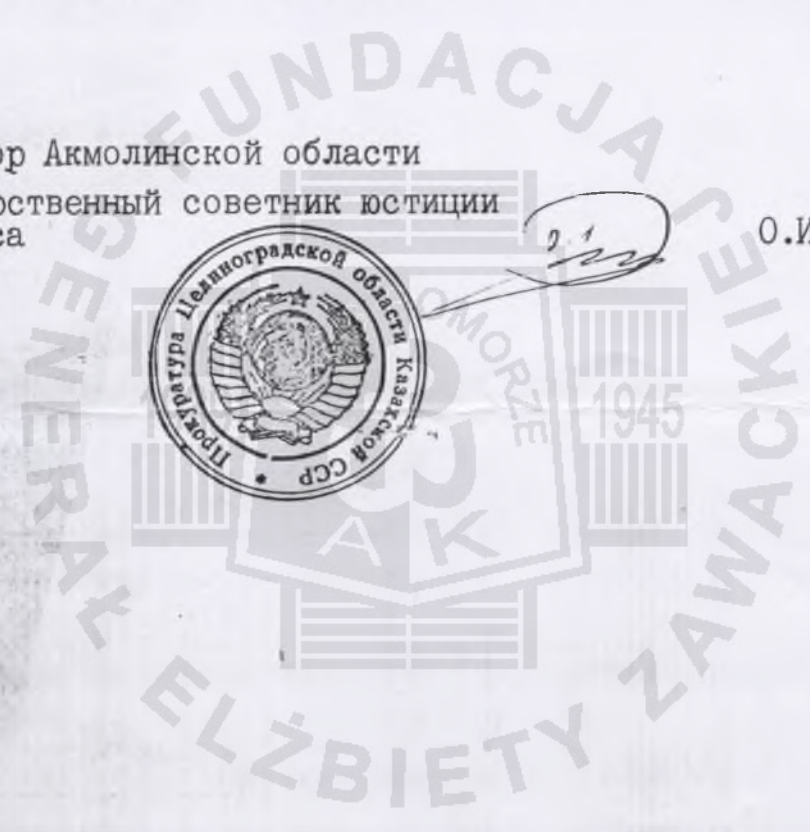
2.

Постановлением Особого Сопещения при НКВД СССР от 21 октября 1942 года уголовное дело в отношении Охник Г.А. производством прекращено за отсутствием в её действиях состава преступления и она из-под стражи освобождена.

В соответствии с Указом Президиума Верховного Совета СССР от 13 августа 1990 года " О восстановлении прав всех жертв политических репрессий 20-50 годов" Охник Геновефу Антоновну следует считать реабилитированной.

Прокурор Акмолинской области  
Государственный советник юстиции  
3 класса

О.И.Гайданов



4/4

АРХИВНАЯ СПРАВКА

В документах государственного архива Брестской области имеются сведения, что до 1940 г. ОХНИК Антон (отчество не указано), 50-лет, полицейский, его жена – Софья (фамилия и отчество не указаны) 47-и лет и четверо детей (их фамилии, имена, отчества не указаны) проживали в г.Кобрине Брестской области и в 1940 г. были вывезены органами советской власти в неизвестном направлении.

Директор государственного  
архива Брестской области



*А.В.Теребунь*  
А.В.Теребунь

Л-10

28.09.1999



## -5- LISTA OSOB

20. MASZYN Emil z żoną Jarosławska obl., Neja, ul. Nejska 11.
21. DOMASZEWICZ Wincenty z żoną Jarosławska obl., Neja ul. Komunarów 5.  
i 4 dzieci
22. NOWAK Jan i żona Komi, Sysolski rej., Wizinga, ul. Sowieck  
ja Czapaiewa 62.
23. RAKOWER Arkady córka Danuta Kirów, ul. K. Marksa 130. Mosk., ul. Penzeńsk  
Nr. 35
24. DOMALEWSKA Eugenia Archangielsk, Jemecki rej. Sija, Głu-  
bokoje
25. OSINSKI Janusz /żona i córka/ Mołotowska obl., Czernożski rej. Majkor.
26. NUTKIEWICZ Don /żona i 2 dzieci/ Komi - Palewicy
27. HORBACZEWSKI Leon Mołotowska obl. Gajny, Nabiereżnaja 24.
28. NOWIKOW Salomon Gorkowska obl. Bogorodski rej. Dudienie-  
wo, Jużny Kazachstan, Czajak
7. BARANIEWSKA Wanda - 3 dzieci - Semipalatyjsk, ul. Stalina 119.
- D. I n n e . . . . . w o s o b y . . . . . wymagające szczególnej opieki**
1. PIASKOWSKA Alina - Kustanaj, ul. Gstrowskiego 24.  
z matką i siostrą
2. GIERTOWSKI Bronisław z żoną Kustanaj, Taszkentska 16.
3. Dr. AMAN Michał z żoną i dziećmi. Kustanaj, ul. Nabiereżna 13.
4. MATWIJOWSKA Krystyna z matką Kustanaj, Taszkentska 44 a.
5. LACHOWICZ ANNA Kustanaj, Ostrowskiego 24.
6. KILIANOWA Janina Samarkand BKZ., Kooperatywna 19.
7. TOMKIEWICZ Jakób z rodziną Płdn. Kazachst., Czinkent, Mielnicznaja 4 a.
8. OCHNIK Genowefa Akmolińsk, ul. Omska 23.
9. ZAGORSKA Maria z córką Ewą Kustanaj, Taszkentska 44 a.
10. BARANSKI Marian z żoną Janina Kustanaj, Narymanowka 36.
11. BABULSKA Anastazja, Michał i Alina
12. DROZDOWA Wanda z synem Feliksem Kustanajska obl. Miendygarynski rej.  
p. Wwiedenka



1/2/6

MINISTERSTWO OBRONY NARODOWEJ  
OKRĘGOWA KOMISJA  
Rejestracyjno-Weryfikacyjna Nr. 8

Nr. aktu pers. ....

# Arkusz weryfikacyjny

Pomocnik Lilorska Genarefa zd. Odznaka Sztetu. 1922  
 Stopień wojskowy Nazwisko, imię i imię ojca Rocznik  
Posuań ul. Ludowa 6 w. 3. Posuań - Miasto  
 Miejsce zamieszkania Przynależność do R.K.U.

Stawił się dnia 25.06.1949 r. w Posuań przed Okręgową Komisją Weryfikacyjną Nr. 8

Opinia Komisji Weryfikacyjnej

Oficer Oddziałowego HP. Ukończenia Centr. Szk. Oficerów Politycznych w Moskwie 1944r. Opie był internowany do ZSR po 1939r. jako funkcjonariusz Z.P. Berpostyjna. Wydaje się być politycznie lojalny. Studiował na uniwersytecie. Dla wojska nie przedstawia specjalnej wartości.

Stopień przedstawiony do weryfikacji

chorąży Odr. H.P. - 1944 r.



Zweryfikowany (ustalony) stopień wojskowy

~~Porucznik~~  
 chorąży sprawdzony - Rozk. Now. Nr. 6 z dnia 14.08.1944r. starszeństwo 15.08.1944r.

Specjalność cywilna

Studencka.

Specjalność wojskowa (Nazwa i nr)

243 246 211.

Wniosek co do wykorzystania oficera

FI

Podpisy członków komisji:

*[Handwritten signatures]*  
Pierwsza  
Druga  
Trzecia



Charakterystyka służbowa

20  
A  
11  
J  
10  
4/2/7

z-cy Komendanta Szpitala Garnizonowego Nr.64 w Bydgoszczy do spraw polit.-wychowawczych, porucznik OCHNIK Genowefy, c.Antoniego, urodz w r.1922, narodowosci polskiej, posiadajacej wyksztalcenie srednie.-

Por.Ochnik obowiazki z-cy komendanta do spraw polit.-wych. pełni od dn.6 wrzesnia 1944 r.

W czasie swej pracy na tym stanowisku dala sie poznac jako oficer energiczny, zdyscyplinowany i oddany powierzonym obowiazkom. Stale wykazywala inicjatywe w pracy politycznej i wychowawczej. Uzyskala bardzo dobre wyniki w dziele nalezytego informowania rannych i wszystkich obecnych przejawach zycia politycznego, spolecznego i gospodarczego.

Por.Ochnik cieszyła sie sympatia i autorytem jak wsrod kolegow, tak i wsrod podkomendnych, utrzymujac jednoczesnie odpowiedzialnosc za dyscypline.-

Por.Ochnik dobrze zasluzyła sie sprawie odbylowy Demokratycznej Ojczyzny na powierzonym jej odcinku pracy.-

Wniosek: Zajmowanemu stanowisku w zapelnosci odpowiada.-

Moze byc zatrudniona na innym, odpowiedzialnosc do jej stopnia, stanowisku kierowniczym w dziale polit.-wych

Z-ca Szefa Fr.P.Ew.Nr.8  
do spraw pol-wych.


/Gorbienko, plk/

*[Handwritten signature]*

7



30 Dokładny przebieg służby

Od — do	Jednostka lub instytucja wojskowa	Stanowisko	Nr i Data rozkazu
23. X. 43 - 1. XI. 43.	Batalion Kobięcy przy kompanii	jako szeregow.	
2. XI. 43 - 1. XII. 43	Szkola podofic przy kompanii	jako przynies.	
2. XII. 43 - 19. II. 44	Batalion Kobięcy	I. cor. h-ty Kom. filijerdu. 6. stopnia	
20. II. 44 - 30. VI. 44.	Centralna Szkoła Pol. Wyż. Moskwa	kursant	
31. VI. 44 - 1. VIII. 44.	Szkoła Pol. Wyż. w. 9.	Starszy Inż. propag. Artystyczny	
2. VIII. 44 - 15. XII. 44.	Szpital Euroku. 1164.	I. cor. kom. do spraw Pol. Wyż.	
14. XII. 44.	Zorganizowana rotacja Maci A. 2. kor.		Nr 1008 23. 10. 45.

16. 4. 48. *promocja do rezerwy* *Art. 63. dekr. z dn. 3. 12. 48.*

*Lt Kowalska Genowefa*

*Dnia 1. 01. 19. 48. w Warszawie*  
*art. 46. ust. 2. pkt. 1. 1. 48. ustawy z dnia 24. 11. 1947. p. o szczególnym obowiazku*

MP \_\_\_\_\_ Podpis

SZEF  
 Działalowego Sztabu Wojskowego  
 Warszawa-Zoliborz

*[Signature]*  
 plk Henryk Chlebanowski







Przystań G. Likawskie 3 III 2008 r. / 1. dz. 613 (WSK-412/08) 33



## II Materiały uzupełniające relację

- G. Likowska z d. Ochnik, Praca oficera polit.-wych. w szpitalu LWP, W-wa 2003, mps, rkps, oryg., k. 3, s. 1-3
- G. Likowska, Czas twógi, przeżycia i strachu 1939-1945. Losy wojenne Genowefy Likowskiej z domu Ochnik [w:] [twak inf.], [b.d.], mps, kopia, k. 49, s. 4-52





Genowefa Likowska  
z d. Ochnik

#### Praca oficera polit.-wych. w szpitalu LWP

Szpital ewakuacyjny nr 64 to wielka jednostka, bardzo specyficzna. Do tego szpitala, do Lublina, byłam skierowana niejako na próbę we wrześniu 1944 roku. Po miesiącu bodajże zostałam p.o. z-cy komendanta do spraw pol.-wych.

Szpital mieścił się w przedwojennym gimnazjum na ul. Narutowicza. Bokiem przylegał do gimnazjum SS Urszulanek i kościółka. Młodzież szkolna z tego gimnazjum bardzo szybko nawiązała ze mną kontakt. Dziewczęta, chyba z inspiracji sióstr, zorganizowały paczuszki z jakimiś łakociami, odwiedzały też rannych. Było to niesłychanie ważne dla leżących w szpitalu żołnierzy, tym bardziej że ze strony przybyłej ze Wschodu armii LWP, jak również Armii Krajowej, budowano mury podejrzliwości.

Ranni żołnierze autentycznie cieszyli się z tych odwiedzin, młodzież dowiadywała się, że "oni" przyszli "z poza gór i rzek", z Syberii i łagrów. Nie było w tym propagandy, tylko stwierdzenie faktu, jak było, bo ranni, choć cierpiący, byli autentycznie szczęśliwi, że są nareszcie na polskiej ziemi.

Ranni żołnierze, jak i personel, byli informowani o działaniach na froncie. Miejscem spotkań była świetlica (tzw. z rosyjska klub), gdzie wisiały na czerwonym płótnie hasła: Niech żyje Armia Czerwona! Naprzód do walki! Do Berlina! Hasła były właściwie słuszne, chociaż w zasadzie wszędzie wisiały takie slogany, to nie wiem, czy wielu podnosiło głowy i czytało, ot po prostu były, bo tak miało być. Napisów za mojej pamięci nie zmieniano. Świetlicą zajmował się sierżant należący do aparatu pol-wych.

W świetlicy często urządzano przedstawienia. Ranni, którzy mogli chodzić, z przyjemnością patrzyli na balety. Występowali artyści z Warszawy, robili to chętnie, jako gażę dostawali jedynie poczęstunek. W świetlicy były też organizowane pogadanki, szczególnie dotyczące linii Kurzona. Żołnierze, a wielu z nich było zza Bugu, słuchali ze zrozumieniem, nie



zadawali pytań ani też nie drażyli tematu. W Nowy Rok w świetlicy rozbrzmiewała muzyka taneczna dla personelu szpitala.

Niezwykle ważnym zajęciem dla podległych mi osób (dwóch oficerów pol.-wych.) było pisanie listów pod dyktando ciężko rannych. Na ogół były to listy do matek, dziewczyny piszące te listy, zdawały sobie sprawę, że to być może jest już ostatni list do domu ciężko rannego żołnierza.

Personel sanitarny był przemęczony ogromem pracy. Lekarze nieraz słabli przy operacji, bo pracowali niekiedy na okrągło, także sanitariuszki pełniły służbę nawet wtedy, gdy miały wolny czas na odpoczynek.

Dużo kłopotów sprawiali oficerowie kwatermistrzostwa, oni wszyscy byli z armii radzieckiej. Niekiedy konieczna była interwencja prokuratury. Raz złożyłam w tej sprawie raport. Bałam się, lecz musiałam złożyć doniesienie do prokuratury, tyle było nieprawidłowości w kwatermistrzostwie. Pomagał mi w tym prokurator Malawski, a wspierał mnie główny Zarząd Pol.-Wych.

Na etacie szpitala był również kapelan, który wcześniej zaliczył pobyt w ciężkim obozie sowieckim. Po początkowych nieporozumieniach, już po przeniesieniu szpitala do Bydgoszczy w marcu 1945 roku, współpraca nasza ułożyła się wzorowo. Jeszcze w Lublinie dostałam nominację na porucznika i z-cę komendanta szpitala do spraw pol.-wych. Pracę swą lubiłam i chyba byłam lubiana.

Dla młodych sanitariuszek ogromnym wsparciem była chor. Kucharska, która też była po ciężkich przejściach w Związku Radzieckim, była tam poddawana ciężkim przesłuchaniom w więzieniu KGB. Widziałam na jej palcach ślady po zdzieraniu paznokci. W szpitalu była bardzo ofiarna, pomocna i wrażliwa, ciężko pracowała, była też powiernicą młodszych sanitariuszek. Ale ciężkie przeżycia pozostawiły ślady na jej psychice. W Bydgoszczy, gdy pracujący w naszym szpitalu jej bratanek uciekł do tzw. "band leśnych", ona z lęku o jego los, nie wytrzymując tego napięcia, popełniła samobójstwo, strzelając do siebie z pistoletu. Była to duża strata i ból dla nas wszystkich.



Boleśnie przeżyliśmy jej śmierć. W pogrzebie uczestniczył każdy, kto mógł. Kondukt prowadził nasz kapelan, mimo początkowych oporów, bo była to przecież samobójczyni. Potem, w kilka miesięcy później, szukała jej u nas w szpitalu jej siostra, która wróciła z Syberii z czwórką dzieci. Bardzo liczyła na jej pomoc, bo została wdową, jej mąż zginął w tajdze, przywalony drzewem.

Front się oddalał, ozdrowieńcy opuszczali szpital. W trakcie pobytu w szpitalu nawiązywali bliższe znajomości ze "swoimi" pielęgniarkami. Wyprawiliśmy kilka ślubów. Niedaleko Fordonu pod Bydgoszczą, szpital miał gospodarstwo pomocnicze, skąd przychodziło wsparcie żywnościowe, także na te weseliska. Ozdrowieńcy ze swoimi młodymi żonami dostawali jako osadnicy opuszczone gospodarstwa poniemieckie.

Wczesną jesienią 1945 roku szpital ewakuacyjny został szpitalem garnizonowym. Wtedy przybyło wielu lekarzy radzieckich. Atmosfera stawała się nieznośna. Zaczęto mi zarzucać nieprawidłowy sposób i styl pracy pol.-wych. Miewałam trudne rozmowy z oficerami radzieckimi, leżącymi w szpitalu, ich żądania niekiedy przerastały możliwości naszego szpitala. Zdecydowałam się skorzystać z pierwszej możliwości demobilizacji, trzy razy stawałam do raportu do mego zwierzchnika, płk dr. Sameta, który, jak później się dowiedziałam, był aresztowany z powodów politycznych.

W listopadzie 1945 zapisałam się, jako studentka nadzwyczajna, na wydział prawno-ekonomiczny na Uniwersytet w Poznaniu. Maturę zdałam dopiero w lutym 1946 roku, co pozwoliło mi zdawać egzaminy z pierwszego roku studiów w terminie wiosennym.

*J. Lichonina*



## Czas trwogi, przerażenia i strachu 1939 – 1945

Losy wojenne Genowefy Likowskiej z domu Ochnik

Lata płyną, mimo mojej dobrej pamięci, gdy mam już 86 lat, wspomnienia jednak bledną, postaci i ich słowa oraz czyny się zacierają. Chciałabym coś z tych moich przeżyć ocalić od zapomnienia, ożywić dla moich bliskich – bliższej i dalszej rodziny, ale i osób, które przeżyły podobne wypadki życiowe i są członkami Stowarzyszenia Sybiraków i innych organizacji weteranów. Chciałabym przy tym ożywić ludzi mi bliskich – którzy wprawdzie dawno już temu odeszli, lecz ciągle żyją w moich myślach i sercu.

### Wyjaśnienie: co chcę zawrzeć we wspomnieniach

Zaczynam te wspomnienia od opisu losów mojej rodziny – Matki i Ojca, scharakteryzowania środowiska, z jakiego się wywodzili i w jakim przychodziło wzrastać mi i moim braciom z dobrymi, jak na tamte, przedwojenne lata, perspektywami na awans społeczny dzięki edukacji. Rodzina była bowiem w istocie uboga, niezwykle surowo oszczędzano na budowę domu, ale i na edukację dzieci – i leczenie zębów (kosztowne wtedy), na co mój Ojciec kładł wielki nacisk.

Chcę także wykazać całą obłudę Związku Sowieckiego, który dokonał podstępnej inwazji na Polskę w dniu 17 września 1939 r. ręka w rękę ze zbrodniczym reżymem nazistowskim, pod hasłami „ochrony” interesów ludności pochodzenia mniej lub bardziej rosyjskiego oraz zaprowadzania „ustrój sprawiedliwości społecznej”. Cały bowiem naród polski stał się ofiarą bezrozumnych, okrutnych i fizycznie wyniszczających represji, pozornie stosowanych na oślep. Ale nie: głównym celem ataków sowieckiej policji politycznej byli: polska inteligencja w postaci zmobilizowanej jako oficerowie rezerwy do wojsk drugiego rzutu, ogarniętych sowiecką nawałą po 17 września; osoby utrudniające przemytniczą i polityczną infiltrację granic wschodnich (na przykład Korpus Ochrony Pogranicza, celnicy); osadnicy wojskowi (jako osoby oddane państwowości polskiej), dla celów prostackiej propagandy i pozyskania pokłasku miejscowych kłusowników i złodziei drewna, ale i utrudnienia ewentualnej polskiej partyzantki, niszczone leśników, gajowych, inżynierów leśnych itp. osoby (oraz ich rodziny!) doskonale znające okolicę. Naturalnie, „państwo robotników i chłopów” nie mogło tolerować policji i urzędników wrogiego ustrojowo i wojennie państwa – i ich także dotknęły więc represje w swym okrucieństwie godne czasów mongolskich najazdów.

Moja rodzina bowiem, poza pracą Ojca w Policji Państwowej na niewysokim stanowisku starszego posterunkowego, którą można było mocno – naciągając sprawę – uznać za potencjalnie szkodliwą dla państwa sowieckiego, wypełniała jednak manifestowane zasadnicze kryteria pożądanej sowieckiej komórki społecznej: bez większego majątku w postaci ziemi, innych nieruchomości (tylko domek wybudowany za długoletnie oszczędności), z aspiracjami do podnoszenia poziomu edukacyjnego... A jednak spotkała nas, obok tysięcy innych rodzin, śmierć Ojca, zesłanie (w zamyśle i domyśle dożywotnie, a na zawsze dla naszego potomstwa). Żyliśmy z pracy rąk – ale byliśmy Polakami.

Rosja, a potem Związek Sowiecki, potrzebował bowiem ogromnych zasobów siły roboczej, aby „zabezpieczyć się” przed ewentualnymi najazdami sąsiadów, zwłaszcza z Zachodu, i aby zapewnić wyżywienie



w kraju o wyjątkowo krótkim okresie wegetacyjnym w rolnictwie z powodu surowych warunków klimatycznych niskiej wydajności ziemi i efektywności hodowli, itp. Dlatego już w czasach carskich przemocą osiedlano na pasach czarnoziemiu w Azji Środkowej chłopów pochodzących z Rosji; akcja ta, znacznie brutalniej i bezwzględniej, była kontynuowana za czasów już sowieckich aż do lat '30. Sowiecka historiografia mówi o walkach z basmaczami<sup>1)</sup> – jak zbiorczo nazywano partyzantów, bojowników przeciwstawiających się fizycznemu wyniszczaniu ich narodów, określając ich jako bandytów. My – deportowani, mieliśmy wypełnić pustkę po wielu wybitych narodach i wykonywać w ich miejsce pracę dla państwa sowieckiego/rosyjskiego.

Chcę w tych wspomnieniach zawrzeć także wiedzę, jaką zdobyłam potem, czasami po dziesiątkach lat. Jestem przekonana, że takie pogłębione wspomnienia są przydatniejsze dla późniejszych czytelników, nie irytują przemilczeniami i brakiem wiedzy czytelników z następnych pokoleń, nie rażą naiwnością.

Postawa: „tyle wtedy wiedziałam” jest moim zdaniem niepotrzebnym ograniczaniem przekazu wspomnieniowego, przez brak osadzenia go w kontekście. I tak, jako że nie jestem historykiem, pomijam, opuszczam czy wadliwie interpretuję wiele kwestii, ale to trzeba już mi wybaczyć. Dołożyłam starań, aby te wspomnienia były pełne, lecz bez przegadania i zbędnej erudycji.

Czas sprawia, że przeszłość wydaje się tak odległa, ale zarazem wszystko tak wyraźnie i boleśnie pamiętam; boleśnie, bowiem nie był to okres szczęśliwy w moim życiu, choć wchodziłam dopiero w dorosłość; są to zwykle lata burzy szczególnych uczuć i uniesień w życiu młodości. Co gorsza, dopiero wiedza historyczna i polityczna jaką zdobyłam prze minione lata, a także prosta znajomość losów ludzi takich jak ja, od dopiero niewielu lat dostępna także w książkach wydawanych w oficjalnym obiegu, dopiero pozwoliła mi na prawie pełną ocenę tego, co nas tak niesprawiedliwie spotkało. Przedtem większość z nas, deportowanych, nic nie rozumiała - docierały do nas tylko poszczególne akty dotkliwych represji, niezasłużone szykany, stałe ocieranie się o śmierć – i ona sama. Ale nie rozumieliśmy, dlaczego!

Nade wszystko na parę lat utraciłam Ojczyznę – wbrew mojej woli uczyniono ze mnie obywatelkę obcego, wrogiego państwa, utraciłam dom, który budowano za cenę wyrzeczeń całej rodziny i to na całe życie, utraciłam w wyniku wojny bliskie mi osoby z rodziny i przyjaciół, rozerwał się krąg społeczny, w jakim każdy młody człowiek dorasta i dojrzewa czerpiąc wzorce z rodziny, otoczenia (sąsiadów i przyjaciół), ucząc się ról społecznych i zdobywając bardziej formalną wiedzę. Znaczna część mojego pokolenia została pozbawiona tego bezpiecznego środowiska, w jakim najczęściej rozwijają się młodzi ludzie.

Przesuwają mi się przez nawet zamkniętymi oczami obrazy, wydarzenia, postaci i ich głosy, wydarzenia wielkiej wagi i drobne szczegóły, nie wiadomo dlaczego zapamiętane. Chcę podjąć trud uporządkowania tych wspomnień. Rzeczy być może nieistotne nawet dla mnie osobiście, będą się przeplatać z wydarzeniami tak okropnymi dla mnie, że i teraz, po prawie 70 latach powracają z całą wyrazistością... Będą to również sprawy wagi państwowej i nawet międzynarodowej – które miały wyraźny wpływ na moje życie.

Trudno mi już określić niekiedy, w jakim miesiącu w danym roku, – bo lata pamiętam dosyć dobrze – coś się zdarzyło, ale po latach koszmarów i bolesnych wspomnień czasami doprawdy trudno spamiętać wszystko z umiejscowieniem w czasie i przestrzeni. Bardzo się staram, choć pamięć jest oporna, zatrzymuje tylko najboleśniej fragmenty, zwykle pomija te poniżające, mało istotne czy mniej bolesne...

<sup>1)</sup> **Basmacze** - w przedrewolucyjnej Rosji ludowi bandyci w Azji Środkowej. Po obaleniu rządu A.F. Kiereńskiego - zbrojne oddziały walczące w obronie autonomicznego Kokandu, a po jego likwidacji (luty 1918), występujący przeciwko władzy bolszewickiej w celu jej obalenia, oderwania od Rosji Radzieckiej Turkiestanu oraz utworzenia na tym terytorium niepodległego państwa. Główne działania toczyły się na obszarze Buchary, Chiwy, Fergany i Samarkandy. Poparcia powstańcom udzielały: Wielka Brytania, USA, Turcja, Chiny, Afganistan. Do walki z basmaczami bolszewicy powołali w październiku 1919 Turkiestańską Komisję WCiK i Rady Komisarzy Ludowych. Od wewnątrz rozbijano oddziały basmaczów poprzez werbunek powstańców do jednostek "sowieckich basmaczy", formowanych przez M.W. Frunzego. Komuniści w walce z partyzantami korzystali także z pomocy sprzymierzonych z nimi dżadidów (tatarskich reformatorów). Trzon tych sił został rozbity w czerwcu 1922 r., a do końca roku zostały zlikwidowane pozostałe oddziały w Chorezmie i Ferganie. Ruch basmaczów odrodził się 1929-1933 jako protest przeciwko kolektywizacji wsi w Azji Środkowej. Ostatecznej bardzo brutalnej likwidacji basmaczów dokonały radzieckie wojskowe ekspedycje karne.



Muszę podkreślić, że czas niepodległości Polski po 1945 r. był z mojego punktu widzenia tak okrojona wolnością, że byłoby samobójstwem cywilnym, albo w najlepszym wypadku skazaniem rodziny na vegetację, gdybym przed 1989 r. szerzej upowszechniała swoje przeżycia związane ze Związkiem Sowieckim. Wracalam do Polski z I Armią WP, jako oficer oświatowy (później przemianowano tę funkcję na „oficera polityczno-wychowawczego”) lecz wspominać losów, jakie mnie spotkały przed poborem do tego wojska - nie było wolno! Nie czytałam takich wspomnień, w kwestionariuszu składanym w kadrach pisałam: w czasie wojny znalazłam się w ZSRR, albo że byłam „ewakuowana” i wszyscy już wiedzieli, co to oznaczało.

W roku 1939 złamało się moje dzieciństwo i początek dojrzewania, może nie za bardzo szczęśliwe, ale na swój sposób bezpieczne i spokojne. Szkoła, koleżanki i koledzy, przyjaźnie sympatie i pierwsze zauroczenia... Przyszłość rysowała się dosyć pewnie, choć tak młodzi nie przywiązywaliśmy do niej wielkiej wagi. Świat albo by nam pozwolił zająć jakieś godne nas miejsce w dorosłym życiu, albo byśmy je sobie wywalczyli – takie młodzieńcze zadufanie. Po gimnazjum byłoby liceum i może studia, otwarte okno na świat, dobra praca, małżeństwo i dzieci... Dziadkowie uwielbiający wnuki, spokój i cicha radość wizyt – powrotów do domu rodziców...

Nagle nastąpił koniec tego świata: szkoła nie rozpoczęła się w odwiecznym, zdawałoby się, terminie, wycie sztukasów i huk bomb druzgoczących biedne drewniane domki naszego miasta, palba z armat, z broni maszynowej i karabinów. Wkraczają Niemcy! Jeszcze dzisiaj mam gardło ściśnięte pisząc o tym. A to dopiero był początek losu, jaki spotkał setki tysięcy ludzi z naszych okolic – kresów wschodnich. Ale nie tylko ludzi z naszych okolic.

### Wojenne losy Polaków

Tu chcę wykazać, że losy mojej rodziny są poniekąd uśrednione dla całego społeczeństwa Polski.

Mój mąż, poznany i poślubiony już po wojnie, na studiach w Poznaniu, pochodził z Wielkopolski, z dobrze sytuowanej rodziny pracującej inteligencji. Jego losy były nie mniej tragiczne, też wysiedlenie z bagażem ręcznym, też rozstrzelanie przez Niemców jego Ojca, lekarza powiatowego w Wągrowcu.

Mój mąż, wysportowany i doskonale przeszkolony bojowiec podziemia, na mocy rozkazów AK pełnił odpowiedzialne, choć niewysokie, zdawałoby się, funkcje ochrony w Górach Świętokrzyskich radiostacji, z której Delegat Rządu na Kraj komunikował się z Londynem. W Kielcach w parku miejskim od 1987 r. stoi niewielki pomnik upamiętniający bojowy czyn Jego i kolegów – bojowców, którzy dokonali siódmego, wreszcie skutecznego zamachu na nadzwyczaj niebezpiecznego agenta Gestapo, niejakiego Wittka; było to zaledwie 30 m od komendy Gestapo na Kielce! Odznaczony za to został przez Londyn krzyżem Virtuti Militari (lecz nie mógł weryfikować tego cennego odznaczenia aż do 1989 r.), przez rząd lubelski zaś, Krzyżem Grunwaldu II klasy (który w zamierzeniu miał zastąpić Virtuti Militari). Virtuti Militari wręczono mu wreszcie w Ministerstwie ds. Kombatantów w 1993 r.; figurował w Kapitulie orderu Virtuti Militari. Mąż stracił w tej akcji prawą nogę aż do połowy uda.

Ja pochodziłam z Podlasia, mąż z zachodu Polski. Z moim najmłodszym bratem wróciliśmy z I Armią WP do Polski; mój drugi brat (ja byłam najstarsza) dostał jeszcze powołanie do wojska formowanego przez generała Andersa. Do obu wojsk, najpierw tzw. Armii Andersa, potem do I i II Armii WP, powoływał sowiecki Wojenkomat, odpowiednich naszych komisji poborowych, przy poborze był początkowo obecny delegat wojska gen. Andersa. Potem brat Marian przeszedł szlak z Armią Andersa z Monte Cassino włącznie, krótko mieszkał w Anglii i od 1954 r. żyje w Kanadzie. Wysłałam z wojny na pozór bez większych uszkodzeń zdrowia. Od lat jestem inwalidką wojenną II grupy, a mam obecnie przyznaną I grupę z powodu ogólnego stanu zdrowia, niewątpliwie nadwreżonego w młodości spędzonej w łagrach i wojsku; nie jestem mocnej budowy ciała.



## Skąd mój ród: rodzina, środowisko, wykształcenie.

Rodzice moi pochodzili spod Łukowa, położonego na południowy wschód od Siedlec na drodze lubelskiej z Warszawy. Były to okolice stosunkowo ubogie, gleby są tam generalnie niebogate, lasów też nie było dużo, brakowało bliskości większych ośrodków miejskich i większych zakładów przemysłowych, a także dróg innych niż gruntowe. Sieć kolejowa była bardzo rzadka, celowo utrzymywana tak przez władze carskie na zapleczu możliwego frontu, i dostosowana była do celów wojskowych, z całkowitym pominięciem celów gospodarczych; sieć kolejową rozbudowano dopiero w latach '60 XX w., nawierzchnię niektórych mniejszych dróg poprawiono nieco wcześniej.

Matka pochodziła z gospodarskiej rodziny Warpasów ze wsi Jeleniec, Matka miała defekt fizyczny, bowiem jedną nogę miała nieco zniekształconą po przejściu choroby Heine-Medina (teraz częściej nazywanej polio). Jej walory podnosiła obiektywnie duża uroda oraz poważny status solistki w chórze kościelnym, nobilitujący nie tylko w rodzinnej wsi, ale i w całej okolicy. Była bowiem zapraszana do uświetniania większych uroczystości kościelnych, w tym odpustów. Matka odznaczała się też ogólną pracowitością i skrzętnością przy pracach domowych.

Ojciec Antoni był prawdopodobnie nieślubnym synem ziemianina z majątku Tuchowicz (wsi nieodległej od Jeleńca), który swoją podobno piękną kochankę, a moją babkę, ożenił z chłopem o 10 lat młodszym od babki (powierzając mu także dożywotnie stanowisko gajowego). Wyposażył ją także gospodarstwem, zapisanym jednak na męża, zgodnie z prawem i obyczajem epoki.

Mój Ojciec Antoni był, jak na tamte czasy, trochę „wykształcony”. Służbę wojskową odbył w armii carskiej, gdzie najpierw dowódcą dywizji był „biały” oficer, a potem dywizja przeszła na stronę bolszewików. Walcząc z Niemcami, dostał się Ojciec do niewoli niemieckiej. Gdy pociąg zmierzający do Niemiec nocą, dosyć powoli, jechał przez rodzinne okolice, Ojcu udało się uciec. Po nocy spędzonej w lesie, pierwszym napotkanym człowiekiem okazał się... jego młodszy brat! Dostał od niego żywność, i dalej mieszkał w tym lesie, szczęśliwie unikając poszukujących go patroli niemieckich; nawet jego matka nie wiedziała, że to właśnie jego szukają we wsi.

Ja urodziłam się 17 kwietnia 1921 r. niedaleko Jeleńca, we wsi Borowina Gąsecka. Zaledwie parę domów, z dala słychać było lokomotywę, która meldowała się na stacji gwizdem i nie zatrzymując się, dokądaś dalej pędziła.

A wokół lasy, trochę piaszczystych pól i piaszczyste drogi wśród tych pól, małe chałupki, na przyzbie których siedziały matki lub starsze siostry iskające młodsze dzieci. Chłopcy z reguły byli ostrzyżeni do skóry z powodu insektów, ewentualnie z małą grzywką z przodu – zupełnie tak, jak po niespełna stu latach dobrowolnie strzyże się część młodzieży męskiej!

Rodzice nie mieli tam własnego domu, wynajmowali izdebkę u sąsiadów matki mego Ojca. Wiele z tamtych czasów już nie pamiętam, byłam zaledwie 4 - letnią dziewczynką, gdy rodzice przenieśli się do stosunkowo dużej wsi ze starym, murowanym kościołem dawniej oo. cystersów, do których też chyba należały okoliczne stawy. Majątek zakonny sprzedano i odtąd należał do prywatnego właściciela. Chłopom w okolicy żyło się ciężko, dzień pracy na polach dziedzica był długi i mało płatny. Do dzisiaj pamiętam pieśń niosącą się po polach, szerzej w Polsce znaną jako pieśń bandoska: „ – *Zachodź-że słonecko, skoro mas zachodzić, bo nam po tym polu już jest ciężko chodzić...*”<sup>2)</sup>. Moi rodzice byli wtedy na najniższym szczeblu w społecznej hierarchii wsi – byli komornikami, osobami wynajmującymi „komorę”, czyli izbę u kogoś innego, bez własnego dachu nad głową. Urodziło się drugie dziecko, potem trzecie...

<sup>2)</sup> Bandosi - zorganizowane grupy robotników rolnych wynajmujące się do pracy we żniwa, głównie z kielecczyny; okazuje się, że powszechnie przez nich śpiewana pieśń miała walor uniwersalny na niemal wszystkich polach majątków w Polsce! Słyszałam ją także już po wojnie, ale już tylko w radio, nawet w przeróbce na jazz tradycyjny - nowoorleański!



Podjęcie służby w Policji Państwowej pozwalało Ojcu na zaliczenie służby w armii carskiej i na wojnie bolszewickiej<sup>3)</sup> – w 1924 r. został posterunkowym. Ojciec był zaznajomiony z bronią, strzelaniem i nawykły do dyscypliny, co było jego dużymi atutami. Liczył ma emeryturę, która by mu przysługiwała po 15 latach służby w Policji Państwowej z zaliczeniem nie tylko służby wojskowej w armii jeszcze rosyjskiej (zdaje się w jakimś rodzaju kawalerii; nie opowiadał szerzej o tym). Niepodległe państwo polskie honorowało bowiem i służbę wojskową w zaborczych armiach, i inwalidztwa nabyte w czasie tej służby – traktując wszystkich jak Polaków, bez rozróżnień uzależnionych od konkretnej armii, w której Polak służył. Dla formowanej na nowo polskiej Policji Państwowej ważne było właśnie to przeszkolenie wojskowe, nawyk stosowania się do regulaminów i ogólna karność.

Początkowo Ojca skierowano na Polesie do Czerniakowa w powiecie Próżana. Mieszkaliśmy tam pod samym lasem, po drugiej stronie drogi był brzozowy zagajnik, gdzie było mnóstwo czerwonołowych kozaków, których przynosiliśmy pełne kosze. W kępkach traw znajdowaliśmy gniazda trzmieli i przez słomkę wypijaliśmy z nich miód, w leniwie płynących okolicznych rzeczках było sporo ryb. Żywność tam nie była droga, ale rodzice często sobie odmawiali, bowiem grosz był potrzebny na artykuły przemysłowe. Bardzo w ogóle oszczędzali.

Żyli tam Poleszacy, obecnie zwani Białorusinami, którzy nazywali siebie „tutejszymi”. Sporządzali oni z łyka lipowego (jest lekkie, daje użyteczne łyko stosowane niekiedy jako sznurki, do wyrobu kobiałek jak z wikliny czy korzeni) obuwie: owijano nogi onucami, ściągano sznurkiem i można tym było świetnie chodzić zimą (latem naturalnie boso!), tylko przy wiosennych roztopach i jesiennych szarugach były te owijacze nieprzydatne, dokuczalo błoto. Pamiętam obfite śniegi i siarczyste mrozy, wiosną zalewane łąki. Matka moja nie mogła porozumieć się z miejscowymi ludźmi; nie znali oni polskiego, a matka białoruskiego – „chachłackiego”, jak wtedy powiadano.

Właścicielem obszernego domu, teraz policyjnego, był Rosjanin, który uciekł przed polską władzą. Była tam obora, w której dwie rodziny policjantów (i komendant posterunku) trzymały krowy i drób, był także chlewik. Nasza samowystarczalność była wymuszona tym, że sklepik znajdował się o 3 km, ale i tam chleba nie było bo wszyscy w okolicy piekli sobie sami. Matka, bywało, wysyłała nas do lasu po poziomki, jagody, jeżyny czy grzyby – i po półgodzinie już były pierogi z grzybami lub inne danie. Doskonale znałyśmy wszystkie grzybne i jagodowe miejsca i nigdy nie było problemu ze znalezieniem czegoś do jedzenia. Do szkoły chodziłam trzy kilometry, z tego duży kawał drogi przez las. Pewnego razu – jak jaki Czerwony Kapturek! – spotkałam w środku lasu wielkiego wilka, czy psa; nazywałam go potem wilkiem, ale wilki nie zbliżają się do ludzi – co innego kundle psio-wilcze, które właśnie są najbardziej niebezpieczne. Ja mu dawałam swoje drugie śniadanie, a on mnie nie zjadał... Pewnego razu Ojciec na rowerze wyjechał z domu mocno po mnie, też tą samą drogą przez las i mało z roweru nie spadł, jak zobaczył mnie zabawiającą się z tym wielkim psiskiem nie psiskiem; natychmiast chwycił służbowy rewolwer, ale na szczęście nie musiał strzelać... Pouczono mnie dosyć surowo, z kim wolno się bawić w lesie.

Kiedy indziej zimą, gdy szłam pod górę, coraz głębiej zapadałam się w śnieg. Pies z pobliskiego gospodarstwa wyczuł mnie, pewnie zrozumiał po zapachu potu, że jestem w jakimś niebezpieczeństwie, zaczął ujadać i wyc, aż gospodarze spuścili go z łańcucha. Pies pobiegł do mnie – no i to mnie uratowało. Gospodarze w sieni nacierali mnie śniegiem, później wnieśli do domu, okryli troskliwie, dali coś ciepłego do picia i odwieźli saniami do rodziny, do domu... Do wiosny nie chodziłam już do szkoły, ktoś mnie uczył liter z elementarza Falskiego, na którym potem uczyły się zresztą znacznie później również moje dzieci.

<sup>3)</sup> Przez długie powojenne lata tę wojnę nazywano przez omówienie „wojną 1920 r.”, aby nie napisać, że to wojna ani z Rosją, ani ze Związkiem Sowieckim... Tymczasem w historii przyjęło się nazywać wojny od uczestniczących w nich państw. Daleka jestem od przypuszczenia, że naród rosyjski po Wielkiej Wojnie 1914 – 1917 r. dążył do przedłużania wojny. Nie dążyła też do wojny Rosja, bowiem tego państwa już nie było. Pożogę wojenną w Europie chciała ponownie świadomie wywołać partia bolszewicka (pomimo pokoju brzeskiego Niemcami) dlatego uważam stosowanie przedwojennego potocznego terminu „wojna bolszewicka” za uzasadnione, jako oddające istotę tego starcia.



Ten las jednak bardzo sympatycznie zachował się mojej pamięci, jego uroki dotąd wspominam. Zawsze aż coś mi ścisnęło gardło, gdy potem moim dzieciom czytałam „Dzieci z Leszczynowej Górki” Marii Kownackiej, wspaniałą książkę dla dzieci o zwierzętach i życiu w lesie i przy lesie.

Jak to po wioskach bywało, w szkole dzieci było mało, bo nie miały butów do chodzenia, a rodzicom wcale nie zależało na tym, aby umiały czytać czy pisać. Nie pamiętam też, aby identyfikowali się z polskością. W dużym stopniu tego przyczyną było wyznanie prawosławne, zaledwie z trudem jakby tolerowane przez niemal państwowy katolicyzm, jako byłe państwowe wyznanie Rosji, choć międzywojenny autokefaliczny kościół prawosławny w Polsce podlegał pod patriarchę Konstantynopola, a nie Moskwy...

W Czerniakowie była urocza cerkiew, gdzie raz do roku odbywały się odpusty. Kiedyś, wiosną 1928 r., na taki odpust przyjechał archijerej (prawosławny odpowiednik arcybiskupa katolickiego), czyli figura o autorytecie i pozycji niewyobrażalnej niemal dla tych prostych ludzi). Samochód wpadł w jakieś wiejskie błoto na drodze, długo wyciągano je wspólnymi siłami z tego błota, bez koni się nie obeszło. Było to dla mnie, dziecka przecież, niezwykle zajmujące widowisko: pierwszy raz w życiu widziałam samochód, a w nim na dokładkę aż archijereja!

Starania Ojca o przeniesienie do innej miejscowości, posiadającej siedmioklasową szkołę powszechną, zostały uwieńczone powodzeniem właśnie ze względu na ten postulat szkoły; ówczesne władze szły na rękę rodzinom urzędników i policjantów, które pragnęły kształcić dzieci. Malcz był zamieszkały głównie przez ludność żydowską i cieszył o szerokiej renomie kurortu leczniczego i wypoczynkowego. W pobliżu była miejscowość Chojniki, położona na piaskach wśród sosnowych lasów podszytych jałowcem - miała uznany mikroklimat i masowo zjeżdżali się tu letnicy, głównie zamożni Żydzi. Te moje proste wiadomości o Chojnikach zostały potwierdzone na... powojennych już wykładach uniwersyteckich prof. Czekalskiego na UAM w Poznaniu, z geografii gospodarczej, gdzie studiowałam.

W centrum miejscowości mieszkali urzędnicy Polacy, również w Policji, dalej ciągnęła się długa na 2 km wioska „tutejszych” – czyli Białorusinów mówiących, jak to określano, „po chachłacku”. W Malczu w trzeciej klasie szkoły powszechnej uczono nas białoruskiego, później zarzucono te lekcje, podobno wskutek protestu rodziców przeciwko dodawaniu dzieciom pracy.

Mieszkaliśmy tam w dosyć dużym, murowanym (!) domu, wzniesionym przez „Amerykanina” – czyli emigranta zarobkowego, który dorobił się pieniędzy, ale całkowicie w pracy stracił zdrowie. Młodo jeszcze wyglądał, ale twarz miał stale zasmuconą i chodził o dwóch laskach. W domu tym od frontu było wejście do mieszkania komendanta i pomieszczeń posterunku, a od tyłu – do mieszkań dwóch policjantów z załogi posterunku.

W tym małym Malczu ukończyłam szkołę powszechną, w której, jak to na wsi bywało, w jednej sali uczyły się dwie klasy, zupełnie jak w Czerniakowie. Gdy jedna klasa pisała jakieś wypracowanie czy liczyła słupki – druga klasa była odpytywana lub otrzymywała wykład - była „uczona głośno”. Życie płynęło cicho i spokojnie. W Malczu nie było kościoła katolickiego, lecz cerkiew. Dzieci chodziły do cerkwi – to i ja z nimi. Bóg wydawał mi się taki sam wszędzie, a w cerkwi były przepiękne, choć odległe i nie za bardzo dla dzieci zrozumiałe obrzędy liturgiczne - wyłączone, dostojne i tajemnicze. A te śpiewy! Jakże pięknie oni śpiewali – wszyscy chórem, soliści, na wiele głosów! Mogłam słuchać tego godzinami! Coś fantastycznego – dotąd to pamiętam; potem do cerkwi już nie chodziłam<sup>4)</sup>. Mama natomiast cierpiała z powodu braku kościoła, a nawet tej chwały solistki w chórze.

Ojciec znowu starał się o przeniesienie, tym razem z Malcza do Kobrynia (sporego miasta, siedziby powiatu terytorialnie największego w przedwojennej RP) i znowu otrzymał to przeniesienie ze względu na

<sup>4)</sup> Mój najstarszy syn Jacek parę lat temu też odkrył dla siebie muzykę cerkiewną - i też jest zauroczony tą sztuką.



konieczność edukacji dzieci w gimnazjum (ja je zaczynałam). Przez środek Kobrynia przepływała rzeka Muchawiec, dawniej część ważnej drogi handlowej – Kanału Królewskiego<sup>5)</sup>.

W Kobryniu moi Rodzice, gdy Matka otrzymała tzw. spłaty z gospodarstwa (działy spadkowe regulowane przez pozostającego na gospodarstwie) nabyli plac około 0,5 ha<sup>6)</sup> i przez trzy lata budowali dom w istocie niewielki. Dom ten stoi do dzisiaj! Pierwszy i ostatni raz po wojnie, w początkach lat '90, widziałam ten rodzinny dom, oglądałam go z zewnątrz. Mieszkały w nim dwie rodziny; do wnętrza nas nie zaproszono...

Dom, ukończony w 1937 r., otaczał starannie utrzymany ogród, głównie warzywny. Ojciec zarabiał niewiele - 150 zł po potrąceniach i z dodatkiem rodzinnym (na Polesiu robotnik rolny, leśny czy inny otrzymywał około 30 zł miesięcznie, wobec około 100 zł dla robotnika rolnego w Wielkopolsce<sup>7)</sup>). Ceny żywności były stosunkowo niskie. Piszę o tym, choć wtedy nie za bardzo zdawałam sobie sprawy z tych rzeczy, aby lepiej zobrazować skalę wysiłku inwestycyjnego Rodziców – za cenę jakich wyrzeczeń budowano ten własny dom. Jadaliśmy wtedy – mimo niskich cen żywności w naszych okolicach – albo chleb z masłem, albo z kiełbasą; bułkę zaś jadało się samą popijając mlekiem. Skromnie, a przy okazji zdrowo... Nie tylko my tak się odżywialiśmy, takie były obyczaje większości rodzin, które znałam, z powodów jednak ekonomicznych, nie dietetycznych.

Nareszcie dom był gotowy – może nie całkiem, ale można było już nim mieszkać. Do czasu przeprowadzki mieszkaliśmy w wynajętym, ciasnym mieszkaniu i liczyliśmy miesiące i dni do zakończenia budowy. Ojciec Antoni miał, jak na swój status finansowy, duże wymagania co do wyposażenia domu – chciał, aby wszystko było tak, jak on sobie wyobraził i wymarzył, solidnie, pięknie i na zawsze. To jednak kosztowało sporo, jak na nasze możliwości. Pracy w Policji nie lubił, ale pracować musiał - była to posada przed wojną bardzo korzystna dla takiej osoby, jak on. Każdy zaoszczędzony przez Matkę grosz „ginał” w nowym domu, w tych kosztach tak ogromnych dla naszej rodziny ... Matka nie była tak drobiazgową, czuła się szczęśliwa już z tego, że ma własny dach nad głową, pracowicie i z zapałem poświęcała się opiece nad nami czworgiem, uprawiała warzywnik i sad, zabiegała o wszystko w domu; wykonywała nigdy niekończącą się pracę. Ojciec zaś był pedantyczny, dbał o drobiazgi w wykończeniu domu, aby były godne naszej pozycji społecznej urzędnika państwowego i trwałe. Dom stanął: własny dom na całe życie paru pokoleń, jak się zdawało .

Po wojnie moja Matka wspominała ten utracony dom, z niezwykłą tęsknotą i dużymi emocjami przedstawiając jego zalety i wygody, dokładnie opisując, gdzie przed wysiedleniem w piwnicy została zakopana pewna szabla oficerska sąsiada, gdzie coś innego...<sup>8)</sup>

Uczęszczałam teraz do gimnazjum, poznałam wiele nowych koleżanek i kolegów. Od strony narodowości, a zatem i kultur, uczniowie gimnazjum stanowili dużą mieszankę. Dzieci urzędników państwowych (czyli także policjantów) były zwolnione z połowy czesnego, lecz przy ocenach niedostatecznych na półroczu – trzeba było płacić całe czesne za rok! Było parę Żydówek, wiele dziewcząt prawosławnych - w większości „tutejszych”, jak mawiali o sobie Białorusini, jedna z koleżanek była Niemką z rodziny od pokoleń mieszkającej w Polsce; i naturalnie my – Polki, katoliczki. Czułyśmy się wszystkie równe, w szkole dzieliło nas tylko wyznanie i może stan majątkowy.

<sup>5)</sup> Kanał Królewski - kanał żeglowny łączący Dniepr przez Pinę (dopływ Prypeci) z Wisłą (przez Muchawiec, dopływ Bugu); długości 196 km; wybudowany w latach 1775-1848; zniszczony w czasie II wojny światowej, później odbudowany, ale nie powrócił do większego znaczenia gospodarczego.

<sup>6)</sup> Za część tej kwoty Ojciec uregulował zadłużenie, w jakie z powodu defraudacji popadł jego młodszy brat (już legalnie ślubny...), gdy pracował w charakterze poborcy podatkowego... Przepuścił on pieniądze na puste rozrywki, a Ojciec Antoni, jako najstarszy lecz nieślubny, dla ochrony matki, próby zdobycia uznania w rodzinie, w której był traktowany bardzo źle, poniósł znaczny wydatek kosztem swojej własnej żony i dzieci.

<sup>7)</sup> Dane z Rocznika Statystycznego GUS 1939, wydanego już po wojnie.

<sup>8)</sup> Aż kiedyś obecna przy takich kolejnych wspominkach nasza krewna z Jeleńca, dotąd tam gospodarząca moja kuzynka Gienia, zapytała trzeźwo: „- Ciociu, a ile metry na ile miał ten dom?” Matka z namaszczeniem podała wymiary zewnętrzne, liczbę i wymiary konkretnych pomieszczeń i wtem zimny prysznic ze strony kuzynki Gieni: „- Ciociu, toż to mała i ciasna była ta wasza chałupka!” Bo tak też i faktycznie było...-



Pamiętam jedną z koleżanek jeszcze ze szkoły powszechnej – Żydówkę z bardzo ubogiej rodziny. Kiedyś wróciła ze mną ze szkoły i ja w domu zrobiłam sobie naleśniki, którymi poczęstowałam koleżankę. Ona zjadła te naleśniki bardzo łapczywie i wtedy dopiero, że łzami w oczach poprosiła mnie abym nigdy i nikomu nie powiedziała, że ona jadła naleśniki smażone na niekoszerniej patelni, bo miałyby ogromne przykrości w domu, a ona była taka głodna...

Należałam do harcerstwa, prowadziłam drużynę młodszych dziewcząt. Wybierałyśmy się na dalekie wycieczki za miasto, zdobywałyśmy różne stopnie i sprawności. Harcerstwo było wspaniałą organizacją integrującą: Żydówki po prostu nie należały do harcerstwa.

W latach gimnazjalnych miałam już naturalnie swoją sympatię – byłam zakochana w Rosjaninie, studencie Politechniki Lwowskiej. Jego rodzice mieszkali w Kobryniu, lecz widywaliśmy się tylko w czasie świąt i wakacji. Chadzaliśmy na długie spacery, dużo rozmawialiśmy na górnolotne tematy – głównie o literaturze i sztuce. Lowa opowiadał, że jego profesor, Kazimierz Bartel, wymagał od studentów - przyszłych inżynierów, odczytania i ogólnych wiadomości o świecie. Lowa kiedyś zapytał mnie, czy znam „Eugeniusza Oniegina” Puszkina i zaczął mi deklamować z pamięci obszernie fragmenty poematu. W domu w popłochu rzuciłam się do czytania Puszkina – wszystkich utworów, jakie tylko mogłam znaleźć biblioteczkę szkolnej. Potem czytałam Tolstoja i Dostojewskiego. Kiedyś zapytał mnie o książki Jalu - Kurka, głośnego swego czasu pisarza – to ja zagłębiłam się w polską literaturę współczesną. Dzięki Lowie nawyk czytania pozostał mi na całe życie i cieszę się, że otrzymałam taki bodziec. On zaś musiał czytać dla swojego profesora – a nuż zapyta? Ale czytał jednak z przyjemnością, może i dlatego tym większą, że to jego odczytanie imponowało mi aż tak bardzo?

Wiosną 1939 r. zdałam po „małej maturze” egzaminy do liceum i na wakacje miałam wyjechać do majątku rodziców mojej koleżanki do nieodległego Bielska. Nie mówiło się jeszcze wtedy realnie o wojnie, było cicho i jakby spokojnie, cieszyłam się bardzo na te dwa miesiące wakacji na wsi, ale we dworze.

Moja Mama, która miała trudny do zrozumienia dar przeczuwania przyszłego rozwoju wydarzeń (oczywiście nie co do szczegółów czy dokładnych terminów), była od dawna stale jakaś zalękniona i niespokojna. Jeden z jej snów okazał się iście proroczy. W marcu 1939 r. była pierwsza, na niewielką jeszcze skalę, mobilizacja, jednak nas zaniepokoiła i trochę było już straszno. Byliśmy przekonani, że nie oddamy nie tylko płaszcza, ale i guzika od tego płaszcza, śpiewaliśmy, że *„nikt nam nie robi nic, nikt nam nie weźmie nic – bo z nami Śmigły - Śmigły Ryzd”* - i bardzo chcieliśmy w to wierzyć. Wiara ta była powszechna w społeczeństwie! Wychowywani byliśmy w duchu głęboko patriotycznym, gotowi na poświęcenie Ojczyźnie wszystkiego, co najdroższe. Wierzyliśmy, że jesteśmy bezpieczni, gotowi na odparcie wszystkich wrażeń zakusów. Na dokładkę nasza prasa stale podawała, że w Niemczech wszystko jest „ersatz” (zastępcze) – zamiast prawdziwej, dystrybuowano i spożywano żywność sztucznie spreparowaną, a oszczędności państwo niemieckie przeznaczało na czołgi. Kpiono w Polsce z tego niemieckiego hasła „Armaty zamiast masła”.

Pewnej marcowej niedzieli w 1939 r. przy śniadaniu Mama opowiada nam swój sen: śniło się jej, że wyrzała przez okno zachodnie – i ujrzała w ogrodzie ogromnego rycerza w zbroi, w czarnym płaszczu z białym krzyżem – więc wystraszona wycofała się w tym śnie do przyległego pokoju i przez okno wschodnie – ujrzała drugiego wielkiego rycerza, tym razem w płaszczu białym z czarnym krzyżem... Z przerażeniem widocznym na twarzy mówiła nam: „- Napadną nas z dwóch stron! Z zachodu przyjdą Niemcy, ze wschodu bolszewicy!” Ojciec na to rzecze:”- Pamiętam, jak nas Niemcy dręczyli w niewoli, nie daj Boże, aby przyszli. A bolszewicy są zajęci sobą, nie przyjdą”. Ojciec nazwał to babskim gadaniem, a my, dzieci, myśleliśmy, że to jakieś straszne bajki. Poszliśmy więc do kościoła – Ojciec nie miał chęci, a matka - zapracowana - nigdy nie miała na to czasu (choć była skądinąd bardzo religijna, często w domu śpiewała pieśni religijne, zapamiętane z chóru, i to do swoich ostatnich dni). Przypomnieliśmy sobie o tym śnie dopiero po latach!

Ja miałam wyjechać na wakacje z moją koleżanką, szczęśliwa z perspektywy spędzenia lata we dworze na wsi i z tego jeszcze, że miałam zarobić parę złotych za korepetycje przygotowujące do egzaminu wstępnego do gimnazjum Tereskę, młodszą siostrę tej koleżanki. Taka okazja zarobku była dla mnie wspaniałą – miałam



mieć swoje pieniądze na nowy rok szkolny; poczuwałam się do roli nauczycielki i ufałam, że dam sobie radę jako korepetytorka, czułam się dorosła i odpowiedzialna.

Majątek Bielsk był położony niedaleko od Kobrynia, około 20 km, ziemie chyba nie były tam dobre, głównie jakieś łąki, zagajniki, teren płaski, mało urozmaicony – jak to na Polesiu. Atmosfera w domu była jednak bardzo miła, wakacje bardzo przyjemne. Do dzisiaj pamiętam śpiewy robotników wracających z sianokosów – śpiew na głosy rozlegał się po całej okolicy, nikał w oddali, pieśni urzekały melodyjnością i pięknem, wykonanie było doskonale – ćwiczone się przecież w śpiewie całymi wsiami, przez całe lata w każdym pokoleniu i tak od wieków! Tego pewnie już nigdy nie będzie w takim kształcie, jak wtedy; wojna przeorała i tamten region, ofiary wojny, wojenne deportacje, potem stalinowska polityka na Białorusi, ogólne zubożenie ludności, tropienie przez NKWD wszelkich form organizowania się – nawet w chóry! – zniszczyły tę piękną cechę kultury wielkiego regionu.

Prowadziłam z koleżanką długie rozmowy o przyszłości, o nauce i nauczycielach, wydawało nam się, że świat stoi otworem, a przyszłość, nawet jeśli będzie trudna – to na pewno jasna i pewna.

### Wrzesień – napad niemiecki

Pod koniec sierpnia wyczuwało się już społeczny niepokój, ale moje otoczenie nie brało aż tak serio pogłosek o wojnie. Mobilizacja była więc wstrząsem – pamiętam do dzisiaj zawrota głowy i płacz kobiet wiejskich, głośno i rozpaczliwie żegnających przy sierpniowej mobilizacji swoich mężów, braci, ojców, narzeczonych i kochanków. Mobilizowano także i konie po wsiach i majątkach. Psy szczekały i wyły, swoim lękiem dopełniając obrazu trwogi i nadchodzącej grozy. Nagle wszystko stało się niepewne. Ale tak naprawdę nie wierzono, by na nasz kraj, przecież „Silny, zwarty i gotowy!” – ktoś śmiał napaść. Ale my, młodzi, byliśmy gotowi na wszelkie poświęcenia. Harcerska piosenka brzmiała „...*Wszystko co nasze Polsce oddamy, w niej tylko żyć, więc idziem żyć...*”.

Teraz i ja byłam nie na żarty zaniepokojona, chciałam jak najszybciej znaleźć się wśród rodziny, w domu rodziców z braćmi. Dom wydawał mi się miejscem pewnym i bezpiecznym. Matka koleżanki udawała się do Kobrynia, zaczynała się szkoła.

W Kobryniu, o dziwo, nie czuło się mobilizacji, gdyż koszary znajdowały się na obrzeżach miasta, z dala od centrum – nawet nie wiedzieliśmy, co się tam dzieje.

Nagle niemieckie samoloty zbombardowały Kobryń – to już była wojna u naszych drzwi, pierwszy niemiecki atak lotniczy. Zniszczonych zostało na razie 5 domów, rozsypały się domy o drewnianej konstrukcji, okna były powybijane. Jak wielu kobryniaków, poszłam i ja oglądać zbombardowane zburzone domy. Zabudowa była tam licha, domki niewielkie i niezbyt trwałe, same poddmuchy wyrządzały wielkie szkody.

Co za zderzenie z naszą rzekomą gotowością i siłą! Ludzie nie chcieli wierzyć w to, czego doświadczyli i co widzieli – było to zbyt straszne... Powiadali, że to manewry, że to omyłkowe bombardowanie! Gdy wracałam to domu, zaniepokoił mnie jakiś cień szybko przemykający po ziemi – to był nisko lecący niemiecki samolot zwiadowczy z wyłączonym silnikiem – wyraźnie widziałam swastykę na stateczniku pionowym – a nawet twarz pilota. To nie były manewry, to nie była tragiczna pomyłka. Było jeszcze gorzej – to była wojna z Niemcami.

W pierwszych dniach września Ojciec dostał rozkaz ewakuacji: miał zabrać ze sobą wszystkie papiery (jakieś ważne i tajne dokumenty) i wraz z całą załogą posterunku udać się jako konwój gdzieś na wschód. Nie powiedział dokąd – tajemnica wojskowa. Nikt jednak z nas nie miał wątpliwości, że być może na długo opuszcza miasto, dom, żonę i czworo dzieci. Z rozkazami w czasie wojny nie dyskutuje się, nie można odwołać się od nich.

Przy pożegnaniu wręczył Mamie trzymiesięczną odprawę (zwykle sam pilnował domowej kasy). Mam zostawała z naszą czwórką i niepokoiła się, z czego i jak będą żyć. Nie chodziło tylko o pieniądze, ale o



samotność i lęk przed nadchodzącym czasem niepewności. Dla nas łącznikiem z bliższym i dalszym otoczeniem był Ojciec, jako najlepiej poinformowany. Teraz i taki kontakt z Ojcem urywał się, nawet listy były niepewne...

Wkrótce, koło 10 września, w Kłopotynie, kobryńskiej dzielnicy urzędniczych domków z ogrodami, gdzie i my mieliśmy dom, rozpętała się bitwa; było to bardzo blisko nas. Siedzieliśmy przerażeni w piwnicy, nasłuchiwalismy odgłosów walk – strzały, wybuchy, ściany naszego schronienia drżały, ze stropu sypał się pył i kawałki tynku. Nagle nad ranem wszystko umilkło, zapadła cisza jeszcze bardziej przerażająca, niż poprzedni hałas.

Mama odważyła się wyjść z piwnicy dopiero rano: blaszany dach naszego nowego domu był podziurawiony kulami i odłamkami. W ogrodzie nikogo nie było, ani naszych, ani Niemców, nic się nie dzieje – aż nierealnie! Nieśmiało zajrzeliśmy do swojego domu, zaczęliśmy powoli wracać do życia.

Mimo zakazów i prośb bojaźliwej Matki, poszłam do koleżanek, aby sprawdzić, czy wszyscy żyją, czy stoją ich domy, dowiedzieć się może czegoś jeszcze. Razem z kilkoma koleżankami postanowiłyśmy sprawdzić, co się dzieje w całym mieście. Opłotkami, omijając leje pociskach artyleryjskich, przy pustych ulicach, doszłyśmy na ulicę Traugutta.

Na całkiem opustoszałym rynku zobaczyłyśmy dwóch Niemców stojących naprzeciwko trzech naszych żołnierzy, już rozbrojonych. Gdzie są inni – gdzie jest cały dosyć duży garnizon kobryński? Czy nasze wojsko wycofało się? Jeśli tak, to na wschód?

Wtem na placu pojawiła się delegacja bogatych brodatych Żydów, w jedwabnych chałatach i myckach, niosących coś w koszach wiklinowych. Kłaniali się Niemcom w pas, podsuwali te swoje dary - upokarzająca scena... Niemcy patrzyli na Żydów z góry, butnie i z lekceważącą pogardą, tak jak na nas wszystkich – z wyższością. Rynek zaczęli wypełniać gapie.

Byłyśmy tylko my – dziewczyny z piwnic, ani jednego chłopaka, także ci z Przysposobienia Wojskowego podobno odeszli razem z wojskiem. Dalej widać było ludzi zbierających rannych i odnoszących ich do prowizorycznego szpitala mieszczącego się w naszej szkole.

W mieście panowała cisza, jakby przy zawieszeniu broni – ale nie było ani zwycięzców, ani pokonanych, tylko ci jeńcy i ten niemiecki patrol. Ludzie pomału wychodzili z piwnic i innych prowizorycznych schronów; trzeba było zaspokoić głód. W szkole naturalnie pustki, koleżanki mieszkające bliżej siebie spotykały się, razem zastanawiałyśmy się, co będzie dalej. Jak mamy żyć i co z tą wojną?!

## Wrzesień – inwazja Sowieków

Minęły trzy dni i nagle wypadki zaczęły się toczyć szybciej i zupełnie inaczej: do miasta wkroczyła Armia Czerwona! Jak się potem dowiedziałam, Niemcy się wycofali na mocy paktu Ribbentrop – Mołotow, podpisanego 23 sierpnia 1939 r., w którym praktycznie dokonano po raz czwarty rozbioru Polski. Ale o tym dowiedzieliśmy się po wielu latach...

Pamiętam kawalerię sowiecką wkraczającą na bardzo kiepskich konikach, bez siodła i strzemion. Wojsko nosiło płaszcze, dla nas przedziwnie długie, niechlujnie i nierówno popręcinywane na dole. Byli gadatliwi, pewni siebie, zachowywali się hałaśliwie. Wesoło i głośno obwieszczali wszystkim, że przyszli nas wyzwolić – podkreślając, że w Sowietach jest dobrobyt i że *wsio u nich jest*; widocznie tak im wpojono na szkoleniach przed wkroczeniem do Polski.

Ale wyzwalać – rabowali, co się tylko dało. Ładowali na wozy głównie sprzęt kuchenny, garnki, patelnie, itp. Kawalerzyści po drodze gołymi szablami zdejmowali z płotów suszące się garnki emaliowane, jak to na wsiach wtedy bywało, których najwyraźniej nie mieli. Widziałam, jak jeden z nich zdjął pękaty i zarazem rozłożył nocnik i wysoko go podnosząc, z dumą głośno chwalać się, pokazywał zdobycz kolegom, którzy



wyraźnie pozazdrościli i pilnie zaczęli się rozglądać za podobnymi naczyniami. Dziwowaliśmy się temu powszechnemu rabunkowi – skoro wszystko tam jest, to po co nam zabierają?

Jednym z dziwniejszych zarządzeń nowych okupantów było to, że od tej pory nie wolno mówić „Żyd”, lecz jak należy: „Jewriej” z uzasadnieniem, że słowo „Żyd” jest poniżające...

Sowieccy żołnierze bezustannie wychwalali swoją armię, przechwalali się siłą i uzbrojeniem. Opowiadali, że ich doskonale czołgi nie potrzebują mostów – po dnie rzeki jadą, w razie potrzeby! Po wkroczeniu urządzono pokaz tej potęgi Armii Czerwonej: czołg miał rzeczywiście przejechać na drugi brzeg po dnie rzeki Muchawiec! Celem był wskazanie, że nawet wysadzenie przedwojennego, drewnianego mostu w działaniach wojennych w niczym nie przeszkodzi Armii Czerwonej! Nad rzekę zeszli się kobryniacy – to i ja z koleżankami poszłyśmy oglądać widowisko...

Komendant z oficerami i orkiestrą wojskową, wygłosił długą mowę po rosyjsku, której zresztą nikt nie tłumaczył. Do wtóru orkiestry załoga czołgu szybko zajęła w nim miejsca i sprawnie pokonując zarośla i trudny teren – czołg wjechał do wody! Trochę zawirowań, bąbelków – i cisza... Po dziesięciu chyba minutach dalszej gry orkiestry przerażony tłum się rozszedł. Byliśmy strwożone widząc oczywistą śmierć tych czołgistów, ale jeszcze bardziej zaskoczeni, zdziwieni i przerażeni wydawali się sami sowieccy żołnierze na brzegu. Sprowadzono jakąś pomoc, powstało zamieszanie. Żołnierze już nie byli skłonni do rozmów, a my wolałyśmy szybko wrócić do domów.

Czołg w końcu wydobyto. Rzecz w tym, że akurat w miejscu wybranym na przeprawę Muchawiec był wprawdzie dosyć wąski, ale po pierwsze bardzo głęboki, po drugie były tam wiry, tworzące w dnie rzeki doły... Poza tym, obok był wysadzony most, może i pod wodą były jakieś pale, elementy konstrukcji... Nikogo z miejscowych jednak nie zapytano o warunki przed zorganizowaniem tego pokazu potęgi Armii Czerwonej...

Zgodnie ze stałą praktyką propagandy sowieckiej, Kobryń został zarzucony ulotkami. Były one napisane niby po polsku – ale z tak strasznymi błędami gramatycznymi, tak dziwną składnią i niepolskimi słowami, że nie wiadomo było – śmiać się, czy płakać. Wiele lat później dowiedziałam się, że Sowietci wszędzie używali takich ulotek na zajętych terenach Polski, czytałam potem w pamiętnikach prywatnych i w dziełach historycznych te kuriozalne teksty, widziałam ich reprodukcje. Ulotki były różne, lecz prostactwo treści o „wyzwoleniu spod Polski panów” i nieudolność języka polskiego wszędzie były takie same. Aż się zastanawialiśmy, czemu tego nie dali do poprawienia jakiemuś Polakowi, niekoniecznie poloniście?

Jak już wspomniałam, na początku września Ojciec został oddelegowany z całym posterunkiem do konwojowania akt z ewakuowanego starostwa i posterunku policji w Kobryniu; na konwój napadli na drodze nacjonałiści ukraińscy. Ojciec uszedł wprawdzie z życiem i jakoś dotarł do domu, lecz był ciężko pobity, odniósł ciężkie kontuzje m. in. głowy; długo potem chorował. Sowietci po wkroczeniu od razu aresztowali Ojca. Matka chodziła po sąsiadach, po mieście, zebrała 200 podpisów, że Antoni Ochnik, posterunkowy Policji Państwowej, to porządny człowiek, że nie nadużywał władzy, że nie krzywdził, ale nie na wiele się to zdało. Wydawało się, że na początku Sowietci liczyli się z takimi „opiniami ludu” i Ojciec został jednak zwolniony. Wrócił do domu pobity, zakrwawiony, ubranie a nim było podarte aż do łachmanów. Był milczący i załamany – nie ten sam człowiek! Rany i te zadane przez Ukraińców, i te od Sowietów wygoiły się z czasem – pozostał jednak uraz psychiczny oraz wgłębienie nad czołem. Teraz myślę, że Ojca wtedy uwolniono z więzienia, bowiem już go pobieżnie ukarano, dając dobitnie do zrozumienia możliwą skalę bezprawnej przemocy okupanta, a tymczasem miejsca po więzieniach brakowało i trzeba było je rozgęścić na następne ofiary do wstępnej obróbki...

Pojawili się jacyś „więźniowie Berezki Kartuskiej”. Jeden z nich, smagły z brodą i o dostojnej sylwetce, przemawiał na wiecu, wspominając przerażające tortury, jakim ich tam w polskim obozie poddawano. Gestykulację miał obszerną – wygrażał nam wszystkim na wiecu pięścią, wykrzykując przy tym, że to nasi ojcowie taki im los zgotowali. Byliśmy przeważnie w mundurkach szkolnych, nawet z tarczami na rękawach – łatwe do rozpoznania jako młodzież licealna, a więc z rodzin o pewnych aspiracjach (przynajmniej) i wykształceniu.



Mimo trwającej wojny – mocno opóźniony rok szkolny jednak się rozpoczął. Miałam iść do liceum – ale nas wszystkich cofnięto o rok, bo teraz miała być dziesięciolatka, a nie jedenaście klas. Na lekcjach panowało napięcie: językiem wykładowym był rosyjski, potem przez jakiś czas nauczano nas po białorusku, jeszcze później powrócono do rosyjskiego.

Szczególnie nieprzyjemne były lekcje marksizmu – leninizmu. „Nauczyciel” przychodził w mundurze, z kabury ostentacyjnie wyjmował rewolwer i tę osobliwą „pomoc naukową” kładł na stole obok dziennika. Gubiliśmy się w dociekaniach, czy to miało pomóc nam w przyswajaniu obcego nam materiału – obcej ideologii w nieznanym języku, czy tylko wywoływać atmosferę strachu. Ciągłe organizowano nam wiece, na których do znudzenia przekonywano, że Sowietom przyszli tu, aby nas wyzwolić spod kapitalistów i polskich panów, że teraz jesteśmy wolni. A tymczasem trwały aresztowania nie tylko kapitalistów i „panów” – lecz najczęściej zwykłych obywateli, których wywożono nie wiadomo dokąd.

Nasza szkoła, chociaż otwarta w czasie zajęć, po lekcjach stale była zamknięta na klucz i nie mogliśmy wracać do domu, chciano nas przytrzymywać na wiecach. Te nadprogramowe godziny wypełniały nam nowe tańce oraz śpiewanie „Katuszy”, a także (zgadliście!) pogadanki ideowo – polityczne.

W mieście żywność była droga, tak jak opał (tam było to głównie drewno), chłopcy wycinali położone najbliżej wiosek lasy i zagajniki, cięli drzewa w parkach przy dworach – teraz to wszystko należy do ludu, więc jest jakby niczyje, czyli nasze! Lud zaś był zmarznięty i głodny. Przezorny Ojciec i Mama porobili zapasy – trochę miodu, mąkę. Kartofle z ogrodu wystarczały na zimę, na strychu mieliśmy skrzynię pszenicy. Latem – tak sobie myśleliśmy - moglibyśmy wyżyć z ogrodu.

W dniu 5 grudnia 1939 r. Ojca aresztowano ponownie, jak zresztą wszystkich innych policjantów za to, że byli policjantami. Nikt nie troszczył się o podanie zarzutów czy nawet pretekstu aresztowania ani Ojcu, ani nam, błagalnie usiłującym się dowiedzieć czegokolwiek. Wiedzieliśmy tylko, że jest w więzieniu w Kobryniu. Po jakimś czasie łaskawie przyzwolono na podawanie paczek żywnościowych (pewnie dla obniżenia kosztów prowadzenia więzienia) i ja te paczki nosiłam. Pewnego dnia jednak paczki nie przyjęli i usłyszałam: „- *On użę ujechał.*” Pytam zaniepokojona: „- *Kuda?!*” i odpowiedź: „- *Nie znaju...*”. Zrozumiałam wtedy, że to już koniec, że Ojca nigdy więcej nie zobaczę.

Nigdy też niczego konkretnego się nie dowiedzieliśmy o Jego losie. Jedyne sygnał, jaki (być może) do mnie dotarł, to informacja od pewnego Polaka, który w kwietniu 1942 r. siedział z Ojcem w Mińsku w jednej celi. Któregoś dnia Ojciec, który był chory, został zabrany „z rzeczami” (czyli na egzekucję, przeniesienie, itp.). Dowiedziałam się tego od interesanta, zdumionego zbieżnością nazwisk mojego i więźnia kiedyś mu znanego, dopiero w 1943 r., gdy pracowałam w Delegaturze Ambasady RP (rodzaj konsulatu) w Akmolińsku, przy rejestrze osób poszukiwanych. Potem, po latach wojny i czasach stalinizmu, po porównaniu wspomnień wielu osób z kresów wschodnich żyjących w Polsce i na obczyźnie, okazało się, że Sowietom niezwykle konsekwentnie (i brutalnie przy tym) mordowali wszystkich Polaków, którzy broniąc swojej ojczyzny brali udział w wojnie bolszewickiej 1920 r.

Matka miała jeszcze pieniądze pozostałe z odpawy Ojca i postanowiła spłacić dług u właściciela hurtowni kafli, pana Appelbauma. Ojciec, jak pisałam, chciał w swoim domu mieć wszystko, co najlepsze, więc kupiliśmy te kafle na kredyt. Mamę męczyła myśl o długu, chciała się wywiązać, póki miała jeszcze pieniądze. Ale Appelbaum nie przyjął pieniędzy! Popatrzył uważnie na Mamę i wygłosił całe przemówienie: „- Co pani Ochnikowa robisz? Co chcesz mi tu płacić? Pani Ochnikowa, masz pani przecież teraz czworo dzieci, zabierz pani te pieniądze, a po wojnie się policzymy! Ja wiem, przecież macie tu dom, to łatwo będzie się policzyć! Tu nie ma o czym mówić! A teraz zabierz pani te pieniądze, idź pani do domu!”.

To był bardzo porządny, wrażliwy człowiek. Jego przemowa, napomnienie Matki, aby troszczyła się o rodzinę, zachowała się w naszej pamięci niemal w dosłownym brzmieniu. Mama bowiem wiele razy powtarzała ją nam na Syberii, z wdzięcznością i szacunkiem wspominając tego „kapitalistę – krwiopijcę”, potem opowiadała to wielokrotnie wnukom już w Polsce, podkreślając miłość bliźniego, jaką przejawiał, ale nigdy nie mogła się ustrzec przed wyrażaniem swego ogromnego zdziwienia słowami „choć to nie katolik!”.



Boże Narodzenie 1939 r. było smutne i zupełnie nieświęteczne. Czegóż mogliśmy sobie bowiem życzyć przy łamaniu się opłatkiem? Przyszłość rysowała się ciemno, bez nadziei, dom przestawał być domem, Polska nagle znalazła się daleko i nawet nie była już Polską, lecz krajem okupowanym. Składkowego sylwestra, też niewesołego, urządziliśmy u jednej z koleżanek, nadrabialiśmy minami – ale nie było nam do radości. Nie pomógł nawet alkohol, chyba samogon, który przynieśli chłopcy i który miał nam poprawić nastroje. Pierwszy w moim życiu taki smutny sylwester i pierwszy alkohol.

W styczniu, a może w lutym 1939 r. odwiedziłam dalszą rodzinę w nadgranicznym teraz Brześciu. Brześć nie był bardzo zniszczony, niemieckie bombardowania zburzyły zaledwie kilka domów w śródmieściu, lecz wielka twierdza była zryta pociskami i mocno uszkodzona. Byłam świadkiem, jak manifestacyjnie przyjaźnie odnoszą się do siebie wojskowi sowieccy i niemieccy – obserwowaliśmy wielką defiladę z okazji pokonania Polski<sup>9</sup>). Wielkie, wspólne świętowanie zwycięstwa!

Po powrocie do Kobrynia dni i tygodnie mijały w coraz bardziej nerwowej atmosferze, narastało powszechne zaniepokojenie - nasilały się pogłoski o wywózkach w głąb Związku Sowieckiego. Na stację w Kobryniu przybywało coraz więcej wagonów bydłowych, przez nas zwanych cieletnikami, co urealniano straszne pogłoski. Nasza rodzina też była bardzo zaniepokojona – straciliśmy już kontakt z Ojcem...

### Deportacja na Syberię.

Moją Matkę, Zofię, mnie oraz trzech młodszych braci – Kazimierza (ur. 1923), Mariana (ur. 1925) oraz Henryka (ur. 1926) w dniu 13 kwietnia 1940 r. wysiedlono z Kobrynia praktycznie tylko z rzeczami, jakie mogliśmy unieść.

Wcześniej w lutym (10 – 15?) 1940 r. wywożono głównie rodziny służby leśnej i osadników wojskowych. Osadnicy – zasłużeni żołnierze i oficerowie - otrzymywali gospodarstwa zwykle po wojnie bolszewickiej, a leśnicy i gajowi zawsze mieli drobne i większe zatargi z ludźmi „tutejszymi”, podpadali miejscowym złodziejom drewna i kłusownikom – i ci donosili Sowiecom o „wrogach ludu”. Całe te rodziny: mężczyźni, kobiety i dzieci, wywożono w okolice Archangielska, na wyrąb lasów. Był siarczasty mróz, nikt nie wiedział, dokąd ich wiozą, zastanawialiśmy się, jak oni w takie mrozy wytrzymają w tych wagonach, nieuszczelnionych i nie docieplonych przecież, i przez to przewiewnych. Potem dowiedzieliśmy się, że nieraz zamarały małe dzieci, mimo całej ogromnej troski i poświęcenia matek. Czy to prawda? Czy „czarna propaganda”? Nie wiem, ale skłaniam się do dania wiary tym przekazom. Byłam – widziałam rzeczy, które uprawdopodobniają i takie horrory.

Przy tej wywózce maturzysta z naszej szkoły, harcemistrz Tadeusz, dobrowolnie udał się na wygnanie razem ze swoją miłością Danutą, córką osadnika wojskowego. Wakacje spędził w domu jej rodziców – Danusia zaszła w ciążę, więc Tadeusz pojechał za nią. Dużo dyskutowano o tym jego czynie: powinien był – czy nie musiał. Jego matka szalała wprost z rozpacz, błagała go, aby nie jechał na pewną śmierć. Dojechali do tego Archangielska, tam się urodziło dziecko. Po ogłoszeniu „amnestii” dla obywateli polskich w 1942 r. udali się wraz z masą ludzi zdążających do Armii Polskiej na południe, do Kirgistanu. Dziecko zmarło, gdy miało ledwie roczek i po tej tragedii drogi Tadeusza i Danusi jednak rozeszły się.

I Mama zaczęła się przygotowywać do wywózki. Gromadziliśmy żywność, suszyliśmy z chleba suchary. Nie były to łatwe przygotowania do tułaczki – nie wiedzieliśmy, bo i skąd, co nam może okazać się potrzebne, ani dokąd nas wywiozą i co nas tam czeka.

<sup>9</sup>) Na bardzo obfitej dokumentacji fotograficznej tej defilady (zdjęcia robiły obie strony) widać jednak ledwo uchwytny grymas pogardy i lekceważenia ze strony Niemców, podczas gdy sowieccy oficerowie są na tych zdjęciach po prostu dumni i uśmiechnięci, że idą ręką w rękę z jedną z historycznie najlepszych armii świata. Pozostawiam to bez komentarza.



No i stało się: dnia 13 kwietnia 1940 r. przyszli po nas nad ranem, praktycznie w nocy, łomotaniem w drzwi kolbami wyrwali nas ze snu. Mama w płacz, zaspani chłopcy nie za bardzo rozumieli, co się dzieje, a młodzi *bojcy* czytają *ukaz*: mamy się szybko pakować, ładować na wóz drabiniasty stojący już przed domem. *Bojcy* radzili zabrać ze sobą tylko najpotrzebniejsze rzeczy, nie objuczać się, bowiem na pewno wszystko dostaniemy na miejscu. Dotąd nie wiem, czy kazano tak im mówić, czy szczerze w to wierzyli – czy też chcieli, aby jak najwięcej pozostało na miejscu dla nich; w ostatniej chwili nie pozwolili nam zabrać miednicy. Sąsiedzi – choć sami katolicy! - nie byli tak wielkoduszni jak żydowski kupiec Appelbaum, za jakieś zupełnie nędzne grosze kupili od nas kury, prosiaka.

Załadowano nasze tobołki na wóz i zawieziono nas do tych wagonów bydłowych na stację, przydzielono miejsca w jednym z nich, *bojcy* pomogli nawet ulokować nasz skromny dobytek. Wagony były trochę przystosowane – dorobiono drugi poziom dla zwiększenia liczby przewożonych osób, a w rogu wagonu wyróżniono dziurę – to była toaleta... Parter był dla starszych, górny poziom dla dzieci i młodzieży. Udało mi się zająć miejsce przy jednym z dwóch okratowanych okienek, jakie były w pierwszej połowie wagonu. Siedzieliśmy teraz skuleni i przerażeni na naszych tobołkach, i z trwogą patrzyliśmy na zwożone kolejne grupy wygnańców.

Wiść o rozpoczęciu wywózki bardzo szybko rozeszła się po Kobryniu – na stację schodzili się przyjaciele, znajomi, koleżanki, koledzy. Zwykle przynosili jakieś zawiniątka z żywnością na drogę. Byli jednak i tacy, którzy bali się podpaść nowej władzy i nie przyszli na stację. Wszędzie czuło się silne zaniepokojenie, także tych, którzy zostawali i których wywózka bezpośrednio teraz nie dotyczyła. Wszyscy bali się nieznanego losu, choć na razie zostawali w swoich domach.

Pociąg stał na stacji jeszcze wiele godzin, stale dowożono furmankami następne przerażone rodziny – policjantów, ziemian, oficerów, strażników więziennych, „kapitalistów – krwiopiczów” (na przykład rodzina piekarza). Ich ojcowie, mężowie, bracia – zostali już wywiezieni i słuch po nich zaginął. Gdyby nasz Ojciec jakimś cudem wrócił do Kobrynia i nie zastał nas w domu – to gdzie miałby nas szukać? Jak by nas odnalazł? W naszym wagonie były kobiety z dziećmi oraz kilka dziewcząt w moim wieku. Później spotykaliśmy polskie eszelony (ros. *eselon* - transport, pociąg), Polaków zwożonych z różnych okolic kresów wschodnich, więc wywożono nie tylko z Kobrynia, akcja była na wielką skalę, obejmowała wszystkie okupowane tereny.

Moje koleżanki i koledzy też przyszli na stację, wywołali mnie z wagonu (nie pilnowano nas jeszcze wtedy zbyt srogo, a młodzi żołnierze byli łaskawi) i wyciągnęli z powrotem do miasta, do domu koleżanki Janki. Wszyscy mnie namawiali, abym uciekła i nie dała się wywieźć, żebym została w Kobryniu, to mi pomogą i ukryją, przechowają. Może ta straszna wojna i straszna sytuacja nie będzie już wiecznie trwać – może się wkrótce poprawi? Byłam w rozterce, nie wiedziałam, co zrobić. Zdecydował głos doświadczonej osoby – matki Janki: „- Gena, nie rób tego swojej rodzinie, nie zostawaj. Na pewno cię potem znajdą i też wywiozą - ale będziesz już sama. Straciliście ojca, jesteś najstarsza z rodzeństwa, matka pewnie liczy na ciebie i na twoją pomoc.” Zrozumiałam lepiej sytuację, poczułam wyrzuty sumienia – wróciłam na stację, do naszego wagonu – zobaczyłam łzy przez uśmiech ulgi mojej Matki. Niech się dzieje, co chce, abyśmy byli razem, niemniej strach ścisnął mi serce. Pociąg wreszcie ruszył. Miałam miejsce, jak wspomniałam, przy okienku, patrzyłam na mijane pola i łąki – to był jeszcze nasz, znany krajobraz, nasza ziemia. Wszędzie jeszcze leżał śnieg, wiosna przyszła późno tego roku. Strasznie bałam się tej podróży w nieznane – ale i ciekawa byłam „przygód”, jak to młodzież niezdarząca sobie do końca sprawy z powagi sytuacji.

Koła monotonna dudniły, usypiały. Wszyscy byliśmy zmęczeni, niewyspani – zerwano nas przecież o bladym świecie. Skuleni jak my na swoich bagażach, drzemali pozostali towarzysze niedoli. Nasz dosyć wolno jadący eszelon czasami zatrzymywał się na jakiejś stacyjce, gdzie wydawano nam *kipiatok* (czyli wrzątek), o wydawaniu pożywienia nie można było nawet marzyć. Stacje te były obskurne, biedne i puste, bardzo prymitywne, nie było ani jednej nowej – wszystkie z czasów carskich. W ubożuchnych stoiskach na tych „dworcach” nie było praktycznie nic – czasami były jakieś koszarne zabawki dla dzieci: brzydkie lalki, wózki, niechlujnie pomalowane traktory. Czasami udawało się kupić mydło sprzedawane po kostce na osobę. Nie było, ma się rozumieć, żadnych toalet, takie potrzeby musieliśmy załatwiać żenująco publicznie, zwykle



udawaliśmy się pod wagony. To była dopiero prawdziwa udreka i poniżenie. Pociąg od początku jechał powoli, a teraz po prostu się włókł, a nas ogarniał coraz większy lęk i bezradność. Było zimno, już głodno i bez końca zadawaliśmy sobie pytanie – dokąd to nas wiozą? Po wielu, chyba dziesięciu, dniach ponurej i bardzo męczącej podróży, byliśmy coraz brudniejsi, wody było mało, a zresztą nie było gdzie się myć. Umyć się publicznie na stacji – także części intymne? Jak?! To było wtedy dla nas nie do wyobrażenia, ale brud był także dokuczliwy.

Na początku naszej podróży ludzie stłoczeni w ciasnocie wagonów podzielonych w poziomie na połowy, byli dla siebie wyrozumiali i życzliwi, ale potem było coraz gorzej. Nerwy puszczały coraz szybciej, ludzie stali się sobie niechętni, byli coraz bardziej zniecierpliwieni bardzo trudną i beznadziejną sytuacją. Coraz częściej byli poirytowani tym tłokiem – stale wytykano sobie „co się tak kręcisz” „co się rozpychasz”, „nie ty tu najważniejsza”, itp. Biada temu, kto nie miał zapasów, nie był zapobiegliwy, a co ważniejsze – nie miał naczynia na wodę. Tę naukę zapamiętałam do końca życia: na wojnie manierka może uratować życie.

Rozchorowałam się w tej podróży, dopadła mnie jakaś infekcja żołądkowa, a jedyną toaletą była ta dziura w rogu wagonu. Podobno w innych wagonach jechali jacyś lekarze, ale mnie nikt nie pomógł, lekarstw też nie było. Najpewniej brak pożywienia, prawie głód, tylko te suchary i *kipiatok*, był prostym, ale i skutecznym sposobem leczenia zaburzeń trawiennych; jakoś przeżyłam. Ale krążyły po naszym *eszelonie* jakieś ciemne, ponure opowieści o wyrzucaniu zwłok z wagonu w biegu pociągu; z naszego nikogo na szczęście nie musieliśmy wyrzucać...

W wagonie obok zaczęła rodzić kobieta. Gdy mijaliśmy jakieś miasto, odwieziono ją do szpitala. Pod opieką współtowarzyszy zostawiła w wagonie czworo małych dzieci. Potem dowiedzieliśmy się, że noworodek (dziewczynka) zmarł jednak w drodze, a ona dopiero po dwóch miesiącach odnalazła swoje dzieci na tym wygnaniu.

Któregoś ranka, gdy tylko się rozwidniło, rozległ się krzyk: „- Ural! Ural! To na pewno Ural!”. Do tych naszych małych okienek wszyscy naraz zaczęli się przepychać – jakby Ural miał za chwilę zniknąć. Ja byłam najbliżej okienka i nie dałam się odepchnąć: wtedy po raz pierwszy w życiu zobaczyłam góry. Wywarły wprost kolosalne wrażenie na mnie, wychowanej na płaskim Polesiu, pełnym lasów, bagien i rozlewisk leniwie płynących rzek. Nie mogłam się napatrzeć na góry porośnięte gęstymi lasami, wysokie szczyty oprószone śniegiem. Daleko w dolinach i znacznie poniżej naszego szlaku kolejowego, widzieliśmy domy wyglądające z oddali i z góry dosłownie jak pudełka zapalek. Takie widzenie świata dla większości z nas było nowością i nie mogliśmy się napatrzeć, bo też i okolica była piękna. Jechaliśmy przez niekończące się lasy, nagle jakaś mała stacyjka, parę domków i znowu przez parę godzin droga przez odludzie.

Krajobraz znowu się zmienił, znikły lasy, a nawet pojedyncze drzewa. Pustkowia straszne, bardzo rzadko widać było jakieś małe domki, nie miasta, ale niewielkie osiedla. W wagonie narastała coraz cięższa atmosfera przygnębienia i strachu, byliśmy sobie coraz bardziej obcy, coraz mniej życzliwsi i wyrozumiałości, już prawie dwa tygodnie byliśmy zamknięci w tym ruchomym więzieniu z krótkimi spacerami tylko na stacjach do kolejki po *kipiatok*.

### **Posiołek pośrodku stepu**

Po przeraźliwie długich dwóch tygodniach spędzonych w *eszelonie* dotarliśmy do północnego Kazachstanu. Na stacji „załadowano” nas na rozklekotane ciężarówki (eskorta posługiwała się nawet słowami *wygrużat'* - wylaedowywać) i zawieziono do jakiegoś osiedla.

Był to, jak się okazało, *Posiołek* Nr 27 - *Rozdolnyj*, w obwodzie i rejonie akmolińskim<sup>10)</sup>, około 30 kilometrów od Akmolińska. *Posiołek* to po polsku osada, tak nazywane były miejsca osiedlania uchodźców i miejsce zsyłki bardzo licznych narodów, ale o tym niżej.

<sup>10)</sup> Akmoła – z kazachskiego „biała mogiła”; Rosjanie wybudowali tu w 1824 r. twierdzę, w znacznej części zburzoną w 1921 r., lecz kazamaty artyleryjskie, przekształcone w lochy więzienne, częściowo pozostały, jak się później osobiście przekonałam. Potem nazwę miasta zmieniono na Celinograg (ros. *celiny* - ugory, po akcji „zaorywania” ugorów pod koniec lat '50 i na pocz. '60 XX w., pod



Po dziesiątkach lat, w 1988 r. oglądałam w telewizji świeżą wtedy, już *pierestrojkowoju* sowiecką serię programów o łagrach i okazało się, że ten nasz *posiołek* był położony niemal dokładnie w środku rozległego obszaru, noszącego nazwę Karłag – od *Karagandskij Łagier*<sup>11)</sup>). Ani obszar łagru, ani nawet naszego *posiołka* nie był ogrodzony, nie było takiej potrzeby – niezmierzone przestrzenie i brak transportu stanowiły wystarczającą przeszkodę. Karłag zaludniali, obok nas i innych deportowanych narodowości, także więźniowie. Byli jednak umieszczeni w zamkniętych łagrach z surowym reżimem; bardzo wielu katorżniczo pracował ponad siły w kopalniach węgla, w okolicy samej Karagandy.

Niczego do jedzenia nam na *posiołku* oczywiście nie dano. W dniu 1 maja 1940 r. zebrano nas i poinformowano pokrótce, jak będzie na tym wygnaniu wyglądało dalej nasze tu życie. Nakazano nam budowanie chałupki z *samanów*, czyli cegieł z niewypalanej gliny wymieszanej ze słomą. Takich samych, w jakich żyli inni deportowani miejscowi. Kazachowie mieszkali w tradycyjnych domach także z *samanu*, ale znacznie lepiej dostosowanych do klimatu (podwójne ściany!), niż te nasze baraki. Z tych *samanów* budowali oni także ogrodzenia i budynki gospodarskie.

*Predsiadatiel kołchozu*, w nieodzownej obecności komendanta placówki NKWD, oznajmił krótko: „- Przyjechaliście tu, aby pracą zarobić na swoje utrzymanie, *Kto nie rabotajet, tot nie jest!* (Kto nie pracuje – ten nie je!) Na żadną pomoc nie macie co liczyć. Na waszych mężów, ojców i braci nie liczcie i nie czekajcie na nich. *Oni uże triapki suszat'* (Oni już onuce suszą) - posłużył się rosyjskim zwrotem idiomatyczny, odpowiednikiem naszego „wążania kwiatków od spodu”. Było to tak straszne, że mu nie uwierzyliśmy!

Duży ogród warzywny kołchozu był otoczony kanałami; kobiety motyką robiły z ziemi zapórę na głównym kanale i po nawodnieniu jednej działki, taką małą tamę robiono w innym miejscu, dokładnie tak samo, jak to się robiło we wszystkich kulturach rolniczych od tysięcy lat. Tak się nawadniało nasze podstawowe chyba źródło zaopatrzenia w żywność.

Parę dni koczowaliśmy w domu kultury na tobołkach, aż zaczęto nas rozmieszczać po domach kołchoźników. Byli to wygnańcy z całego Związku Sowieckiego: z Zabajkala (!), z Kubania leżącego naprzeciwko Krymu, Mongołowie, parę ludów kaukaskich – ludzie wywiezieni w latach '30; byli tam nawet zesłani Koreańczycy – pracownicy kolei rosyjsko – koreańskiej. Byli także nie do końca wymordowani Polacy z Ukrainy, z rejonów nazwanych „Marchlewszczyzna” i „Dzierżyńszczyzna”<sup>12)</sup>). Zdomowili się już, przyzwyczaili, urządzili się lepiej lub gorzej, ale nigdy dobrze – jakoś żyli. Ich przywieziono na te tereny jesienią, umieszczono w namiotach i tak musieli przetrwać zimę. Nie było, z powodu śniegu i mrozów, możliwości wybudowania domów. A zimy, jak nas informowali, były tu wyjątkowo długie i ostre. Według nich, nam się bardzo szczęśliwie udało, bowiem przywieziono nas wiosną i będzie można zbudować baraki.

Z Kobrynia razem z nami przywieziono grupę rodzin żydowskich. Ich mężczyzn wcześniej aresztowano i wywieziono – byli prawdopodobnie konfidentami czy agentami policyjnymi, być może policji politycznej. Grupa ta trzymała się osobno, z dala od nas. Było też wśród nas parę prawosławnych rodzin białoruskich i

---

wodzą sekretarza generalnego wtedy tylko Kazachstanu, potem całych Sowietów, Breżniewa), a następnie w pierestrojce powrócono do nazwy Akmolińsk, zaraz po tym miasto nazwano Astana – a na koniec, aby uniknąć złych skojarzeń dla stolicy nowego, niepodległego już Kazachstanu – nazwano miasto Astana i przeniesiono gdzie indziej. Iście sowieckie gesty.

<sup>11)</sup> Dla uzmysłowienia zachodniemu telewidzowi wielkości tej „wyspy w Archipelagu Gułag”, przyłożono odpowiednio przycięty kawałek papieru do mapy Francji i następnie przesunięto go, dla tym większej wiarygodności bez odrywania papierka od mapy Eurazji, na wschód w jednym ujęciu kamery bez cięć i montażu, aż po Karłag wyraźnie zaznaczony na mapie Związku Sowieckiego na Kazachstanie. Łagier był większy od Francji - wystawał w każdą stronę spod sporego przeciw państwa tego kształtu wyciętego z papieru w tej samej skali. Skomentowano to tylko tak: „- Nie była to jeszcze największa wyspa w archipelagu...”

<sup>12)</sup> Polski rejon narodowościowe. Pierwsza była Marchlewszczyzna, rejon utworzony w 1926 r. na Wołyniu, ok. 100 km na zachód od Żytomierza, ze stolicą w trzytysięcznym miasteczku Dołbysz, którego nazwę w zmieniono na Marchlewsz; Polacy stanowili ok. 70% ludności. Później, w 1932 r. powstał Polski Rejon Narodowy im. Feliksa Dzierżyńskiego na Białorusi, ze stolicą w Kojdanowie, (późniejszy Dzierżyńsk) w pobliżu Mińska. W skład Dzierżyńszczyzny weszło kilkadziesiąt wsi położonych wokół Kojdanowa. Planowano utworzenie trzeciego polskiego rejonu autonomicznego na Ukrainie w pobliżu Płoskirowa (Podole). Ale potem większość ludności polskiej wymordowano, a niedobitki – wywieziono.



ukraińskich z ziem polskich. Za co ich wywieziono, nie wiedział nikt. Oni też trzymali się osobno, w swoim gronie, ale z raczej przyjaznym nastawieniem do nas, poczuciem wspólnego losu.

Były w naszej okolicy trzy przynajmniej kategorie osiedli: *posiołki* Stołypinowskie<sup>13</sup>), chłopów przybyłych tutaj jeszcze przed Wielką Wojną, gospodarujących jak należy (i na ile można było potem w kołchozie), zasiedzieli od lat i już dobrze urządzi w tych swoich *posiołkach* noszących nazwy: Iwanowka czy Maksymowka, a nie biurokratyczne numery. Były osiedla tubylców, czyli Kazachów, zwane aulami, ale dawniej, przed rewolucją, Kazachowie byli ludem koczowniczym<sup>14</sup>). No i były nasze *posiołki*, karne - nie karne, *ciort tol'ko znajet*, (Diabeł jeden wie) osiedla deportowanych czy przesiedlonych, a ostatnia falą była ta z Polski.

Na *posiołku* wykonywano jeszcze dosyć ciężkie prace przy produkcji owych *samanów*: oznaczało się koło na ziemi niedaleko wody – czyli praktycznie tylko rzeki Iszym – następnie zdejmowano warstwę humusu, do dołu wlewano kolejne wiadra wody z rzeki i kobiety z podwiniętymi spódnicami chodząc w koło miesiły tę breję, do której dodawano coraz to nowe porcje słomy. Nieco to przypominało deptanie kapusty u nas na Polesiu. W kołchozach „bardziej zmechanizowanych” do takiej pracy używano konia. Wyrobiona masa formowana była w drewnianych formach zwilżanych w środku wodą, a po zdjęciu formy *samany* schły w słońcu i na wietrze, codziennie przekładano na inną stronę. Wody i gliny – nie brakowało; konstrukcję domu potem uzupełniano spojeniami z gliny, na górze jakieś bierwionka na dach, na to darń – już mamy dom!

Była to odwieczna technologia, pamiętająca starożytne czasy Chin i Sumeru... Domy te i owszem, stały, dawały niezłe schronienie przed zimnem, ale trzeba było ich bardzo pilnować wiosną, która przychodziła niespodziewanie, gdy jeszcze leżał kopny śnieg. Konieczne trzeba było domy odkopać z głębokiego śniegu, odrzucając go od ścian. Kołchoźnicy z niedbalstwa nie zrobili tego raz przy gęsiarni; ściany opadły przy odwilży, a gęsi podusiły się, przywalone dachem...

Moja rodzina została umieszczona w baraku z kilkoma mieszkaniami, bardzo małymi i ciasnymi, u rodziny Kubancewych. Mieli oni dwie córki, z których młodsza była w szkole w rejonie, w *posiołku* Nr 30, a druga, schorowana po przeżyciach więziennych, miała pierwszą grupę inwalidzką i była zwolniona z pracy – wszyscy inni wychodzili do pracy w kołchozie. Dobrze wspominam sobie Kubancewych: serdeczni, mili ludzie, zawsze gotowi do pomocy życzliwą radą i nie tylko. To też się liczyło – bo materialnej pomocy w szerszym zakresie nikt nikomu nie mógł tam udzielać. Z Kubania wywieziono ich w 1936 r. i tak tu żyli<sup>15</sup>). Izba, w której nas ulokowano, to była letnia kuchnia, o pojedynczych, cienkich ściankach, chłodna – wiatr hulał po niej, podłóg nigdzie tam było, musiało wszystkim wystarczać zwykłe klepisko, jak w stodole. Spaliśmy z Mamą na pryzkach z desek położonych na *samanach*; moich młodszych braci gospodarze zabrali do siebie i położyli na piecu, jak to w Rosji, Ukrainie i na wschodzie Polski było urządzone. Chłopcy stale dokazywali,

<sup>13</sup>) Warto tu podać parę informacji o tym Stołypinie Piotrze Arkadjewiczu (1862-1911): rosyjskim polityku. Od 1906 także minister spraw wewnętrznych, a parę miesięcy potem mianowany został premierem. Stłumił ruchy rewolucyjne (1905-1907, tzw. reakcja stołypinowska – dotąd wagony więzienne w Rosji nazywa się *stołypinkami*). Od 1906 r. prowadził reformę agrarną, znoszącą wspólnoty gminne, dając podstawy do stworzenia warstwy zamożnego chłopstwa stanowiącej oparcie polityczne dla władz. Zamordowany w Kijowie w niejasnych okolicznościach, prawdopodobnie z inspiracji Ochrany.

Stołypin w ciągu krótkich sześciu lat doprowadził do tego, że 2,5 mln rodzin chłopskich, dobrowolnie przeniósł się na Syberię Południową, na Ałtaj, tam, dokąd przedtem jeździło się tylko kibitkami albo maszerowało w łańcuchach. To on doprowadził do tego, że w Rosji w 1913 r., ostatnim roku pokoju, bułka kosztowała kopiejkę i nikomu jej nie brakowało. Głód występował rzadko i tylko na określonych obszarach, tam, gdzie przeszła szarańcza albo miała miejsce susza, jak to się zdarzało na Powołżu. Rosja stała się wtedy największym eksporterem ziarna w świecie. To wszystko Stołypinowi się udało dzięki właściwymi zarządzeniami oraz wychowaniem społeczeństwa w szacunku dla prawa i własności.

<sup>14</sup>) Około połowy narodu kazachskiego wyginęło w czasie wojny domowej... Bardzo prawdopodobne, że było to wynikiem kontynuacji carskiej jeszcze, tej Stołypinowskiej, polityki wypierania Kazachów z najżyźniejszych regionów w celu przygotowania terenów pod osadnictwo rosyjskie. Los taki spotykał z ręki Rosjan (i bolszewików) także i inne narody środkowoazjatyckie i to jest jedną z przyczyn utrzymywania się partyzantki basmaczy jeszcze w latach '30 XX w.

<sup>15</sup>) Pierwsza Armia Konna Budionnego składała się nie z Kozaków kubańskich, lecz głównie z tamtejszych *chachłów*, czyli gospodarzy niebędących Kozakami zobowiązanymi do służby wojskowej – Kozacy kubańscy w większości popierali białych w wojnie domowej; stąd te represje w regionie, który wystawił jedną z najważniejszych bolszewickich jednostek wojskowych.



poszturchiwali się, był wprost nieznośni, ale Kubancewy znosili te ich wybryki z pobłażliwym uśmiechem, cierpliwością, zrozumieniem i pewnym emocjonalnym ciepłem. Wiosna była chłodna, śniegu już nie było, stale dał zimny wiatr.

W izbie Kubancewych rzeczywiście było ciepło, bowiem nie dość, że mieli piec – to jeszcze ich izba miała podwójne ściany. W piecu palono, jak wszędzie tam, *kiziakiem*, to jest wysuszonym łąjnem krowim i końskim. Latem spaliśmy wprost na ziemi, na zewnątrz, bowiem nawet w tej „przewiewnej” kuchni było latem (lipiec i sierpień do połowy września za duszno i za gorąco).

Trudno się było przyzwyczaić do takiego życia, ale nadchodziła wiosna, było coraz wietrzniej cieplej. Praca na świeżym powietrzu była do wytrzymania. W *posiołku* kobiety mające małe dzieci pracowały w kołchozowym ogrodzie nawadnianym wodą z Iszymu, a dzieci zostawały w żłobku; nieco starsze posyłano do przedszkola (*dietsad*). Starsze dzieci chodziły do szkoły, uczyły się rosyjskiego, ale nauka w takim stresie nie zawsze dawała dobre rezultaty. Pracowały też one w ogrodzie - grabiły, pielili, wykonywały lżejsze i mniej skomplikowane prace. Młode dziewczyny, w moim wieku, wożono do pracy dalej od naszego *posiołka* czasem nie wracałyśmy na noc i spałyśmy w jakiś przypadkowych, prymitywnych miejscach.

Do naszych gospodarzy przyjechała ze szkoły średniej, z okazji święta 1 maja, ich młodsza córka, moja rówieśnica. Bardzo szybko poczułyśmy do siebie sympatię, mimo że podstawy podejścia do życia były różne. Ona żyła jak żyła, bardzo ciężko, było trudno, ale to jej życie było, innego, niestety, nie znała. Ja zaś traktowałam tę sytuację jako coś przejściowego. Przecież żyję jak w koszmarze, ale to musi się skończyć i wrócić do Polski!

Poszłyśmy któregoś dnia z Wala na spacer w step: piękny wiosenny dzień, wszędzie trawa i kwiaty, żywy kolorowy dywan. Kwitły tulipany, step mienił się żółtym i jaskrawym czerwonym. To były inne, niż polskie odmiany, stepowe – krzaczaste i niskie. Wala rozejrzała się po stepie powiada: „*Kak krasiwio zdies'...*” (Prawda, jak tu pięknie?). Ja odpowiadam: „- Tak, ale tęsknię za naszymi lasami, za moim domem i kolegami. Czemu tu as wywieźli?!”. A Wala nieoczekiwanie uderza w płacz! Nie rozumiejąc o co chodzi, obejmuję ją, tulę, pytam – co się stało!? Powiedziałam coś złego? A ona jeszcze bardziej rozdzierająco szlocha. Nic już nie rozumiałam: „- Wala, Waleńka, uspokój się. Powiedz mi, co się stało!?” A ona jąka przez łzy: „- No ja, widzisz, muszę jutro pójść na NKWD i powiedzieć, że ty tak powiedziałeś o swojej tęsknocie za ojczyzną...”. Odsunęłam się od niej, z przerażeniem pytam: „- A co w tym złego?! Pójdiesz na mnie donieść? O czym – co im powiesz? Czy to przestępstwo tęsknić za krajem?!”. Ona patrzy na mnie przez łzy wzrokiem ranionej sarny i pyta pochlipując: „- A jeżeli ty pójdziesz pierwsza...?”

Byłam wstrząśnięta i prawdę powiedziawszy dotąd jestem wstrząśnięta, gdy to sobie przypomnę. Ten wszechogarniający strach, to zerwanie więzów przyjaźni, uczuć ludzkich, normalnych takich! Ale Wala nie zdradziła – nie doniosła. Nawet potem, gdy mnie aresztowano, gdy można było tanio się zasłużyć w NKWD, dodając jeszcze coś na mnie – nic nie pisnęła! Ani słowa. Dzięki ci, Walu, za milczenie. A może się obawiała wyznać, że toczyła ze mną jakieś rozmowy ...? Kto by tam z nas poznał do końca ich myśli i to życie w Bolszewii<sup>16</sup>!

Jeszcze tego dnia, bardzo poruszona, poszłam nad Iszym, rzekę tak ważną dla naszego *posiołka*. Spływały ostatnie kry – na jednej z nich siedział wystraszony gronostaj, też wyniesiony przemożnymi siłami poza swoją ojczyznę, niesiony coraz to dalej i dalej. Doprawdy poczułam jakąś wspólnotę z tym małym zwierzątkiem...

Potem nas przeniesiono do innych baraków i straciliśmy Kubancewych z oczu. Oni też nie szukali z nami kontaktu. Nie było to zbyt bezpieczne, takie zaprzyjaźnienie się - spiskują, czy jak!? Takie podejrzenia w tym chorym systemie nie były niemożliwe! Może obawiali się, że dalsze dowody zyczliwości, jaką okazywali nam, obywatelom Polski, będzie źle widziana przez władze i poczytana za dowód złej woli, że spotkają ich dalsze represje?

<sup>16</sup> Posługuję się tym słowem dla podkreślenia, że to nie Rosjanie czy inne narody żyjące w tamtym państwie tak się zachowywali i kierowali się taką (nie)moralnością – lecz że zostali do tego zmuszeni przez nieludzki ustrój.



Chyba w czerwcu 1941 r. nadano nam obywatelstwo sowieckie - odbyło się to szybko i sprawnie. Wezwano nas któregoś dnia pod dom kultury, siadałyśmy po cztery na przygotowanej ławce i fotograf robił jedno wspólne zdjęcie, które po pocięciu na cztery części wklejano do naszych paszportów, już gotowych i wypisanych – podpis, pieczęta i gotowe! My – to już nie my! Na paszporcie było napisane: „bez prawa wyjazdu poza akmolińską *oblast'* i poza rejon akmoliński”<sup>17</sup>). I tak dołączyłyśmy do grona obywateli „wolnych narodów”. Niewiele w tamtym przełomowym momencie czułam – chyba tylko bezradność.

Praca w kołchozie zaczęła się dla mnie od sadzenia ziemniaków, co nie było pracą skomplikowaną, ale normy były wysokie i wprost niewykonalne. Ale od czego racjonalizacja pracy? Wrzucałam ziemniaki w co drugi dołek i zaraz poszło szybciej, mogłam wyrobić normę jak inni! Jak potem te ziemniaki wyrosły i kto je jadł – nie wiem. My nie dostaliśmy ich, w sprzedaży w sklepie też ich nie było.

Latem grupa z naszego *posiołka* została wysłana na sianokosy, w miejsce oddalone od domu. Były to dwa czy trzy gospodarstwa. Skoszone siano odwożono gdzieś indziej. Przydzielono mnie do grabienia i musiałam nauczyć się obsługiwać konne grabie: siedziałam na siodełku maszyny i co jakiś czas pociągałam za dźwignie podnoszącą i opuszczającą te grabie; skoszona trawa w zasadzie sama się grabiła. Wydawać by się mogło, że praca na świeżym powietrzu nie jest zła, ale te komary! Wszędzie na Syberii, nawet o wiele dalej na północ, po wiosennych roztopach, gdy woda się nagrzeje w płytkich kałużach, legną się setki miliardów komarów. Bardziej na północ, niż nasz *posiołek*, gdzie jest wieczna zmarzlina i woda nie wsiąka, komary stanowią niewiarygodne wręcz utrudnienie życia. Wprost oddychać nie można, wszędzie się wciskają, kłują, wszystko boli i obrzmiewa. Nie miałyśmy żadnej ochrony, dziewczyny nie chodziły przecież w spodniach, a wieczorem całe ciało piekło od tych ukąszeń.

Na noclegi wracałyśmy do bazy, trzeba było jeszcze oporządzić konie, zjeść kolację i padałyśmy ze zmęczenia wprost na glinianą polepę i natychmiast zasypiałyśmy. Kołchoźnicy natomiast, zwłaszcza ci starsi wiekiem, siedzieli jeszcze przy ognisku przez jakiś czas i przepięknie śpiewali czastuszki. Mieli nawet czasami siły na tańce. Myślę, że po prostu nie przeżywali tego wygania tak mocno, jak my, może jeszcze potrafili cieszyć się życiem, nie znając jego jeszcze gorszej strony?

Z tej pracy wracałam do *posiołka* z dwoma brygadzistami, nie pamiętam z jakiego powodu, może choroby? Po drodze zajechaliśmy do pewnego Kazacha. W rogu jego izby stała ogromna, skórzana torba prawie do sufitu, a z boku dźwignia jak u pompy przy studni; dziwne urządzenie. Proszą nas do stołu, wręczają po małej, głębokiej miseczce kumysu, czyli sfermentowanego mleka kobyłego... Przed wypiciem wstrętne, bałam się odmówić, aby nie obrazić gospodarzy, w dobrej wierze częstujących nas napojem tak wysokiej klasy... Ale po spożyciu, wrażenie ogólne było znacznie przyjemniejsze, następną czarkę wypiałam już z ochotą, nie wiedząc, że kumys zawiera alkohol, choć niewiele. Zakręciło się w głowie – ale jeszcze nie odwróciłam miseczki do góry dnem, jak każe obyczaj, wypił za mnie bardzo chętny do takiej wypitki – brygadzista... A ta dźwignia z boku wora służyła do okresowego mieszania mleka, aby równo i szybciej fermentowało...

Potem przewieziono wiele z nas do samego Akmolińska, do prac budowlanych. Budowaliśmy pocztę – po uginających się deskach z nabitymi poprzeczkami na drewnianych nosilkach dźwigałyśmy cement. Była to bardzo ciężka praca, zupełnie nie na moje siły – ale trzeba było przetrwać i przeżyć. Po pracy wszyscy spaliśmy na budowie, w jakimś na wpół wykończonym pomieszczeniu. Zmęczenie powodowało, że było nam wszystko jedno, jak i na czym śpimy, byle tylko wypocząć do dnia następnego. Ale zawsze znaleźli się tacy mniej zmęczeni, którzy podejmowali jedyną właściwie dostępną rozrywkę – te chóralne śpiewy, No i śpiewali doskonale – a ja spałam. Wtedy mi się też przypomniało, że gdy po raz pierwszy przybyliśmy do Akmolińska – patrzymy, a tam rozbierają jakąś wielką (jak na tamtejsze warunki) budowlę; to był drewniany meczet...

<sup>17</sup>) My Polacy, traktowaliśmy to jako straszną represję, wymysł bolszewicki, ale takie paszporty pozwalające podróżować swobodnie po całym kraju – zostały na krótko wprowadzone przez bolszewików właśnie po rewolucji, lecz szybko wycofane. Za czasów carskich instytucja paszportów wydawanych chłopom pańszczyźnianym przez pana - obszarznika miała zapobiegać włóczęgostwu i ucieczkom chłopów ze wsi; potem pojawił się taki sam problem z kołchoźnikami! Czytałam o tym w „Rosji carów” doskonałego historyka Richarda Pipesa.



Całe lato jeździłyśmy z jednej pracy do drugiej – jak jakieś pogotowie robocze! Często było to tak daleko, że nie można było wrócić na noc do domu, do *posiołka*. Rosjanie powiadali: *Sto rublej – nie dien'gi, trista wiorst – nie rastajanije...* (czyli: sto rubli nie pieniądze, trzysta kilometrów – nie rozstanie). W miejscu pracy dostawałyśmy jedzenie – jakaś cienka zupka z prosa i kawałek chleba. Na jednej z budów nie utrzymałam nosiłek i obtarłam sobie pod ciężarem ponad siły nogę, a pracował tam inżynier Giennadij, wnuk jeszcze powstańca styczniowego. On zajął się mną, wezwał pielęgniarkę – i zakochał się we mnie! Oczywiście było to dla mnie miłe, imponowało mi, mimo nędznych roboczych szmat poczułam się dziewczyną, ale nie mogłam tego uczucia odwzajemnić. Nie wyobrażałam sobie zupełnie, że mogłabym tam żyć, założyć rodzinę, resztę życia spędzić na obczyźnie w warunkach tak bardzo nieprzyjaznych! Cały czas żyły wspomnienia o moich przyjaciółkach, wracały do Kobrynia, do mojego Lowy, studenta ze Lwowa... Lowa jednak żył swoim życiem, nie krępując się innymi. Swoim wdziękiem podbijał wiele dziewczyn. Ukończył Politechnikę Lwowską, a po wojnie odnalazł mnie i przyszedł do mojego mieszkania (gdzie mieszkałam z mężem, przecież). Córka, która miała już 14 lat – podała mu numer telefonu, on zadzwonił, zadzwoniła też koleżanka – kobrynianka i zaprosiła mnie do siebie na wieczornicę, urządziła jakąś kolację. Poszłam z mężem, a Lowa znalazł możliwość porozmawiania o jakiś wspólnych spacerach z przeszłości, ale ja miałam przygotowaną odpowiedź po rosyjsku - Tatiany swemu ukochanemu, według Puszkina: „- *Tiepier ja uże mojemu podrugu i dobrotiteliju mat*” (teraz jestem towarzyszką mego męża i dobro czyniąca matka...).

Nie wiedziałam, jak wybrnąć z kłopotliwej sytuacji – nie miałam żadnego życiowego doświadczenia w takich sytuacjach. Giennadij zapraszał mnie na tańce do parku kultury i wypoczynku, jak to tam nazywano (a u nas – deski, dechy do tańca...). Tańczyłam zapamiętała, aby zapomnieć, co się dzieje dookoła, jak to ze mną teraz jest. Była to forma terapii na moje tęsknoty.

W pewną niedzielę pojechaliśmy do rodziny Giennadija, ale matce się nie spodobałam, co go mocno ostudziło w adoracji tej nowej dla matki znajomości... Znała system, w jakim przyszło im żyć, pokazywanie się w moim towarzystwie było potencjalnie niebezpieczne – zwłaszcza dla wnuka powstańca styczniowego... Właściwie byłam zadowolona z niechętnego stosunku matki Giennadija do mnie, z powodów podanych wyżej... Zaprzyjaźniłam się natomiast z jego siostrą, niezwykle ciekawą życia w „dawnej Polsce”, wypytywała mnie, jak się tam u nas żyło, jaką miałam szkołę, jakich kolegów, czy byłam szczęśliwa? Teraz, z perspektywy czasu, mogę powiedzieć, że właściwie tęskniłam za tym skromnym, spokojnym życiem dającym jednak małe szczęście.

Giennadij jednak (ten brak akceptacji ze strony jego matki i moje w związku z tym odrzucenie) przeżył to dosyć boleśnie, ostantacyjnie przestał zwraca na mnie uwagę – a potem przerzucono go do innej pracy.

Kiedyś przeżyłam burzę piaskową – na tym niby trawiastym stepie. Pył piaskowy niesiony wiatrem przesłonił słońce, zrobiło się żółto, coraz trudniej było się przedzierać przez tumany niesione wiatrem, pył wdierał się do gardła, uszu, atakował oczy. W lecie step niemal całkowicie zamierał - teraz zrozumiałam słowa z moich lektur szkolnych: równina stepowa...

Dla zdobycia środków na chleb, nasza Matka zaczęła wymieniać rzeczy przywiezione w tych niewielkich bagażach. Sprzedała ubranie Ojca, jakieś ręczniki, obrusy. Te nasze przecież bardzo skromne rzeczy wzbudzały ogromne zainteresowanie wśród miejscowych Kazachów z nieodległego aułu. Mieliśmy cenne skarby! Jeden z Kazachów wypatrzył u nas błyszczący mosiężny czajnik<sup>18</sup>), ten wykonany z łuski artyleryjskiej, zabrany zamiast wielu rzeczywiście bardziej potrzebnych, jak ta miednica, której nam nie pozwolono zabrać ku wiecznemu żalowi Mamy. Ale Kazachowi nasz czajnik wydawał się niezwykle cenny, nie potrafił ukryć oczarowania tak zachwycającym przedmiotem! To miał być wspaniały, niespotykany prezent

<sup>18</sup> Legenda rodzinna powiada, że był on zrobiony z odłamków pocisku, który rozerwał się zaraz koło Ojca, nie robiąc jednak nikomu krzywdy. Ale pociski robiono przecież ze stali czy żelaza, nie z mosiądzu, który by nie dawał odłamków, przez co siła rażenia takiego mosiężnego pocisku byłaby mniejsza... Już w dzieciństwie przypuszczałam, że czajnik był wykonany pewnie z łuski artyleryjskiej z I wojny światowej; zresztą – co to za różnica? I tak była to nasza pamiątka rodzinna, które musieliśmy się wyzbyć w ciężkich chwilach.



dla żony! Nie miała w nim parzyć herbaty, tylko przy jego pomocy dokonywać intymnych ablucji (ułatwiał to dziubek) i długo była szczęśliwa z posiadania tak oryginalnego naczynia!

Ale naszych przedmiotów na wymianę w końcu zabrakło, zaczęło być głodno. Nieraz kładliśmy się spać głodni, a głód był tym większy rankiem, po przebudzeniu się. Ratowały nas paczki, jakie otrzymywaliśmy czasami od przyjaciół z Kobrynia i znowu mieliśmy coś na wymianę z Kazachami. Szczególnie cenny był tytoń, i herbata, tak zwana cegiełkowa (prasowana w bloczki z liści i cieńszych łądyg herbata zielona, którą przed użyciem trzeba było ucierać na pył); mydło i kasze zostawialiśmy sobie, czasem kupowaliśmy trochę mleka i jakieś jajko. Z żółtek, wzorem Kazachów, robiliśmy mydło – żółtko mieszało się z gliną i to się nawet nieco pienilo. Paczki przychodziły aż do wybuchu wojny z Niemcami.

Ani się obejrzałam, jak minęło suche i upalne lato. Trawa na stepie pożółkła, potem zszarzała, spalona słońcem ziemia popękała. Przy tej potwornej suszy ani kropla deszczu nie spadła przez całe lato. Iszym po szerokich wylewach wiosną, miał teraz bardzo niski poziom wody; na stepie nic już nie kwitło i się nie zieleniło, a tak niedawno kwitły jeszcze burzany (Mickiewicz pisał o krymskich „Stepach Akermańskich: „... omijam koralowe ostrowy burzanu...””), a teraz te zeschnięte krzaczki jako kolczasto – krzaczaste kule wiatr pędził w zawrotnym tempie w różnych kierunkach po stepie. Budowaliśmy zapory, aby zatrzymać jak najwięcej tych krzaczastych kul, które też mogły nam służyć jako opał, a popiołu robiło się ług, służący do prania odzieży. Ginięły od tego nie tylko wszy, ale i gnidy. Robactwa było jednak coraz więcej. Wydawało się, że step się w zawrotnym tempie porusza, faluje – żyje.

Tak, jak u nas na Polesiu, jesienią kobiety zbierały się po chałupach na darcie pierza do wtóru pieśni i różnych opowieści, tak i tu Kozaczki siadywały przed domami, ubrane w czarne kaftany ze srebrnymi guzikami wysadzonymi kamieniami półszlachetnymi, aby tępić insekty w odzieży! Każda wynosiła sterty bielizny i zębami przygryzały szwy, aby porozgniatać ukryte wszy i gnidy... Patrzyłyśmy na te ich zabiegi higieniczne, dyktowane wiekami doświadczeń, ze zgrozą i obrzydzeniem; dla nas to wyglądało jak iskanie się zwierząt.

Już w październiku złapał mróz, ale my mieliśmy opał – całą furmankę za czajniczek, który tak spodobał się Kazachowi! Oczywiście, był to *kiziak*, a nie drewno (drzew nie było w ogóle w okolicy *posiołka*) – ale i tak było dobrze. Wymieszany z gliną *kiziak* powodował, że glina długo potem oddawała ciepło. Używano go bardzo oszczędnie – był przy tym niemal na wagę złota.

Z koleżanką z *posiołka* chodziłyśmy do pobliskiego aulu do Kazachów. Wszystko było dla nas tam interesujące i dziwne, nawet ich sposób ubierania się był dla nas niezrozumiały. Nawet w upały mężczyźni nosili lisie czapy – uszanki z nisko schodzącym karczkiem! Oni też byli nas ciekawi, w łamanym rosyjskim wypytywali nas, w jakim kraju żyjemy, jakie są tam zwierzęta (w tym hodowlane), jakie mieliśmy gospodarstwa, co jedliśmy... Często wiali nas zwykle herbatą cegiełkową i małymi, niesłodkimi (bo i skąd cukier lub miód!?) ciasteczkami smażonymi na ... łożu baranim! [Dopiero po kilkudziesięciu latach dowiedziałam się, że podawane do herbaty sławne szkockie kruche i tłuste ciasteczka „Short Breads” (krótkie chlebki) też są z mąki zagniecionej z łożem.] Bywałam taka głodna, że mi to smakowało, choć nie cierpiałam łożu baraniego. Zdumiewało nas także to, że wszystko Kazachowie jedzą rękami, nawet te potrawy zatopione w łożu lub tłustym rosole .

Ale u nas z jedzeniem było coraz skromniej: raz dziennie jedliśmy razową zacierkę na wodzie, okraszonej łyżką mleka. O chleb było coraz trudniej, rzadko kiedy Matka miała mąkę i mogła na płycie upiec *lepioszki*. Chłopcy podkradali krowom sól ze żłobów, gdzie wykładano im ją w bryłach do lizania. W kolchozie był ogród warzywny otoczony rowem, do którego kobiety pompowały wodę z Iszym; brygadzystą był natomiast mężczyzna. Czasem któreś z kobiet udawało się wynieść kilka warzyw pod spódnicą, ale teraz mieliśmy już późną jesień i w ogrodzie nie było praktycznie nic do jedzenia.

Także w sklepiku kolchozowym praktycznie nic nie było. Pamiętam, że w pewnym momencie gruchnęła wieść, że „coś przywieźli!” i jest ogromna kolejka. Ale ku swemu rozczarowaniu dowiedziałam się, że to *Odekołon przywieźli!* (Dowieźli wodę kolońską!). Nie stałam więc w kolejce, bowiem wody kolońskiej nie



potrzebowałam. I to był wielki błąd, jak się okazało! Woda kolońska zastępowała bowiem wódkę i można ją było bardzo korzystnie wymieniać na mleko czy mąkę!

Nadeszła zima – nasza pierwsza na wygnaniu. Spadł obfity śnieg, zasypał ścieżki między barakami. Nie mieliśmy zimowych butów, więc nogi owijaliśmy szmatami, przewiązywaliśmy sznurkami i tak jakoś można było chodzić po śniegu. Wróciły czasy ubogiego Podlasia z wczesnego dzieciństwa. Wieczorami jednak strach było wychodzić z baraku.

Kiedy wiał *buran*, silny zimowy wiatr ze śniegiem jak igiełki, przy temperaturze minus 30 - 40<sup>o</sup>, lepiej było siedzieć w baraku. Nie można iść w obranym kierunku – te śniegowe igiełki raniły twarz, a obracając się z wiatrem natychmiast traciło się kierunek. W *posiołku* Nr 30 zamarzły trzy Polki – poszły wymienić coś do aulu i nie zdołały dojść, straciły kierunek i zamarzły w stepie.

Pewnego dnia moja Mama wyszła na zewnątrz podczas bardzo silnego *buranu*, aby zatkać komin, bowiem wiatr wywiewał ciepło z naszej izby. Śnieg sięgał dachu naszego baraku. Wykopano schody w śniegu, aby można było wyjść na zewnątrz. *Buran* jak zwykle był tak silny, że Matka straciła orientację, szła z wiatrem w stronę *posiołka* i na szczęście zatrzymała się przy jakiejś chatce. Ktoś tam ją znalazł, wprowadził do izby, ogrzał i przenocował. Rano, gdy *buran* nieco osłabł, przywiązano ją do sznura skróconego mniej więcej na odległość, jaką miała pokonać i kazano się odwiązać, kiedy dotrze do swoich... Całą noc płakaliśmy – a tu rano pojawia się Mama! Znowu płacz, tym razem ze szczęścia, że jesteśmy jednak razem.

Zimą w *posiołkach* często używano sznura jako zabezpieczenia w czasie zawieruchy, podczas niezbędnych wypraw do inwentarza czy po wodę. Przy *buranie*, w tumanach śniegu, nic nie było widać dookoła i łatwo było o zagubienie się nawet pomiędzy domami.

Z dnia na dzień ograniczaliśmy porcje jedzenia: Matka dzieliła to, co miała, a było tego niewiele. Mnie po nocach śniły się stoły zastawione stoły ze święconką - wielkanocne kiełbasy, szynki, pieczone prosiaki, ciasta, jaja na twardo... Budziłam się jeszcze głodniejsza i bardziej nieszczęśliwa. O dziwo – tyłam! Miałam napuchniętą twarz, ręce i nogi, po prostu puchłam z głodu. Moi bracia, ten piętnasto- i szesnastoletni, oznajmili Matce, że uciekają i wracają do Polski. I uciekli. Potem, znacznie później, dowiedzieliśmy się z Mamą o ich dalszych losach. Wędrowali oddzielnie, ale i tak złapali ich w tym samym miejscu, na stacji Szepietowka – przed wojną stacja niemal na granicy polsko – rosyjskiej, odległej od niej o 50 km. Starszy brat został zatrzymany w tej Szepietowce<sup>19)</sup>, gdy wybuchła wojna sowiecko – niemiecka, siedział w więzieniu i tam został „wyzwolony” przez Niemców; to go uratowało. Niemcy obeszli się z nim – o dziwo! – łagodnie, dali nawet jakieś ubranie i obiecali pracę. Miał mianowicie informować ludzi, jak strasznie jest w Sowietach. Powędrował do dziadka szczęśliwy, że jest wolny, ale dziadek inaczej widział tę wolność. Wytłumaczył chłopakowi, że taka współpraca z Niemcami może się dla niego skończyć źle, wręcz tragicznie. Ponadto postraszyli go partyzanci. Musiał się do końca wojny ukrywać i było mu bardzo ciężko. Nigdy już zresztą Matki nie zobaczył...

Ciągle mam przed oczyma rozpacz Mamy po ucieczce braci – jak ona wtedy się gorliwie modliła! Nie mogłam patrzeć na te modlitwy, na tę tragiczną, klęczącą sylwetkę z rękami wysoko wzniesionymi błagalnie ku Bogu w górę, na tę przerażoną twarz z oczami zalanymi łzami i ten głos pełen przejmującego napięcia. Ogarniał mnie gniew na okrutny, bezmyślny los, dlaczego Bóg tak nas karze. Zostałam ja i mój trzynastoletni brat Henryk.

Męczące sny o jedzeniu nadal były zmorą. Raz dotykałam wszystkich smakołyków, ale budziłam się, zanim zdołałam je chociaż spróbować... Innym razem słyszałam szelest zeschniętych, jesiennych liści czy szum padającego deszczu – budziłam się z rozpaczą w sercu i z twarzą przylepioną do zmrożonego także od wewnątrz okienka – nasłuchiwałam, lecz to tylko wiatr szumił groźnie. Przypominał mi się wiersz Or-Ota „Listy z Sybiru”:

*Mamo! Piszę do Ciebie list. Czy go czytać*

<sup>19)</sup> Miejscowość ta jest znana także z umieszczenia w niej akcji powieści „Jak hartowała się stal” Mikołaja Ostrowskiego, sztandarowa powieść bolszewickiej propagandy, wydawana przez dziesięciolecia w milionach egzemplarzy.



*Będziesz? Nie wiem! Czy dojdzie? Nie wie! Chciałbym spytać  
Kwiatka, jak to się u nas wróży listków rwanie,  
Ale kwiaty umarły pod śniegu postaniem*

*I o losie tej kartki żaden mi nie powie (...)  
Piszę rankiem. Śnieg zawiął okienka mej chaty,  
W izbie mroźno i szaro... Jakiś gość skrzydlaty  
Przed zimnem do lepianki się schronił – i ćwierka.  
Ja piszę, a ptaszyna spod pułapu zerka (...)  
I widzi, jak na papier ciężka łza mi kapie... ..  
Sople lodowe wiszą u ścian, na okapie  
I mój stary kożuszek srebrzy się od szronu...  
Jak głucho! Bicie serca słychać jak głos dzwonu...(..)*

*Nieraz, gdy wyjdę z chaty na śniegi ogromne,  
Zakrwawione od zorzy polarne nieba,  
Na progu pieniądz srebrny albo krążek chleba  
Położy jakaś dobra, niewiadoma ręka.  
Jem ten chleb, gdy piszę – i serce mi pęka! (...)*

*Mamo! Ja piszę do was, jak z tamtego świata,  
Bo ja stamtąd – nie wrócę! Ach, jak wrą wojny  
W mym sercu! Chciałbym zwalczyć! Chciałbym być spokojny!  
Ale kiedy pomyślę: Nigdy! Nigdy! Nigdy!  
O mamo!...*

Ogarniała mnie rozpacz! Gdzie ja jestem? Uwięziona pod śniegiem, głodna i obca.

Nauczycielki, panie od języka polskiego, historii i biologii, które wraz z nami wywieziono, organizowały dla nas nauczanie – a było nas tylko pięć w tym baraku po małej maturze. Dziękuję im za ten trud! Wyzwalały nas z bezsilności i marazmu, i same też chyba dzięki temu znajdowały trochę sensu w tym strasznym życiu. Te lekcje, to zorganizowanie czasu i możliwość przebywania razem, odciągały nasze myśli od beznadziejności, głodu i zimna.

Śniegi na naszym *posiołku* i na całym stepie były, jak nam się wydawało, wyjątkowo obfite. Iszym był pokryty lodem i codziennie trzeba było dokopywać się do lodu, i przebijać przeręble, aby zaczerpnąć wody.

Najbardziej przykry był ten wiatr, który wiał bez przerwy, dzień i noc. Stawialiśmy *śniegoazgatownki* – takie siatki, zapory zatrzymujące śnieg, który, topniejąc na wiosnę, nawadniał pola. Nasze baraki ledwo wystawały z tego śniegu – ale musieliśmy je odkopywać, bowiem przy wiosennej odwilży, podmyte topniejącym śniegiem – „siadały”. Przy tym zimnie głód odczuwało się coraz dotkliwiej, a teraz już bezustannie byliśmy głodni.

Nasze kołchozowe władze, jak co roku, sporządziły zimowy „remanent”. Obliczono skrupulatnie wszystkie zyski z naszej pracy w kołchozie, policzono dokładnie, co zjedliśmy w czasie pracy i oczywiście wyszło na to, że nasz *trudodien'* (roboczdzień) był minusowy: za mało wydajnie pracowaliśmy, a za dużo jedliśmy! Krótko mówiąc, byliśmy winni kołchozowi pieniądze i musimy się z tego jakoś rozliczyć tą niewolniczą pracą... Za wodnistą zupkę z prosa i kawałek chleba! Czuliśmy się jak w pułapce – głód zagląda nam w oczy, pracujemy ciężko, a tu nasza praca okazuje się nic nie warta! Ani uciec, ani zostać! Gorzej by już być nie mogło. Ale okazało się, że w dno coś jednak może zapukać od spodu!

Krowy w kołchozie wyglądały bardzo źle, tylko skóra i sterczące kości, i aż robiło mi się ich żal, że bracia, chociaż z musu, to jednak podkradali im sól.



Wiosna przyszła nagle, ruszyły lody na Iszymie, zaczął topnieć śnieg. Miałam ciągle przemoczone nogi – nosiliśmy buty z Polski, jakże tu przydatne. Ten przeraźliwie nieustanny wiatr nie był już tak zimny, świeciło słońce i niebo wprost porażało błękitem.

Już rok minął od czasu, gdy nas tu przywieźli – cały rok życia w wieku, kiedy każdy rok odczuwa się o wiele żywiej, niż później w już dorosłym życiu. Ale czy to nasze tam życie - to było życie?

## Więzienie

W feralnym dniu 13 kwietnia 1941 r., rok po deportacji, zastukano do naszej izby w baraku. Zrobiono nieodczynną rewizję i przedstawiono mi nakaz aresztowania, po czym doprowadzono do komendanta *posiołka* (przedstawiciela NKWD), a tam już stała ciężarówka z innymi aresztowanymi.

Siedzieli tam już na ciężarówce znajomi z *posiołka*. Dwudziestoczteroletnia Irena była żoną oficera, a Jerzy maturzystą z Kobrynia; czasem widywałam ich przy pracy w kolchozie, lecz nic o nich nie wiedziałam. W ciężarówce nie pozwolono nam rozmawiać, patrzyliśmy tylko na siebie z przerażeniem. Nie wiedziałam zupełnie, nawet się nie domyślałam, o co może chodzić – oni pewnie też nie wiedzieli. Tak w głębokim pulsującym jednak milczeniu dojechaliśmy do samego Akmolińska.

Rozdzielono nas, rozmieszczono w innych celach: moja była zatłoczona kobietami w różnym wieku, były nie tylko Polki, a każdą oskarżano o co innego. Początkowo nie byłyśmy rozmowne, ja czułam się wyobcowana, ale spotkałam tu znajomą z moich okolic kobryńskich, żonę leśniczego. Celina była już po śledztwie, wiedziała, co to są przesłuchania, jak się to odbywa. Próbowała na miarę swoich sił uspokoić mnie, pocieszyć i jakoś przygotować psychicznie na czekające mnie ciężkie przeżycia. – Pamiętaj – nigdy nie opowiadaj, z kim ostatnio rozmawiałaś, z kim się przyjaźniłaś, możesz zaszkodzić niewinnym ludziom, też ich aresztują! Nie przyznawaj się do niczego, bo też pewnie nie masz do czego – radziła Celina – Pocierpisz, ale jestem pewna, że wyjdiesz, zobaczysz. Takie to były słowa otuchy, jakie i okoliczności...

Byłam przerażona, nie wiedziałam, co mi grozi, nie miałam najmniejszego pojęcia, o co może chodzić. Myślałam o tym, co mi kiedyś w stepie powiedziała Wala Kubancewa... Czy mogę zostać obwiniona o tęsknotę za Polską?! Może to Wala ostatecznie jednak na mnie doniosła?! Wydawało mi się to jednak absurdalne i niemożliwe, aby sformułowano takie oskarżenie. O co więc chodziło?

Miałam parę dni spokoju, nie wzywano mnie na przesłuchania. Siedziałam na narach i po głowie chodziły mi tysiące myśli. Musiałam się wdrożyć do monotonnego życia więziennego. Później doceniałam ten „brak mocniejszych wrażeń”... Rano pobudka, kibel i krótkie mycie rąk (na jakie pozwalano), pośpieszne obmycie twarzy, powrót do celi, Rano na śniadanie – zwykle porcja chleba na cały dzień, do tego bardzo słony, nie obrany śledź, na obiad jakaś cieniutka zupka na kaszy, na kolację też płynna kasza. Jeszcze nie było tak źle. To aresztowanie zapewne uchroniło mnie od śmierci głodowej! Znacznie później dowiedziałam się, że w naszym *posiołku* zgasła pani Szadurska, ziemianka z okolic Kobrynia – po prostu z głodu umarła. Ostatni raz, gdy ją widziałam, była tragicznie wprost smutna, zupełnie nie dawała sobie rady w tych okolicznościach, nie potrafiła się dostosować – głodowała. Z trwogą myślałam o Mamie i bracie.

Dla wyrwania się z monotoni więziennego życia, wymyśliłam obie zajęcia: zaczęłam opowiadać towarzyszkom niedoli zapamiętane książki. Gdzie nie pamiętałam dokładnie – koloryzowałam albo dodawałam, aby tylko trzymało się kupy. Opowiadałam to towarzyszkom niedoli łamanym rosyjskim – ale język rosyjski poprawiał mi się dosyć szybko i to znacznie, opowieści zaczęły mi wychodzić całkiem dobrze, wracała też pamięć treści coraz to nowych powieści, bajek, opowiadań i nowel!<sup>20</sup>).

<sup>20</sup> Po ponad 30 latach, czytając „Archipelag Gułag” Sołżenicyna, dowiedziałam się, że taki „opowiadacz” był niezwykle ceniony i szanowany w obozach i więzieniach, nawet przez *urków*, czyli zawodowych przestępców, najgorszych bandytów – recydywistów! Inna rzecz, że według Sołżenicyna ujawnienie takiego talentu powodowało oddanie się praktycznie w niewolę – trzeba było opowiadać coś nowego na każde żądanie miejscowego herszta, do upadłego... Ale nie zabijali...



Nie zaznałam od tej pory chwili spokoju: zabiedzone fizycznie, będące w stanie skrajnej depresji kobiety, na domiar złego stale głodne, domagały się coraz to nowych opowieści, odrywających choć na chwilę od tego więziennego otoczenia nie do wytrzymania. Stale było: *"- Raskazywaj, Giena, raskazywaj wsie skazki!"* Zaczęłam odczuwać życzliwość współwięźniarek, polubiły mnie – ale pewnie bardziej te moje „bajki”.

Po paru dniach rozpoczęło się i moje śledztwo! Oficer śledczy, rozparty wygodnie przy swym nieodzownym biurku, a ja przed nim, kulona na krześle. - Personalia! Podałam swoje dane, jakoś nie mieli mojego dowodu osobistego, owego „paszportu” (ros. *pasporta*) więc skorzystałam z okazji i odjęłam sobie rok, podałam jako rok urodzenia 1922. Miałam bowiem nadzieję, że młodszych może łagodniej traktują.

Na przesłuchania („na śledztwo”, jak to nazywałyśmy) wzywano mnie o 18:00 – 19:00, od 22:00 była cisza nocna. Wobec tego obiadu nie dostawałam, a kolacje były bardzo słabe. Po kolacji – znowu „na śledztwo”. Przesłuchania trwały prawie dzień i noc, nazywano to *konwejer*, czyli przesłuchania na okrągło. Zmieniali się oficerowie przesłuchujący mnie, a ja była coraz bardziej wyczerpana każdego dnia, i z dnia na dzień słabłam.

W celi miałam teraz poważanie i doceniano moją użyteczność jako bajarki. Ała, oskarżona o morderstwo, opiekowała się mną i stwarzała mi takie warunki do odpoczynku, jak tylko mogła. Zdecydowanie uciszała gwar w celi: *"-Tisze, job waszu mat'! Giena spit!"*. Ale gdy wypoczęłam choć troszkę i się przebudziłam, znowu prosiły o te moje opowieści. Ała lubiła siadać po turecku; pewnego razu zauważyłam na jej kolanach, od wewnętrznej strony, niewielkie wgłębienia z bliznami. Pytam, co to? A ona najnaturalniej w świecie odpowiada, że to zrobił jej kochanek, pewnego razu siedziała tak, jak teraz i o coś się tam pokłócili, nic specjalnie ważnego, nawet nie pamiętała, o co poszło. Ale on nagle wyjął dwa noże i zanim zdołała wykonać jakiś ruch, jednocześnie wbił te noże w jej kolana... Z takiego środowiska pochodziła ta Ała, która się mną opiekowała w zamian za opowieści o piękniejszym życiu.

Przesłuchania były ciężkie, przez wiele godzin musiałam siedzieć na samym brzegu twardego krzesła – tortura wprost zachwycająco nieskomplikowana, nie wymagająca bezpośredniej przemocy i wysiłku przesłuchującego oficera, a jakże dotkliwa w swej prostocie! Bolały plecy, drętwiały nogi – brzeg krzesła uciskał żyły i tętnice; aż zasypiałam z wyczerpania. Budził mnie wrzask przesłuchującego oficera: *„- Opowiadaj natychmiast o swojej przestępczej działalności! - No tolko samuju prawdu-ze gawari!"*

Początkowo przerażały mnie wyzwiska, przekleństwa, takie chamskie wyrazy i sformułowania, ordynarne wprost ustawienie brzmienia głosu tych „oficerów”, bałam się bicia i bólu. Potem przyzwyczaiłam się, nauczyłam się wykorzystywać momenty, gdy prowadzono mnie do ustępu. Śledczy z rewolwerem w dłoni - tam, w budynku NKWD, jak ja mogłam uciec?! To było tylko zastraszanie, przecież! – a ja za drzwiami ustępu robiłam szybko jakąś gimnastykę, przywracałam lepsze krążenie krwi, próbowałam przez te parę minut uspokoić się, i odprężyć, na ile tylko mogłam. Ale wracałam na krzesło do tej samej niewygodnej pozycji.

Dnie były coraz dłuższe, wiosna już w pełni, przez otwarte okno wpadał świergot ptaków – ta odwieczna radość i pocieszenie więźniów, choć to przecież bardzo pośredni kontakt ze światem przyrody.

Rewolwer śledczego leżał na biurku, w zasięgu mojej ręki. Ja byłam bardzo osłabiona. Ale nieraz miałam ochotę skoczyć, pochwycić broń leżącą w zasięgu mojej ręki na biurku i zastrzelić drania! Zastrzelić oprawcę - a potem niech się dzieje, co chce, mogę strzelić i do siebie! Ale nie miałam odwagi, przeważał optymizm, że to się jednak zakończy szczęśliwie.

Byłam stale wyczerpana i wymęczona, ale i oficerowi śledczemu zdarzało się zasypiać w trakcie przesłuchania. Natychmiast wylapywałam takie momenty, podnosiłam się na palce nóg, robiłam kilka ćwiczeń gimnastycznych na nogi i tułów, starałam się pobudzić krążenie krwi, bowiem strasznie dokuczały ścierpnięcia, spowodowane nieruchomą pozycją, i to niewygodną. Trochę pomagało, mogłam zmienić pozycję na krześle, inaczej trzymałam ręce! Dręczyciel budził się i, otrzeźwiawszy, znowu wrzeszczał domagając się wyznania win i to jeszcze samej prawdy! W kółko Macieju... Ciagle te same pytania, ciagle te same zarzuty odnoszące się do mojej rzekomej przestępczej i politycznej działalności...



Ale kiedyś zdarzyło się coś zupełnie nowego w tej rutynie – szokujące wprost! Przesłuchanie zaczęło się normalnie, tak jak zawsze, tylko ja załamałam się pewnym momencie i nie wytrzymałam, upadłam na podłogę. Było mi wszystko jedno, zerwałam się z podłogi i zaczęłam histerycznie krzyczeć: „- *No dosyć, dosyć już tego! Ja etogo nie magu uże zdzierzat*” – *chwatit! Ubit' swołocz!*”.

Oprawca stracił kontenans, już nie był taki pewny siebie, pewnie nieco się przestraszył mojego ataku hysterii. Wyszedł z pokoju i zostawił mnie samą. Po chwili wchodzi zastępca wojewódzkiego naczelnika NKWD i łagodnym głosem (!) zaczął mnie uspakajać: „- No – co? Zmęczona? *No uspokojties', pogawarim.* Opowiem wam pewną historię...”. Ja siadłam, zamknęłam oczy, które piekły mnie od płaczu i od rażącego światła lampy stale skierowanego w moje oczy – o czym zaniedbałam do tej pory wspomnieć...

A on zaczął opowiadać o ... *Persickoj korolewnie* – królowie perskiej, w której zakochał się przywódca powstania chłopskiego z 1630 r., Steńka Razin<sup>21</sup>). Była to wielka miłość, ale i był obowiązek „patriotyczny” (jak on to ujął, rozumiejąc pod tym dalsze prowadzenie buntu). Dostyc to była karkołomna ideologia – Razin postanowił utopić ukochaną, aby mieć swobodę działania „dla dobra ludu”; pewnie ta miłość albo nie była wielka, albo już przeminęła... Wziął ją na ręce (tu *zamnaczej rajona NKWD* przyrównał mnie do owej królowej – *toż-że takaja że chudaja była, kak ty...*) zaniósł nad brzeg rzeki – i wrzucił ją w nurty Wołgi powiadając przy tym: „- *Wołga, Wołga mat' rodnaja, prijmi krasawicu swoju.* I koniec opowieści. „- No – muszę już iść” – i poszedł!

Za chwilę wchodzi śledczy z nowymi jakby siłami i zaczyna się wszystko od początku. Co miał wywołać, spowodować czy znaczyć ten incydent? Straszyc mnie śmiercią? Potem dowiedziałam się, że był to element szokowania, zmiękczenia więźnia<sup>22</sup>). Jeśli po wielu tygodniach brutalnego traktowania nagle ktoś odzywał się ludzkim głosem nawet jeśli z nieludzką opowieścią, robi to niesamowite wrażenie na przesłuchiwanym. Ale śledztwo – te przesłuchania, bez żadnych czynności w terenie, przesłuchiwanie innych świadków itp.! – toczyło się dalej. Przesłuchujący się zmieniali – stały był tylko brzeżek krzesła i ta cholerna lampa świecąca prosto w oczy. Dalej beztrzesko oskarżano mnie o działalność przestępczą – jaką? O tym trochę później.

Wracamy kiedyś odkrytą ciężarówką, na głowę konwojent Rosjanin zakłada worek aby mnie nikt nie rozpoznał, i powiada spontanicznie: „-*Ech, ty Giena, mnie by a toboj iż tancew wozwraszczat'sia, nie w tiurmu jechat!* (Och, Gena – ja bym chętnie odprowadzał cię teraz po tańcach, a nie zawoził do więzienia!). Potraktował mnie jak normalną młodą dostyc atrakcyjną (jak sadzę) dziewczynę, ale ja do końca nie wiem, czy to rzeczywiście było spontaniczne – czy kolejne zmiękczenie! Ale może nie brał tych oskarżeń (jeśli je znał) na serio – bo też kogo, co i jak ja mogłam szpiegować na tym odludziu, jakie sprawy, i to na rzecz USA i Wielkiej Brytanii!? Jak się porozumiewać z tymi anglosaskimi „mocodawcami” i przekazywać im te „wiadomości? Zajączki puszczać lusterkiem po chmurach?!

Ale zarzuty co do szpiegostwa i terroryzmu – sprecyzowano! Pisałam podobno z Jerzym i Ireną – to te osoby przywiezione na śledztwo razem ze mną jedną ciężarówką – ulotki, zawierające karygodne treści „Precz z komunizmem!”, „Niech żyje 3 Maja!” oraz „Precz z komunistami!”. Ale skąd mieliśmy mieć papier?! Papierosy, owe „kozio nóżki” z machorki, zwijano z gazet<sup>23</sup>), bo papieru brakowało – źle mówię: w ogóle nie było!

Donosiła na mnie, jak się okazało, pewna Białorusinka, też wysiedlona z Polski, ale czy z upodobania, czy z wyrachowania stała się zawodową delatorką, starała się być „lojalna”. Ona miała te ulotki zrywać w

<sup>21</sup>) Ballada o nim stanowi kanon zarówno rosyjskiej muzyki ludowej, jak i rewolucyjnej. Jest to skądinąd przepiękna pieśń, zwłaszcza w wykonaniu Żanny Biczewskiej.

<sup>22</sup>) W jednym z ukazów jeszcze Piotra I Wielkiego, było zalecenie (przytaczam z pamięci): „, Pożyteczne przy tym bywa, aby świadka wchodzącego na salę sądową zmienacka kijem mocno od tyłu przez głowę przeciągnąć, od czego on wielce zdumiony bywa i zdarza się, że częściej prawdę powiada...”. I taka praktyka sądownicza i śledcza się utrzymała przez następne 300 lat... Cóż tu jeszcze rzec, doprawdy, o porządkach w Sowietach!?

<sup>23</sup>) Dowcip z tamtych czasów i tamtego miejsca: Pytają się kołchoźnika, czy prenumeruje gazetę; odpowiedź brzmi; „- *Niet, izwinitie, ja nie kuriaszczij ...*”. (Nie, przepraszam, ale ja nie palę...”)



obronie Związku Sowieckiego, a my, co przestępcy działający w zмовie, bowiem w grupie, mieliśmy ją pobić. Jak się dowiedziałam potem, to ona rzekomo została pobita, ale chyba za zalecanie się do tych nielicznych mężczyzn, którzy trafiali na *posiołki*, i ukarały ją zbiorowo prawowite małżonki...

Gdy się pytałam śledczych o ten papier – skąd niby miałam go brać – słyszałam w odpowiedzi nieodmiennie: „*Molczy, sobaczaja twaja mat!*”. Ale zarzut produkcji ulotek pojawił się i w trakcie konfrontacji z Jerzym. Gdy go zobaczyłam, aż mi się ścisnęło serce – tak mizernie wyglądał i jakież było moje zaskoczenie, gdy ten nagle oznajmia: „- Tak jest, przyznaję się do współpracy z Geną” i powiada mi to prosto w oczy! Spojrzałam na niego, i gwałtownie, po rosyjsku, zaprzeczyłam raz jeszcze tym bredniom oskarżenia! On pochylił głowę, po chwili odwrócił swoją umęczoną głowę w moją stronę i powiedział, też po rosyjsku, aby być lepiej zrozumiany: „- *Ona gawarit' prawdu...*”.

Rozdzielono nas. Po amnestii raz jeszcze widziałam Jerzego, odwrócił się ode mnie ze wstydem, jaki odczuwał po tej „konfrontacji”... Zmusili go, aby mnie obciążył, a on dopiero w najostatniejszym momencie znalazł w sobie siłę, aby zaprzeczyć durnym oskarżeniom, jawnej nieprawdzie... Wolę nie wiedzieć, co go mogło spotkać za sprawienie takiego zawodu oficerom prowadzącym przesłuchania!

W czasie przesłuchań słyszałam zwykle zza ściany jakieś straszne krzyki, jęki, towarzyszyły im obrzydliwe obelgi – bardzo to przeżywałam. To były męskie głosy – może i głos Jerzego, zmieniony nie do poznania bólem?! Gdy słycać było te straszne odgłosy, oficer przesłuchujący bardzo bacznie mnie obserwował, chciał wyczytać, jakie to robi na mnie wrażenie. Wewnętrznie aż dygotałam, zaciskałam mocno dłonie, ale na zewnątrz nie dawałam – na ile mogłam – poznać, jak mnie do dotyka, jak ja to przeżywam.

Po jakimś czasie uznano, że jak na *konwejer* zbyt dobrze się trzymam. Słusznie uważali oficerowie, że „pod całą” odpoczywam i trochę przysypiam. Przeniesiono mnie do celi pod budynkiem NKWD. Tam na korytarzu usłyszałam głos Ireny - spontanicznie wykrzyknęłam do niej po polsku: „- Irena – ty też tutaj?!” Natychmiast wepchnięto mnie brutalnie do celi, a w czasie następnego przesłuchania otrzymałam wyrok 10 dni karceru za próbę porozumiewania się.

Karę odbyłam w pojedynce, ciemnej, wilgotnej, do tego jeszcze polewanej wodą. Nie było jak usiąść czy położyć się. Okratowane okienko od ulicy było zasłonięte blendą<sup>24</sup>), w nocy powyłaziły szczury, których się potwornie bałam. Okienko było wysoko, ale jakoś podskoczyłam, chwyciłam w strachu kratę i podciągnęłam się na wąski parapet okna. Byłam tak wychudzona, że się mieściłam na nim. Tak spędzałam noc. Na dworze, a był już czerwiec 1941 r., było bardzo ciepło, a w celi wiało chłodem i wilgocią. Czasem przez blendę przechodził, w sobie tylko wiadomych celach, mały szarobury kotek i mruczając dotrzymywał mi towarzystwa; tulił się do mnie, a ja ogrzewałam sobie o jego futerko ręce...

Codziennie dostawałam kubek wody i 100 g chleba – ale jak na dotychczasowe moje tu doświadczenia, był to dziwny chleb: puszysty i biały, pszeniczny. Pierwszy raz widziałam taki chleb w Sowietach! Luksus, zdawałoby się – i to w więzieniu! Po latach dowiedziałam się, że to było celowe – ten chleb był pozbawiony nie dość, że na przykład witaminy B<sup>25</sup>), ale i większych wartości odżywczych... Gdy już posiadałam tę wiedzę, na całe życie nabrałam niechęci do białego pieczywa!

W tym okresie odbywania kary nie byłam wzywana „na śledztwo”. Czekano na moje załamanie – spokój, w jakim mnie pozostawiono też był czynnikiem wytrącającym z równowagi<sup>26</sup>). Czułam się bardzo źle, miałam uda poranione o mur od tego mozolnego wciągania się na parapet w ucieczce przed szczurami; po karcerze współwięźniarki nie chciały mi uwierzyć, że to ja sama tak się poraniłam!

<sup>24</sup>) Odeskowanie więziennego okna odchyłone od pionu, pozwalające na dopływ powietrza i światła, instalowane formalnie w celu uniemożliwienia kontaktu więźniów z otoczeniem, a w istocie dla wywoływania tym większej depresji osadzonych.

<sup>25</sup>) Witamina B<sub>1</sub> do B<sub>12</sub> służy przeciw prawidłowemu funkcjonowaniu układu nerwowego – jej braki mogą spowodować na przykład osłabienie woli.

<sup>26</sup>) Metody przesłuchań były w Sowietach od początku lat '20 XX w. oparte na pracach laureata Nagrody Nobla w medycynie w 1904 r. za badania nad odruchami bez- i warunkowymi – prof. Iwana Pietrowicza Pawłowa, który mimo całej swojej niechęci do bolszewików, współpracował z nimi (pewnie pod groźbą śmierci) opracowując wiele spraw dla policji politycznej i wojska.



Jeszcze gdy siedziałam w karcercze, czasami dobiegały do mnie z głośników „kołchoźnika”, czyli radiowęzła, nadawane na okrągło rosyjskie marsze i pieśni wojskowe. *Jes'li zawtra wojna, jeśli zawtra w pochod, bud' siegodnia k pochodu gotow'!*” (Jeśli nawet jutro będzie wojna, jeśli trzeba być przygotowanym do marszu – bądź do wymarszu gotów już dzisiaj!”). Nie wiedziałam, co się dzieje, ale po 10 dniach karceru zaczynało być mi wszystko jedno – i co się dzieje na świecie i ze mną samą.

Po odbyciu kary wezwano mnie znowu do śledczego, tym razem na konfrontację z tą wspomnianą już, superlojalną lojalną wobec Sowietów dawną polską obywatelką, Białorusinką z naszego *posiołka*. Śledczy surowym głosem zadaje jej pytanie: „- Co możecie o niej powiedzieć? Jak się nazywa?” Ta Białorusinka, jak poprzednio przyjmując teatralną postawę – wyprostowana, prawa noga wysunięta naprzód, ręka prawa z palcem wskazującym sztywno poziomo wskazującym na mnie, zaczęła mnie oskarżać: „- *Ona, dziewczynka polityczski isporczena do mozga kostiej, gawariła, czto Polska budiet'!*” (Ona, dziewczyna zepsuta politycznie do szpiku kości, mówiła, że będzie Polska!). Śledczy na to wali pięścią w blat jakiegoś starego, bardzo skądinąd ładnego biurka, i rzece coś, co mnie ogromnie zadziwiło, mianowicie: „- *Budiet, nie budiet, nie wasze dieło – dawajcie dalsze! Da konkretno!*”. (Będzie – nie będzie, nie wasza sprawa, mówcie dalej. Ale konkretnie!). Więc ta delatorka Białorusinka dalej – nieco już skonfundowana - opowiada, jak to ja, ubrana w charakterystyczną pomarańczową czapeczkę (przysłała mi ją z Polski koleżanka w paczce, gdy jeszcze ruch pocztowy funkcjonował między Generalną Gubernią i Sowietami przed najazdem hitlerowskim na Związek Sowiecki), biłam ją za zdzieranie ulotek rozlepionych na 3 maja. A ja przecież od 13 kwietnia siedziałam w kazamatach NKWD! Absurdalne śledztwo toczyło się dalej, ale ja stale usiłuję rozebrać w myśli tę zadziwiającą sprawę, że najważniejsze oskarżenie tej donosicielki śledczy przerwał natychmiast, można powiedzieć, może więc Polska jednak będzie? Dalej już nawet nie mogłam słuchać, od nadmiaru domysłów, nadziei i emocji!

Znowu wezwanie na przesłuchanie, czyli „na śledztwo”: oficer śledczy próbuje mnie przekonać: „- Wasza matka tu była, a jakże płakała, prosiła, aby wam powtórzyć, abyście całą prawdę mówili o waszej przestępczej działalności! Tak będzie lepiej dla was, i Matka będzie spokojniejsza!”

Co mogłam powiedzieć – do czego się przyznać?! Może Mamę też chcą aresztować, może mszczą się za ucieczkę braci? To wszystko, co się działo dookoła, zaczęło wydawać się nierealne, nieprawdziwe, udawane takie. Zawracali sobie głowę tym, co pośrodku głuchego stepu powiedziała biedna dziewczyna?! Tyle wysiłku wkładano w wydobycie ze mnie nieistotnych zeznań?! To niemożliwe, żeby byli tak zwyczajnie naiwni wierząc w jakieś wymaginowane zarzuty, oskarżenia. Nie mieli poważniejszych spraw? Czy to wszystko – to tylko niepotrzebne okrucieństwo i sadyzm?

Zmieniono śledczego, teraz badał mnie ciemnowłosa, smągły i niski mężczyzna. Na biurku rozłożył sobie śniadanie, odwinął z gazety kawałek kielbasy, pokazał mi ją, próbował, mlaskał, wachał... „- Jaka smaczna! – zachwalał – Też możecie dostać kawałek. Zaczynacie mówić prawdę – i wtedy kawałek kielbasy...” Ja na to, że już wszystko powiedziałam i patrzę na niego z pogardą i obrzydzeniem. Wtedy zaczęło się najgorsze: podszedł do mnie, kopną mnie boleśnie w goleń i skuloną w kącie zaczął bić pięściami, a cały czas leciał stek wyzwisk. Krzyczałam z bólu, na pewno ktoś za ścianą to słyszał, też być może, jak ja poprzednio, zaczynał się bardziej bać... Śledczy zawiązał resztki kielbasy w przetłuszczoną gazetę (być może z myślą o przesłuchiwanie następnego aresztanta...) i powiedział: „- Tyle na dzisiaj.” – i wyszedł. Więcej u niego nie byłam na przesłuchaniu, miałam całe ciało w siniakach.

Dwa dni przerwy – i znowu przesłuchanie. Zadawano mi teraz inne pytania: „- Jak byś zareagowała, gdyby Niemcy napadli na Związek Radziecki?” Ja na to, że współczułabym wam, oni są naszymi, Polaków wrogami. Tylko taka odpowiedź przysłała mi na myśl, ale to miało znaczyć takie pytanie?

Przeniesiono mnie do mojej dawnej celi w więzieniu, jak zwykle przepełnionej. Teraz było tak ciasno, że w nocy na komendę musiałyśmy się przewracać na drugą stronę (Lewa – prawa!), o leżeniu na wznak w ogóle nie było mowy. Życzliwej mi Ałły – bandytki już nie było; po osądzeniu przeniesiono ją do celi śmierci i w trakcie przenosin krzychała, że nie chce umierać, że przecież zabiła tylko „wroga ludu”! W istocie zabiła wraz z żoną zesłanego tutaj nieprawomyślnego profesora z Moskwy.



W celi było 17 Polek, kobiet i dziewcząt w różnym wieku. Dowiedziałam się od nowoprzybyłych, że wybuchła wojna radziecko – niemiecka i że jest amnestia dla polskich obywateli. Zaczęłyśmy się coraz odważniej domagać amnestii dla nas. Odwiedził nas w celi (!) prokurator ze świtą i powiada: „- Spokojnie, rozpatrujemy wasze sprawy, to przecież musi trochę potrwać”.

Życie w celi toczyło się normalnie. Przybyły dwie kobiety oskarżone o prostytutkę (była zakazana w d. ZSRR, choć naturalnie praktykowana szeroko). Mówiły one, że i owszem, „dawały”, bo tak chciały, a że dostawały za to na przykład chusteczkę na głowę, albo parę rubli na jedzenie dla dzieci – to gdzie tu przestępstwo to w czasie wojny, gdy na froncie giną nasi mężczyźni? (nie za bardzo rozumiałam, o co może im chodzić z tym ostatnim argumentem...). Były to kobiety hałaśliwe, robiły bardzo dużo szumu wokół siebie.

Obok mnie na narach miała swoje miejsce tęga kobieta, nauczycielka z zawodu, oskarżana o propagandę antyradziecką w czasie wojny. Bardzo rozpaczała: „- Dwadzieścia lat uczyłam, zbierałam pochwały i nagrody za pełną poświęcenia pracę, żyliśmy z mężem szczęśliwie. Mój mąż był wziętym malarzem, mieliśmy ładne, dwupokojowe mieszkanie. Dobrobyt! I sąsiadka zaczęła kokietować mojego męża, a mnie oskarżyła o propagandę antyradziecką... Ja siedzę w więzieniu, a ona mieszka z moim mężem!”. Żał mi jej było, ale pomyślałam wtedy, że pewnie to małżeństwo nie było takie idealne, skoro mąż przystał na taki układ. Ale co ja wiedziałam o życiu, byłam zbyt młoda, aby oceniać postępowanie innych. Mogłam tylko obserwować i wciągać wnioski. Słuchanie innych kobiet pozwalało mi na chwilę zapomnieć o swoich problemach. Teraz, po latach, mam i drugą myśl o losach tej nauczycielki: gdyby mąż jednak oparł się wdziękom sąsiadki i bronił ze wszystkich sił żony, to pewnie teraz sąsiadka – donosicielka by mieszkała w tym ich mieszkaniu, ale już bez cudzego męża, za to i żona, i mąż byliby oskarżeni o propagandę...

Doszła do nas nowa więźniarka, 35-letnia kobieta, również oskarżona o uprawianie propagandy antyradzieckiej w kolejce przed sklepem. Ale wtedy – i przez wiele lat potem – najłżejsza wzmianka o brakach w zaopatrzeniu była traktowana jako propaganda antyradziecka, wystarczył najzwyczajniejszy donos. Ta biedna kobieta bolała nad tym, że zostawiła męża samego z czworgiem dzieci – mąż do pracy, a one samiuteńkie w domu... Mąż ją odwiedził, przyniósł paczkę, a potem dowiedziała się, że donosicielką była kochanka męża i że teraz mieszkają razem... Dla niej to był taki szok, że w nocy popełniła samobójstwo – powiesiła się w celi... Bardzo byliśmy tym wstrząśnięte. I znowu napływ przygnębiających myśli: - czy dawniej, przed wojną, też tak było, tylko ja o tym nie wiedziałam?

Polki „pod całą” najczęściej rozmawiały o jedzeniu, to na pewno był najbezpieczniejszy temat. Wspominały jakiejś doskonale sosy, różne wędliny, wypieki, kremy, podawały sobie przepisy kulinarne, porady kucharskie, ciekawe sposoby gotowania. Wyglądało to tak, jakby chciały się przenieść w inny świat, zapomnieć o trudnej rzeczywistości – i ja poddawałam się tej beztroskiej atmosferze. Nigdy nie byłam łakoma (no, może te ciastka na stacji w szkole powszechnej w Prózanie), nie miałam pojęcia o gotowaniu i dotąd nie lubię gotować, nawet dla swojej rodziny. W domu, w kuchni niepodzielnie rządziła Mama.

Teraz w celi nastrój nie był tak beznadziejny i ponury, miałyśmy przecież nadzieję na amnestię – na wolność! Byłam jednak bardzo słaba, opiekowała się mną lekarka Kazaczka<sup>27)</sup>, bardzo troskliwa i robiła, co mogła, aby mi pomóc: „- Nie martw się, wyciągnę cię z tej biedy!” – to były tak mi potrzebne słowa otuchy.

W więzieniu męczyły nas insekty, do łaźni chodziliśmy co 10 dni i wtedy też naszą odzież poddawano dezynsekcji. Trochę to pomagała, parę nocy mogłyśmy przespać w miarę spokojnie, ale potem rozpoczynała się znowu walka z wszami i pluskwami. Te ostatnie siedziały przecież w narach, a nie w naszej odzieży. Było nas wiele, a one rozmnażały się z oszałamiającą prędkością i już po paru dniach znów marzyliśmy o łaźni. Przypomniały mi się te Kazaczki z kołchozu, które siedząc w grupach przed domami, zębami wygniatały szwy odzieży ze wszy i gnid. Teraz je rozumiałam, ale jednak nie byłabym do tego zdolna.

Na przesłuchania już mnie nie wożono, było znacznie łatwiej, ale jakby i nudniej przez brak zmiany otoczenia, czas płynął powoli, a nasze zniecierpliwienie rosło.

<sup>27)</sup> Nazwa własna tego narodu – to Kazakowie; kobieta więc byłaby Kazaczka. To nie brzmi dobrze w naszych uszach, w ogóle pochodne nazw od Kazachstanu są trudne w odmianie...



Pewnego dnia wepchnięto do naszej celi jakąś babuszkę z trzyletnim wyrokiem – za kradzież z placu budowy miski wapna do remontu swojej chałupki...Siedziała cichutko, pokorna, jakby przekonana, że kara jest słuszna. Przerazała mnie ta wysokość wyroków za przewinienie w moim odczuciu – „żadne”. Że też nasi oprawcy mieli na to czas i ochotę zajmowania się, i to w czas wojny, takimi błahymi sprawami!

Siedziały z nami także dwie Niemki, bardzo w sobie zakochane i modlące się stale, aby ich nie rozdzielono. Zostały oskarżone o spowodowanie upadku dwóch krów w kołchozie. W akcie oskarżenia wyraźnie napisano: „zamiast zajmować się bydłem, zbyt wiele czasu poświęcały na modły i dwie krowy padły”, za co dostały po dziesięć lat pozbawienia wolności... Jak one twierdziły – krowy padły z głodu, ale i tak czekały na transport do obozu, gdzie mogła czekać je śmierć już w pierwszym roku, jak to teraz wiemy.

Przywieziono też Polkę z poznańskiego. Wyszła za mąż za sierżanta z Korpusu Ochrony Pogranicza (formacja jakoś szczególnie znienawidzona przez Sowietów). Mieszkali przed wojną w Baranowiczach, 60 km od granicy polsko – sowieckiej<sup>28</sup>). Okupacja sowiecka oznaczała dla męża naturalnie natychmiastowe aresztowanie, a ją z pasierbicą i córką wywieziono. Aresztowano ją, gdy stosunki sowiecko-niemieckie były wspaniałe, więc podała, że jest narodowości niemieckiej licząc, że jej to pomoże. Ale powiały inne wiatry historii i to kłamstwo pograżyło ją jeszcze bardziej! Obywatele narodowości niemieckiej nie byli objęci amnestią i wywieziono ją do obozu.

Z celi wezwano mnie jeszcze raz na przesłuchanie w NKWD. Śledczy wrócili do poprzednich pytań, podobało się im moje stwierdzenie, że Niemcy są naszymi wrogami – śledczy przypomniał mi tę wypowiedź: „-No, właśnie, usłyszałem, że Niemcy są naszymi i waszymi wrogami. Musimy więc współpracować. Byłoby dobrze, gdybyście donosili nam, jeśli usłyszycie o niełojalności wobec Związku Sowieckiego, jesteśmy teraz w jednej koalicji. Rozumiecie?”. Było to jawne namawianie do współpracy – czyli już nie byłam terrorystką?! Odparłam, że naturalnie, że rozumiem. „- No to podpiszcie, że podejmujecie współpracę organami ścigania...”. Ja na to: „- A po co mam podpisywać, przecież rozumiem nasz wspólny interes, gdy będzie potrzeba, to sama się zgłoszę.” Byłam przerażona tym osaczaniem mnie, przyciskaniem do muru. Oni nadal naciskali, że lepiej będzie, jeśli podpiszę ten „cyrograf”, że oni wtedy będą pewni. Nie podpisałam. O ile mi wiadomo, każdej Polce składano taką propozycję. Jedną z naszego *posiołka*, żona oficera z „dwójki”, jak się potem dowiedziałam, podpisała taki wyrok na siebie. Straszili ją, że „zaopiekują się” jej 12 - letnim synem, bowiem „wiele rzeczy może się wydarzyć”. Po amnestii nachodzili ją w domu, nękali. Nie wytrzymała tego nerwowo, przyznała się do wszystkiego delegatowi. Delegat prawdopodobnie porozumiał się ze sztabem gen. Andersa, przysłano dwóch kurierów, pod osłoną których udało się jej wraz z synem wyjechać i dołączyć do armii gen. Andersa. Później dowiedziałam się, że prawdopodobnie była żoną oficera wywiadu, stąd pewnie te dosyć szczególne względy. Odzyskała wolność – uciekła, ale jednak w Palestynie popełniła samobójstwo. Czy miała wyrzuty sumienia –może kogoś zadenuncjowała, zdradziła i nie potrafiła dłużej z tym żyć, może były również inne powody? Tego się już nigdy nie dowiedziałam. Tragiczne losy.

Przed Bożym Narodzeniem wezwano wszystkie Polki do biura komendanta więzienia, wręczono nam po parę rubli oraz *udostawierienije*, czyli zaświadczenie o amnestionowaniu. Jako obywatelki polskie mamy prawo poruszać się po całym Związku Sowieckim, z wyjątkiem stref wojennych I i II kategorii.

Jesteśmy więc wolne – i bardzo oszołomione.

## Wolność w Sowietach

Opuszczamy więzienie sporą grupą, razem z nami są też i zwolnieni mężczyźni. Był mroźny wieczór, świeże powietrze kompletnie nas oszołomiło, wolność wydawała się nam zupełnie nierealna – spoglądałyśmy na siebie z niedowierzaniem. A więc jesteśmy wolni – wszyscy?!

<sup>28</sup>) Miejscowość znajdowała się, jak się dowiedziałam w wiele lat po wojnie, w centrum polskiej wschodniej linii fortyfikacji granicznych.



Całą grupą udaliśmy się do restauracji i zamówiliśmy jedyną potrawę w „karcie”, jakąś zupę kapuścianą. Nieważne, czy ta zupa była dobra, posilna i tak dalej – była to pierwsza zupa na wolności! Rozejrzałam się po sali i dostrzegłam, że wyróżniamy się wśród gości. Nasze twarze były jakieś żółtoszare, oczy nasze jakoś dziwnie patrzyły na wszystko z niedowierzaniem i ze strachem jednocześnie, że oto kończy się ten niesamowity stan, pół - jawa, pół - sen.

Ku swej ogromnej radości nagle spotkałam Marysię, moją młodszą przyjaciółkę z *posiołka*, która po amnestii zamieszkała z matką w Akmolińsku. Byłam bezdomna – ale teraz miałam się już gdzie schronić! Nie byłam bowiem w stanie pojechać do *posiołka* do Mamy. Po prostu bałam się tego spotkania, *posiołek* budził moje najgorsze skojarzenia i wspomnienia: głód, strach, aresztowanie. Na szczęście teraz Mama mogła do mnie przyjechać. Ale ja bałam się jej nawet opowiadać o biciu, innych formach znęcania się, o innych przeżyciach więziennych, o przesłuchaniach. Chciałam zapomnieć o tym koszmarze. Ja zostałam w Akmolińsku, a Mama wróciła na *posiołek*, bo tam przynajmniej miała dach nad głową – no i mojego najmłodszego brata Henryka pod swoją opieką.

Matka mojej koleżanki Marysi Surackiej, żona podpułkownika – szefa sztabu dywizji stacjonującej w Kobryniu, rzuciła się w wir pracy społecznej. Z wykształcenia prawniczka, mogła teraz zrobić wiele dobrego dla polskich więźniów wypuszczanych teraz na wolność. Trzeba było pomagać tym ludziom, czasem chorym i kompletnie psychicznie załamany, bez środków do życia. Przygarnęła mnie jak rodzona matka, pomogła pozbierać się, trochę podleczyć. Spałyśmy z Marysią razem na podłodze i - ku mojej rozpaczy – okazało się, że zaraziłam przyjaciółkę świerzbem! To okropne swędzenie całego ciała, dokuczające mi w więzieniu, to nie były tylko insekty, ale i świerzb... Nie wiedziałam, jak ją przeproszać, ale ona tylko mnie uściśniła ze słowami pocieszenia, że to przecież nie moja wina. Leczenie świerzbu nie jest takie proste i teraz, a co dopiero wtedy! Lekarz zapisał nam jakąś maść, ale pasożyta długo wypędzałyśmy.

Matka Marysi skierowała mnie na ulicę Delegacką 17, gdzie dostałam pracę przy rejestracji wszystkich Polaków zwalnianych z więzień<sup>29</sup>). Spisanie ich dokumentów i wydanie zaświadczenia upoważniało do otrzymania kartek na chleb, chyba na 400 gramów. Bezdomni koczowali w izbie Punktu Rejestracyjnego na klepisku, poprzykrywani tylko swoimi nędznymi łachami, a było już śnieżnie i mroźnie. Rozmowy o więzieniu trwały nieraz całą noc – niektórzy ciekawie opowiadali, inni milczeli, jakby się obawiając się powtórzenia więzienia, nie wierząc, że to doprawdy się skończyło. Jeszcze nie ochłonęli!

Codziennie przybywali nowi zwolnieni z więzień i co kilka dni sowieckie *wojenkomaty* odprawiały ich transportem do Buzułuku (na południe od Uralu, nad rzeką Samarą) gdzie formowała się armia gen. Andersa<sup>30</sup>). Był rok 1942.

Uruchomiono już pomoc zagraniczną dla zabiedzonych polskich wygnańców (później przejęła to UNRRA<sup>31</sup>). Były do rozdzielania koce, jakaś żywność, buty z demobilu, które okazały się zupełnie nieprzydatne w tym klimacie. Miały bowiem – jak dawniej zwyczajnie buty wojskowe – dla wzmocnienia odporności podeszwy na ścieranie, gęsto ponabijane ćwieki, które doprowadzały zimno (czy może odprowadzały ciepło?) do samych stóp i było w nich w śniegu i na mrozie straszliwie zimno. Najlepsze na mrozy okazały się walonki, ale te trzeba było sobie kupić, a kosztowały drogo.

<sup>29</sup>) Wszystkie ambasady zostały przeniesione do Kujbyszewa (dawniej i obecnie Samara), z powodu niemieckich bombardowań Moskwy.

<sup>30</sup>) Wiele starszych osób z mojego pokolenia pamięta, jak złośliwie stalinowska propaganda w latach '50 XX w. odnosiła się do zapowiedzi gen. Andersa, że powróci do Polski „na białym koniu”. Ale mało kto wie, że gen. Andersa rzeczywiście otrzymał w podarunku od Stalina białego wierzchowca! Tak więc ze strony Generała był to ukryty dowcip, a ludzie propagandy, zapewne znając całą tę historię, usiłowali, przez wyśmiewanie, zniweczyć ten formalny (zapewne) gest uznania Stalina dla gen. Andersa i jego dążeń.

<sup>31</sup>) United Nations Relief and Rehabilitation Administration, UNRRA, Organizacja Narodów Zjednoczonych do Spraw Pomocy i Odbudowy, międzynarodowa organizacja utworzona 9 listopada 1943 r.; działała jeszcze w latach powojennych, obok żywności, odzieży i innych artykułów pierwszej potrzeby dla ludności zniszczonych wojną krajów europejskich i azjatyckich w coraz większym stopniu dostarczając rolnicze środki produkcji (konie, ciągniki, ziarno siewne, zwierzęta hodowlane, pasze, etc.).



Na *posiołkach* utworzono stanowiska mężów zaufania, którzy rozdzielali tę żywność zagraniczną. Otrzymanie takiej paczki często dawało jedyną szansę na przeżycie! W zimie było po *posiołkach* wiele zgonów z wyczerpania i głodu. Jak zwykle w takich krytycznych sytuacjach pomocy udzielano według sympatii, po znajomości i nie zawsze dostawali ją ci najbardziej potrzebujący; życie jak gdzie indziej i w innych warunkach.

Delegatura rozpoczęła wydawanie paszportów obywatelom polskim. Taki paszport stanowiła kartka papieru A4 podzielona na pół z aktualną fotografią, gdzie nasze dane osobowe były spisane po polsku i po rosyjsku. Całość uzupełniała okrągła pieczęć z orłem w koronie i podpis delegata ambasady przysłanego specjalnie w tym celu z Ambasady RP w Kujbyszewie. Byliśmy bardzo dumni z tych dokumentów szczęśliwi, że znów jesteśmy polskimi obywatelami.

Delegat codziennie przyjmował wiele osób: zgłaszały się zagubione w życiu, bezradne i słabe kobiety z gromadką dzieci na utrzymaniu, które cierpiały głód. Otrzymywały w delegaturze jakąś pomoc, jak smalec, jakieś ubrania, buty, no i przede wszystkim dostawały nadzieję na odmianę losu, na opiekę. Miałam jednak wrażenie, że ta pomoc jest jakaś bezosobowa, zanadto oficjalna, za mało tam chyba było prawdziwej troski i współczucia. Potem okazało się, że te odczucia młodej dziewczyny nie były wcale wynikiem właściwego dla mego wieku wysokiej temperatury emocji, że te obserwacje były trafne.

Każdego dnia delegat przyjmował dziesiątki osób, ale żony oficerów i ziemianki w identycznym położeniu, co ubogie kobiety, z taką samą liczbą dzieci – otrzymywały hojniejszą pomoc. Może umiały lepiej przedstawić swoje trudne położenie i sytuację, może to jednak delegat bardziej przejmował się ich losem? Nawet książe Radziwiłł potrafił bardzo umiejętnie walczyć o zaspokojenie swoich potrzeb, wymuszał zapomogi. Potrzebujących było wielu, każdemu starano się dopomóc na miarę posiadanych środków rzeczowych, ale jednak byli równiejsi.

Na Delegackiej 17 pracowałam w biurze - punkcie rejestracyjnym, którego kierowniczką była Róża Holzmann. Była moją towarzyszką niedoli jeszcze z *posiołka*. Oskarżona o szpiegostwo na rzecz Niemiec (SIC! Ona – Żydówka!) została przeniesiona do *posiołka* Nr 26 o surowszym rygorze. Pochodziła z Płocka, z żydowskiej rodziny, przed wojną zdażyła skończyć prawo i odbyć aplikację adwokacką, wybuch wojny zniszczył dobrze zapowiadającą się karierę zawodową i plany osobiste. Dalsze jej losy były takie, jak tysięcy innych Polaków – wygnańców. Wywózka, bezpodstawne oskarżenia, więzienie, obóz. Współwięźniarki znały wykształcenie i zawód Róży, więc często zwracały się do niej o pomoc prawną w trudnych sytuacjach – nigdy nie odmawiała pomocy, zawsze usłużną i zyczliwą.

Larysa, obywatelka sowiecka, jedna z kobiet skazanych za to, że była „żoną wroga ludu” zwróciła się do Róży o pomoc przy napisaniu podania o zwolnienie czy choćby złagodzenie kary. Chodziło o to, że Larysa od dziesięciu lat nie widziała nawet męża, nie wiedziała o nim nic – ani gdzie mieszka, gdzie pracuje, pogłoski tylko do niej dotarły, że żyje z inną kobietą. Róża zajęła się sprawą, napisała do właściwych władz fachowe odwołanie z uzasadnieniem i umotywowaniem prośby, wytoczyła oczywiste racje – wszystko w najlepszym urzędowym stylu. Po kilku miesiącach nadeszła urzędowa odpowiedź zupełnie powalająca: „Waszej sprawy (tzn. Larysy) ponownie rozpatrzyć nie można, bowiem jej nie ma. Nie ma takiej sprawy”. Według władz sprawa nie istnieje, a człowiek sobie siedzi, choć nawet to nie ona popełniła jakieś wykroczenie, a tylko została „dopozwana”, jako osoba bliska sprawcy... Żadne „polskie piekiełko” nie dorówna temu „piekłu sowieckiej praworządności”!

Larysa dalej więc była uwięziona w obozie bez możliwości jakichkolwiek odwołań, a jej małoletni synek w dalszym ciągu mieszkał w domu sierot (bardzo zresztą licznych w Związku Sowieckim...) z dala od matki. Wszyscy wiedzieli, że było wiele takich spraw, podobnych sytuacji.

Róża była uczciwa, skrupulatna, jej zyczliwość i zainteresowanie każdym indywidualnym przypadkiem ludzkiego nieszczęścia stwarzały atmosferę zaangażowanej pracy. Opiekował się mną, gdy miałam poważne problemy z oczami, własnoręcznie przykładała mi kompresy, robiła okłady. Podczas przesłuchań w więzieniu przez długie godziny świecono mi mocnymi żarówkami prosto w oczy i to wywoływało długotrwałe zapalenia



spojówek. [Do tej pory zresztą dokuczają mi moje oczy, nadwreżone w młodości przez złych ludzi, stale muszę wspomagać je kropelkami, okładami, itp.] Dzięki Róży zapewne nie straciłam wzroku na zawsze.

Róża była mi bardzo bliska, toteż głęboko zapadła mi w pamięć. W wiele miesięcy później w zupełnie innych okolicznościach przyśniła mi się pewnej nocy. Sny zwykle są odrealnione przez mglistość lub zniekształcenia zarysów, rozmywające się tło, są nierzeczywiste przez dziwne oświetlenie scen, itd. Tym razem sens była jak wyrazisty, ostry jak film, bardzo dokładnie oddający wszystkie szczegóły: Jestem z Różą w jakimś kościele, dziwnym i nieznanym mi; na jasnych, gołych ścianach nie ma nic, ani jednego świętego obrazu, żadnego fresku ani innych ozdób, tylko ogromny, czarny krzyż. W kościele jest półmrok, krzyż jest od dołu podświetlony. Obie klękamy obok siebie, odmawiamy jakąś modlitwę, potem ja chcę wstać z klęczek, chwytam Różę za łokieć, pragnę pomóc jej w podnoszeniu się – ale ona dziwnie się kuli i odrzuca moją pomoc. Wstaję zatem sama i tyłem wycofuję się z kościoła. Róża staje się coraz mniejsza i mniejsza, krzyż również blednie i zanika. Wychodzę sama z kościoła na piękną trawę porastającą pofalowany teren. Tak mi dobrze, lekko szczęśliwie!

Budzę się – sen był krótko przed pobudką, jak to często bywa ze snami, zdarzają się krótko przed obudzeniem się. Opowiadam dziwny sen współtowarzyszkom, czuję się dziwnie radosna, jakby wyzwolona, a jedna z więźniarek powiada: „- Wyjdiesz z więzienia już niedługo, dziewczyno, ale twoja Róża pozostanie w więzieniu długo...”. I tak też było, Róża przesiedziała jeszcze 14 lat i do Polski wróciła z falą repatriantów po 1956 r. Spotkałyśmy się w Warszawie dopiero w latach '70, zresztą przypadkiem na ulicy.

Gdy to wspominałam, poczułam ulgę, że mnie się udało, że teraz mogę pracować w Delegaturze RP wśród Polaków. Zarabiałam niewiele, ale dostałam przydział ubrania z pomocy zagranicznej, mogłam wyrzucić znienawidzone, zniszczone więzienne łachy - od razu poczułam się znowu młodą dziewczyną!

W biurze delegatury, w jednym pokoju ze mną pracowała Iza Oskierko, z takiej mniejszej arystokracji. Bardzo się jednak szczyliła swoim pochodzeniem z jakiś książąt litewskich<sup>32</sup>), ale to nie był ani czas, ani miejsce na takie wywyższanie się. Miała 23 lata i była po prostu piękna, świadoma swej wielkiej urody czarowała wszystkich dookoła, aż się uwzięła na naszego delegata. Mnie się on wydawał stary jak moi rodzice, ale był to zapewne człowiek młodszy, mężczyzna nieco zbyt ostentacyjnie celebrujący gesty i zachowania należące w tamtych latach do eleganckiego obejścia, więc pewnie był z pretensjami. Zresztą, uwaga pięknej Izy na każdym mężczyźnie robiła silne wrażenie – delegat stałe na nią zerkał, ona latała do jego pokoju z nawet najbardziej błahymi sprawami. Moje negatywne odczucia co do Izy sprawdziły się, o czym jeszcze niżej.

Postanowiłam starać się o zgodę na wyjazd do Armii gen. Andersa w Jang-Julu. Tu, w Akmolińsku, atmosfera zaczęła się psuć, stosunki z władzami sowieckimi stawały się coraz bardziej napięte i skomplikowane, marzyłam już o tym, aby wyjechać. Wiedziałam, że w polskim obozie wojskowym są trudne warunki, ponieważ wojsko było zaopatrywane przez stronę sowiecką z pewną pomocą ze strony zachodnich aliantów, dzięki czemu wyżywienie było nieco lepsze niż w Armii Czerwonej. Trzeba przy tym podkreślić, że racje wojskowe były przyznawane według liczby żołnierzy, lecz wojsko dzieląc się tymi racjami żywiło całe tłumy cywili koczujące przy obozie i zamierzające wyjechać razem z wojskiem. Wyjazd nie tylko mnie wydawał się jedynym ratunkiem – byłam o tym dogłębnie przekonana.

Na budynku naszej Delegatury powiewała jeszcze dumnie flaga polska, biało – czerwona. Był to okres, kiedy zaczęliśmy odczuwać coraz namacalniej niechęć władz sowieckich. Każdego dnia, koło południa, naszą ulicą przechodziła kolumna żołnierzy sowieckich, śpiewających pieśni marszowe i rewolucyjne. Tak jakoś zawsze się składało, że gdy kolumna szła mocnym krokiem przed frontem naszej delegatury, trafiała się zwrotka pieśni Pierwszej Konnej Armii Budionnego: „ - *Pomniat polskije pany, pomniat psy atamany, pomniat białogwardyjskie wojska - kazackije naszije szaszki...* ” (Zapamiętają polskie pany, zapamiętają psy atamany,

<sup>32</sup>) Po kilkudziesięciu latach wyczytałam, że na Litwie było wiele rodów książęcych, z reguły bardzo zubożonych, tylko pochodzeniem różniących się od drobnej szlachty. Nazwisko Oskierko pojawia się w „Potopie”, a Sienkiewicz był znacznie lepszym historykiem i znawcą genealogii, niż się powszechnie przypuszcza, więc i nazwiska użył autentycznego dla członka sztabu hetmana Sapiehy, pułkownika Oskierki.



zapamiętają wojska białogwardyjskie – nasze kozackie szaszki<sup>33</sup>). Stwarzało to wśród nas bardzo niemiły nastrój, jako wyraźnie wrogi akt propagandowy ze strony Sowietów.

Pewnego razu usłyszałam głośno wypowiedziane na korytarzu swoje nazwisko, ktoś się o mnie dopytywał, szukał mnie. Wyszedłam z pokoju z ołówkiem i kartką papieru w ręku pewna, że trzeba będzie zapisać jakąś informację – i zamarłam z przerażenia! Serce dosłownie skoczyło mi gardła, gdy zobaczyłam dwóch moich oprawców z więzienia NKWD, na dokładkę umundurowanych! Poznałabym ich nawet w piekle. Przed oczyma stanęły mi natychmiast niedawne przeżycia – więzienne koszmary: przesłuchania, bicie i inne formy znęcania się nade mną, kraty, szczury, woda uniemożliwiająca sen, zatłoczona więzienna cela!

Jeden z nich powiada swobodnym tonem: ” – *Zdieś ludyj mnogo, nie można spokojno pogawarit*” („Wielu tu ludzi, nie może spokojnie porozmawiać...”), no to wyszliśmy przed budynek. Bałam się odmówić, reprezentowali przecież miejscową władzę, wiedziałam, że mogli zrobić wszystko, co chcieli! Przywitali się grzecznie, dla osób postronnych wyglądało to, jak towarzyska rozmowa. Bo też właściwie rozmawialiśmy o niczym, bezczelnie pytali o zdrowie, o pracę, powiedzieli ironicznie z uśmiechem (dowcipnisie!), że lepiej teraz wyglądam, niż wtedy u nich w więzieniu, na twarzach poprzyklepane ostentacyjnie życzliwe uśmieszki. Na pożegnanie podali mi rękę – poszli, ale we mnie pozostał nagle ponownie wywołany lęk.

Po co przyszli? Czego jeszcze ode mnie chcieli – o co im chodziło? Gdy uspokoiliam się na tyle, że mogłam już logicznie myśleć, zrozumiałam, że to żadne tam „grzecznościowe spotkanie” (kota z myszą?!), lecz starannie przemyślane, celowe spotkanie. Znowu dążyli do skomplikowania mojej sytuacji, chcieli mnie zniszczyć przez skompromitowanie kontaktami z nimi, dlatego nalegali na wyjście z budynku Delegatury, gdzie widziano nas razem z wielu okien i że grzecznie sobie z nimi, oprawcami z NKWD, z uśmiechami rozmawiałam. Natychmiast więc zameldowałam się u sekretarza delegatury i oznajmiłam, że w takiej sytuacji ja muszę natychmiast zrezygnować z pracy w delegaturze – muszę odejść. Sekretarz delegata wysłuchał mnie i zrozumiał całą powagę sytuacji, wszedł z tą informacją do gabinetu delegata.

Byłam półprzytomna, aż się trzęsłam od koszmarów niedawnej przeszłości i perspektywy konieczności odejścia z dobrej pracy, nie widziałam dla siebie ratunku. Gdybym myślała trzeźwo, sama bym doszła do tego, że delegat nie będzie mnie podejrzewał o współpracę z NKWD, bowiem gdybym rzeczywiście była ich informatorem, nie rozmawialiby ze mną tak otwarcie, na oczach wszystkich. Byłam niewinna, to NKWD chciało mnie znowu zniszczyć, skompromitować, utrudnić dostanie się do armii gen. Andersa.

Sekretarz delegatury uspokajał mówiąc, że się przecież nic takiego nie stało, ale czułam, że muszę zrezygnować z tej pracy. W domu załamalam się kompletnie, aż Marysia z matką pocieszały mnie, tuliły.

Niedługo potem dowiedziałam się, że ze sztabu Armii Polskiej przyszła lista osób, które miały wyjechać z konwojem do Jang – Julu i ja byłam na tej liście. Listę przywiózł sierżant w polskim mundurze i to on miał nas konwojować do miejsca przeznaczenia. Już zaczęłyśmy się przygotowywać do wyjazdu, ale nagle sprawy się komplikowały, władze sowieckie wynajdywały trudności i ostatecznie nie wydały zezwolenia na nasz wyjazd. Właśnie w tym okresie działalność delegatury była bardzo utrudniana przez NKWD.

Kobiety z dziećmi nie chciały ryzykować takiej podróży bez urzędowego *razreszenija* (postanowienia, zezwolenia). Obawiały się aresztowania po drodze, rozdzielenia z dziećmi. Ja się nie wahałam, wydawało m się, że nie mam innego wyjścia i nic do stracenia: bałam się ponownego aresztowania, kolejnych prześladować. Zdecydowałam się – jadę! Pożegnałam się z Mamą i bratem; było to smutne pożegnanie, miałam uczucie, że może nigdy więcej się nie zobaczymy – w tym kraju wszystko mogło się stać z ludźmi. Z ciężkim sercem ruszyłam w daleką drogę.

Bilety miał sierżant, który miał się mną opiekować w podróży. Bez przeszkód dotarliśmy do Pietropawłowska, gdzie za parę godzin mieliśmy przesiadkę. Mój opiekun chciał wykorzystać ten czas na wykupienie kartkowego przydziału chleba, a ja zostałam na dworcu, przycupnięta przy bagażach. Długo nie

<sup>33</sup>) Szaszka – w zasadzie szabla, ale noszona wygięciem (ostrzem) w górę.



wracał, aż go zobaczyłam – legitymował go patrol, on był blady jak śmierć i wyraźnie mocno przestraszony. Zarzucano mu przewinę kupowania chleba na kartki innych osób – gdy się okazało, że ma do tego prawo, to go puścili... W asyście milicjantów podszedł do naszej ławeczki, milcząco wziął swój bagaż i został odprowadzony do stojącego już na stacji naszego pociągu, nakazano mu natychmiast wsiadać. Mnie tylko wylegitymowano i puszczono wolno, ale pociąg odjechał z naszym sierżantem, biletami, kartkami – a nawet z moim przydziałowym chlebem! Zostałam sama w obcym mieście, gdzie nikogo nie znałam, daleko od Akmolińska. Było to w lipcu 1942 r.

Kompletnie się załamalam, nie wiedziałam, co robić, dokąd iść, kogo i gdzie prosić o pomoc. Pytałam się przygodnych przechodniów o polską Delegaturę, ale oni nie byli w stanie zrozumieć, o czym ja mówię – jaka delegatura!? Szłam bez celu przed siebie, ściemniało się, na przedmieściach Pietropawłowska zabłądziłam. Było już całkiem ciemno, gdy zobaczyłam przed sobą jakąś, jak mi się wydawało, drogę równą i oświetloną. Ale to był ściek fabryczny, wpadłam w jakiś olej, powalałam sobie spódnicę. Szłam dalej przez pole, sama już nie wiedziałam, czego szukam, czy przed czym uciekam.

Wstawał blady świt, doszłam do jakiś glinianek. Trochę otrzeźwiałam, byłam zmęczona, brudna i głodna. Nieco przeprałam spódnicę, rozłożyłam ją na trawie do przeschnięcia, sama się umyłam i pomału zaczęłam dochodzić do siebie. Już w miarę spokojnie zaczęłam się rozglądać dookoła i z przerażeniem zobaczyłam po drugiej stronie glinianek jakiegoś mężczyznę, przyglądał mi się zza krzaków, gardło mam już ściśnięte – jak uciekać bez spódnicy!? Ale w pewnym momencie domyśliłam się, że on też ucieka czy też ukrywa się, może jest takim samym zagubionym i zastraszonego człowiekiem, jak ja. Ale może mnie śledził i byłam pułapce?

Gdy spódnica wyschła, ruszyłam z powrotem do centrum Pietropawłowska w poszukiwaniu Delegatury. Tylko tam mogłam oczekiwać jakiegoś ratunku i realnej pomocy. Tylko z Delegatury mogłam rozpocząć ponownie moją anabasis do armii gen. Andersa. Długo błądziłam po ulicach, aż ze łzami radości i biciem serca dostrzegłam flagę biało-czerwoną! Jestem uratowana!

### **Znowu w więzieniu**

Radośnie weszłam do budynku przekonana, że tu na pewno mi życzliwie pomogą – i zostałam ponownie aresztowana! W Delegaturze był kocioł, aresztowano wszystkich, spisano personalia, odprowadzono do więzienia, Delegatura została zamknięta!

Umieszczono mnie w celi, gdzie siedziały same kryminalistki za morderstwa, pobicia, kradzieże i rozboje, ale także i osoby oskarżone o lżejsze przestępstwa, jak kradzież chleba czy innych artykułów spożywczych. Cella oczywiście przepełniona, więzienne warunki, upokarzające rygory.

W Delegaturze w Akmolińsku byłam przyzwoicie już ubrana, miałam porządne buty z pomocy zagranicznej, lecz na trzeci dzień jeden but mi zaginął. Ogarnęła mnie rozpacz, nie wyobrażałam sobie zwłaszcza horroru wejścia boso do ustępu, gdzie po betonowej podłodze wiły się wszędzie obrzydliwe białe robale. Jedna z uwięzionych Polek szepnęła mi, że to Murka – bandytką. Wiedziała, że jeden but będzie mi bezużyteczny, więc go na pewno zostawię...

Podeszłam do Murki, próbując po dobroci odzyskać swoją własność: „- Murka bądź dobra, oddaj mój but, jakże ja pójde do ustępu, przecież sama wiesz, jak tam jest wstrętne!” A ta od razu ze wstrętnym, chamskim krzykiem: „Ja się w więzieniu urodziłam i wiem bardzo dobrze, że współtowarzyszom nie wolno kraść, to niehonorowo – jak ty śmiesz posądzać mnie o taką podłość!!!” Była w furii, rozcapierzonymi palcami godziła w moje oczy, wyrzaskiwała najgorsze przekleństwa. Chwyliła za wieko od kibla i ruszyła groźnie na mnie. Twarz miała strasznie zmienioną, robiła wrażenie szalonej, niepoczytalnej. Przewróciła mnie na podłogę, zaczęła walić tą pokrywą, a odpychałam ją nogami, krzyczałam. Inne więźniarki rozbiegły się po kątach celi, na korytarzy słycać było gwizdki strażników więziennych – wpadają do celi. Murka histerycznie wrzeszczy, że to



ja zaczęłam ją bić, ale nie puszcza z rąk tej pokrywy od kibla, a ja leżę bezbronna na betonie. Byłam w szoku, nie byłam w stanie wykrztusić jednego słowa na swoją obronę – zabrano nas obie do naczelnika.

Najpierw Murka opowiada swoją wersję, ale naczelnik dał je parę raz w twarz i powiedział: „- Ona napadła, a jest pobita? Dziesięć dni karceru”. Zrobiło mi się słabo, upadłam na podłogę i zemdlałam.

A mój but oczywiście się odnalazł w łachach Murki, gdy siedziała w karcerze. Taka z tej awantury była dla mnie korzyść, że naczelnik zażądał moich akt. Wtedy okazało się, że w moich papierach nie ma wskazania paragrafu, na podstawie którego aresztowano mnie wtedy, w Delegaturze. Niedopatrzenie? Omyłka? Zaniedbanie? Naczelnik wydawał się rozsierdzony, przez zaciśnięte usta wycedził cicho jakieś przekleństwo i kazał przenieść do innej celi, gdzie siedziały Rumunki o arystokratycznym pochodzeniu. Przyjechały z osławionego moskiewskiego więzienia Butyrki i miały jechać dalej na wschód, do jakiegoś łagru. Jakiś czas siedziałam z tymi Rumunkami i każdego dnia miałam obawy, że któraś z nich umrze w nocy, takie były słabe. Były potwornie wychudzone, dosłownie żywe trupy – takie wynędzniałe, zapadłe oczy, sine twarze... Nawet mówić nie miały siły. Jestem niemal pewna, że nie dojechały na miejsce kaźni, że zmarły w drodze do łagru...

Mnie po paru dniach zapakowano do wagonu z okratowanymi oknami i powieziono dalej – i dokąd? Znowu do Akmolińska, a tam zapakowano mnie z powrotem do więzienia NKWD i taki był koniec mojej wyprawy do armii gen. Andersa! Koniec marzeń o wyrwaniu się z tego okropnego kraju – a tam, na granicy z Iranem, nasi już przekraczają granicę. Zapakowano mnie do pojedynczej celi. Rano słońce rzuciło cień kraty na ściany, wieczorem stale się paląca okratowana żarówka dawała podobny efekt – stale czułam się jak w klatce, działało to strasznie deprymująco. Od razu ostry reżim więzienny, cały czas podglądał mnie klawisz i gdy tylko zmęczona przysiadłam na pryczy – walił w drzwi i budził mnie ze snu, który był jednak bliższy odrętwieniu. Trzeźwiałam wtedy na moment, wracała upiorna rzeczywistość.

W dzień nie pozwalano mi przysypiać, a w nocy, gdy inne więźniarki spały, mnie zabierano na przesłuchania. Wciąż te same zarzuty, stale te same pytania, monotonne oskarżenia o szpiegowanie na rzecz USA i Wielkiej Brytanii, a ja nawet angielskiego nie znałam... Kręciło mi się już od tego w głowie, a oni tylko cierpliwie czekali na załamanie. Po paru dniach takiej męki opadłam z sił, z trudem logicznie odpowiadałam na pytania. Nieraz zastanawiałam się, czy oni wierzą rzeczywiście w to moje szpiegostwo, bowiem mnie nawet do głowy nie przychodziło, co też ja mogłabym wyszpiegować w tym pustym stepie, potem w Delegaturze – i jak przekazać te rewelacje o sporządzaniu *samanów*, o upadku dwóch krów, metodach grabienia siana, itd. - do Londynu czy Waszyngtonu?

Nauczyłam się spać na jawie – oczy otwarte, tylko umysł wyłączony. Ale może odpowiadałam wtedy na pytania? Potem przez wiele lat miałam zaburzenia snu i musiałam się stale leczyć.

Po dwóch tygodniach przeniesiono mnie do aresztu NKWD. Tym razem była to duża cela, ale poza mną siedziała tam tylko jedna młoda więźniarka, Rosjanka. Od razu mi opowiedziała, tego samego dnia (co było dosyć niezwykle, jak na zwyczajne więzienne), że siedzi za spekulację. Kupiwszy kostkę masła uczciwie wystaną w długiej kolejce – od razu sprzedała za wyższą cenę, za co ją aresztowano i osadzono w więzieniu. Była bardzo ciekawska, dociekliwa, o wszystko pytała, koniecznie chciała wiedzieć, za co siedzę, o co jestem podejrzana. Jej natręctwo i wścibstwo w końcu wzbudziło moją niechęć i uprzedziłam się do niej. Na jej uporczywe pytania odpowiadałam tylko, że siedzę z paragrafu 56 („polityczny”), żeby dała mi spokój, że boli mnie głowa i jestem zmęczona. Odsuwałam w dalszą perspektywę rozmowy – jutro, jutro - mówiłam i zasnęłam. Rano po wydaniu śniadania te Rosjankę wzywają na śledztwo. Po chwili wizjer uchyla się, widzę wąsatego strażnika, który powiada: „-Ona poszła z twoim śledczym!” i już go nie ma...

Zrozumiała, Po co ona z moim śledczym? Podaje się za spekulantkę, ale jej zadanie to szpiegowanie mnie, pewnie by namawiała na jakieś wypowiedzi antysowieckie, na krytykę ustroju i samego Związku Sowieckiego. Uprzedzona przez ludzkiego strażnika, życzliwego ludziom, jak widać, postanowiłam, że stale będzie mnie boleć głowa (o co zresztą tam naprawdę nie było trudno), że nic nie powiem, nie wydusi ze mnie jednego słowa, aby nie mogła czegoś przeinaczyć, przekręcić wypowiedzi – przecież to szpieg.



Po dziesięciu dniach zabrano mnie z tego aresztu i ponownie osadzono w więzieniu NKWD. Cella ponownie była jednoosobowa, ale dodano mi lokatorkę, Zrobiło się ciasno, na tej jednej pryczy musiałyśmy spać mocno do siebie przytulone, aby nie pospadać... Dusia była też podejrzana o szpiegostwo, jak się okazało. W domu, z babcią, zostawiła dwoje dzieci w wieku szkolnym. Zaczęłam ją pocieszać, że my tu wszystkie jesteśmy oskarżane o szpiegostwo, że mnie też stawiają takie bezpodstawne zarzuty. Wszystko będzie dobrze – tylko się nie przyznawaj do niczego i nie załamuj; tak chciałam ją uspokoić i dodać otuchy. Słuchała moich słów smutna i zamyślona. Zamartwiała się o dzieci, o to, co będzie z nią dalej. Ukradkiem ocierała łzy. Nawiązały się między nami dobre stosunki, łączyło nas wspólne nieszczęście, czułyśmy się sobie bliskie. Gdy Dusia dostała paczkę z domu, jej skromną zawartością podzieliła się ze mną.

Ciągle wzywano nas na przesłuchania, obie byłyśmy strasznie zmęczone i niewyspane. Trwało to z dziesięć dni i znowu przeniesiono mnie do innej celi, znowu pojedynki. Sama ze sobą półprzytomnie rozmawiałam po rosyjsku, czasem po polsku, już nie wiedziałam, kiedy kończy się sen i zaczyna przesłuchanie, traciłam rachubę czasu

Znowu mnie przeniesiono, tym razem do celi, gdzie już siedziała Dusia, ale prawie jej nie poznałam, tak była zmieniona: twarz szara, oczy wpadnięte... „- Dusia, co oni ci zrobili? Ty jesteś chyba ciężko chora, masz gorączkę!” A biedna Dusia powiada: „- Przyznałam się! Do wszystkiego się przyznałam!” „- Dusiu, co ty opowiadasz?! Coś ty zrobiła?! Jak mogłaś zrobić taką głupotę? Przecież ty nie mogłaś być szpiegiem?! Rozum postradałaś!”. Dusia na to: „- Gena – ja naprawdę byłam szpiegiem...”. Mnie замуrowało. „- Jakim ty szpiegiem mogłaś być?” – to jej wyznanie było dla mnie absurdem, przecież ona myślała tylko o dzieciach i matce... „- Widzisz Gena, to wszystko prawda” - tłumaczy mi Dusia – „Jestem wdową, pracowałam w sklepie na węzłowej stacji kolejowej Borowoje, zakochałam się w sowieckim Niemcu. On mnie namówił, abym była skrzynką kontaktową...”.

Miałam w ostatnich latach wiele „mocnych wrażeń”, ale kto wie, czy to akurat nie było najsilniejsze. Jest opowieść, chaotyczna i przerażająca, była jednak logiczna. Służyła za skrzynkę kontaktową, stacja węzłowa była miejscem idealnym, klienci – kurierzy w sklepie zwracali się do niej z hasłem i pozostawiali albo odbierali tajemnicze przesyłki, listy, wiadomości ustne... Dusia beztrudnie nie myślała o tym, co się stanie, gdy to wszystko się wykryje. Kochała tego Niemca i sądziła, że on też ją kocha i obroni w razie jakiegось wpadki; takie zwyczajne babskie rojenia i marzenia o tym swoim mężczyźnie. Któregoś dnia przyszli z samego rana, siłą oderwali od płacących dzieci i zawodzącej matki. „- Boże, co ja zrobiłam, co ze mną teraz będzie, co się stanie z moimi dziećmi?!” – łkała cichutko. Patrzyłam na Dusię z przerażeniem, nie umiałam znaleźć odpowiednich słów pocieszenia, po głowie kołatała mi tylko jedna myśl – czy kiedykolwiek zobaczy jeszcze swoje dzieci? Jakie będą jej dalsze losy - jaki wyrok?

Mnie też nie dawano już spokoju. Teraz oskarżała mnie wspomniana piękna Iza Oskierko, dawna koleżanka z pracy w Delegaturze. W czasie konfrontacji siedziała przede mną piękna, elegancka, ze złotymi bransoletkami na przegubach wypielęgowanych rąk, na palcach pierścienie. Patrzyła na mnie z pogardą. Gdy ją zapytano, czy może powtórzyć swoje oskarżenia, rzekła: „- To ona wykupywała z kiosków „Widnokreği”-pismo Wandy Wasilewskiej”. Oskarżenie zupełnie pozbawione sensu. Tego pisma na oczy nie widziałam, niczego nie wykupywałam, bo mnie to zupełnie nie interesowało, a poza tym nie miałam pieniędzy.

A piękna Iza kontynuuje: „- To pismo kazał jej wykupywać sekretarz Delegatury, żeby pozbawić ludzi możliwości przeczytania prawdziwych informacji!”. Oskierko najwyraźniej była pewna doniosłej dla śledztwa wagi tych bredni. Wzgardliwie sobie na mnie popatrywała, gdyż kompletnie nie uwzględniano moich odpowiedzi. Na tym konfrontację zakończono.

Czego jeszcze ode mnie mogą chcieć w tym NKWD, co jeszcze wymyślą – kogo przyprowadzą „na konfrontację”?

Pewnego razu kazano mi się zabierać z celi „z rzeczami”. Myślałam, że to jak zwykle, przenosiny do innej celi, ale zaprowadzono mnie do gabinetu naczelnika Grigorijewa, zajmującego się sprawami polskimi. Kazano mi usiąść z drugiej strony biurka i podpisać jakiś dokument. Gdy go przeczytałam, z wrażenia zrobiło



mi się gorąco: tam czarno na białym było napisane, że na mocy postanowienia specjalnego posiedzenia (*sowieszczanija narady*) oczyszczona jestem z przedstawianych zarzutów i wychodzę na wolność. Kazano mi to przeczytać głośno – przeczytałam, a naczelnik Grigorijew powtórnie kazał podpisać. Żeby treść w pełni do mnie dotarła, musiałam przeczytać dokument raz jeszcze, słowo po słowie, szukając jakiegoś kruczka, ręce mi wprost latały, ale jakoś podpisałam. Byłam wolna!

### Akmolińsk

Otworzono przede mną drzwi i wyszłam na wolność w mroźną, ciemną noc. Miałam na sobie sweter i grubą chustę, którą przysłała mi Mama w paczce do więzienia, ale i tak było to ubranie za lekkie na taki mróz, iście syberyjski. Ale tak rozpierało mnie szczęście, że nie myślałam w pierwszych momentach o mrozie. Chciałam jak najszybciej oddalić się od miejsca kaźni, od tej *tiurmy*. A jeżeli się rozmyślą, zmieniają zdanie, coś nowego sobie przypomną i znowu mnie aresztują?

Szybko szłam przed siebie i po jakimś czasie zorientowałam się, że zablądziłam, że zamiast stronę centrum miasta, poszłam w stronę przedmieść. Było mi coraz zimniej osłabienie więzienne dawało znać o sobie coraz bardziej. I nagle myśl: - Czy aby nie specjalnie wypuścili mnie z więzienia w mroźną noc, abym zamarzła?! Ogarniało coraz większe przerażenie, kompletnie straciłam orientację, gdzie jestem, nie wiedziałam, gdzie jestem. Wiedziałam, że jak nie znajdę jakiegoś schronienia, to nie dożyję do rana. Dotarłam do jakiejś kazachskiej zagrody, przycupnęłam przy płocie z *samanu*. Nie było to najlepsze miejsce, nie chroniło od zimna, ale osłaniało od lodowatego wiatru. Było mi już z przeziębienia wszystko jedno, nie miałam siły iść dalej. Pies najpierw zaszczekał, potem ostrzegawczo zawył, skrzypnęły drzwi chaty i w słabym świetle ukazał się gospodarz: „- Co ty tu, dziewczyno, robisz sama po nocy? Skąd i po co przychodzisz w taki mróz?” Zdrętwiała z zimna ręką podałam mu to więzienne zwolnienie. Popatrzył na mnie, zaprowadził na podwórze obejścia, umieścił na sianie obok zwierząt. „- Śpij spokojnie, tu nikt ci krzywdy nie zrobi, rano odwiozę cię do miasta, do domu...”.

Od zwierząt biło ciepło, słuchałam uspokajających odgłosów przeżuwania, parskania i oddechy zwierząt... Zasnęłam. Nad ranem Kazach obudził mnie, dał coś do zjedzenia, zaprzągnął konia do sań i pojechaliśmy do Akmolińska.

Tam znalazłam się w izbie Mamy, która przeprowadziła się tu z *posiołka* i urządziła się jakoś w mieście, znalazła izbę, a nawet pracę – opiekowała się dziećmi jakiejś rodziny. Żyli z bratem bardzo skromnie, już nie było co sprzedawać, poszło między ludzi wszystko, co przywieźliśmy ze sobą z Polski, nawet sławny mosiężny czajnik.

Sytuacja była ciężka, musiałam sobie znaleźć jakąś pracę. Ani Marysi, ani jej matki, pani Surackiej, nie było już w Akmolińsku, udało im się dotrzeć do armii gen. Andersa i wyjechały Ze Związku Sowieckiego, gdy ja siedziałam w więzieniu; moja szansa na ratunek przepadła. Matka Marysi przed wyjazdem pożegnała się z moją Mamą i pozostawiła u niej dla mnie ciepły płaszcz – okazał się wprost błogosławieństwem! Bardzo mnie wzruszyła ta pamięć i troskliwość.

Zacząłam szukać pracy, choć to nie było takie proste – i znalazłam w spółdzielni pracy „*Metallistow*”. Moim zadaniem było wybijanie na prasie z 5-milimetrowej blach *pietuszkow*, czyli kurków mających zastosowanie w zapalnikach granatów. Praca była bardzo ciężka, zarobki minimalne<sup>34</sup>). Przyszłość - jak zawsze w Związku Sowieckim – przedstawiała się czarno, nie mogłam na nikogo liczyć, nikt nie mógł mi pomóc.

<sup>34</sup>) Tam miało miejsce dziwne zdarzenie: przewodniczący tej spółdzielni, ewakuowanej (nie zesłanej) przed wojskami niemieckimi z Białorusi, po parunastu dniach mojej pracy, gdy dowiedział się, że jestem Polką, zatrzymał się koło mojego miejsca pracy patrząc w inną stronę, przez zamknięte usta, powiedział cichutko, że „- Widziałem jeńców – polskich oficerów w łagrze w moich okolicach... Trawę jedli! Jak próbowaliśmy im pomagać, karano nas... Potem ich wszystkich rozstrzelano...”. Nie wymienił nazwy miejscowości, a może ja zapomniałam. Zbyt straszne to było. Na tyle znałam już miejscowe obyczaje, aby wiedzieć, jak bohaterki był czyn tego przewodniczącego i że lepiej nikomu, ale to nikomu o tym nie opowiadać.



Po dwóch czy trzech miesiącach tej ciężkiej pracy – a przecież byłam osłabiona więzieniem – ciężko zachorowałam na paratyfus. Opiekowała się mną bardzo serdecznie w domu lekarka, Koreanka, oczywiście też deportowana z okolic bliższych jej ojczyzny. Widząc naszą nędzę, przynosiła mi codziennie kubek mleka od krowy, którą sama karmiła i doiła. Ratowała mnie jak mogła i powiadała: „- Ty nie możesz iść do szpitala na oddział zakaźny, zginiesz tam, jesteś zbyt słaba, to byłaby pewna śmierć!”.

Gdy poczułam się już lepiej, musiałam stanąć przed komisją lekarską, która miała orzec o mojej zdolności, czy niezdolności, do pracy, i tu znowu Koreanka walczył o mnie jak lwica, dzięki niej dano mi zwolnienie na kolejne sześć tygodni i potem skierowanie do lżejszej pracy.

Otrzymałyśmy z koleżanką karty na wyjazd do lasu, na wyrąb drzewa, więc tam pojechałyśmy. Ale w miejscowości wymienionej na skierowaniu nie było żadnych robót leśnych, a nawet lasu nie było! Wracamy do Akmolińska, gdzie dowiedziałyśmy się, że zaszło nieporozumienie i że podano nam na skierowaniu błędny adres... Ale i tak wsadzili nas na dwa miesiące do aresztu za *progul* (przechadzka – określenie samowolnego opuszczenia pracy; bumelka, a także wagary). Racja niby była po naszej stronie, bowiem podano nam zły adres i nikt tego nie kwestionował w sądzie, ale *progul* był i prosto z sądu wiozą nas do aresztu, a po dwóch dniach – wywieziono do sowchozu do pracy w ogrodzie.

Matka mojej koleżanki zaczęła robić starania o zwolnienie nas, poszła do naczelnika NKWD do spraw polskich, miała tam widocznie jakieś wpływy i zwolniono nas obie. Widocznie nie wypadało zanadto ujawniać kumoterstwa i z tego samego paragrafu i mnie zwolniono, i ją. Co ciekawe, bez żadnych papierków, formalności – po prostu wyszłyśmy na wolność... Doprawdy, zadziwiająca była ta praworządność sowiecka! Ale późniejsze losy tej mojej koleżanki, miejsce następnej jej pracy i inne oznaki wskazywały, że ona już wtedy była agentką NKWD.

Z powodu słabego zdrowia i niedawnej ciężkiej choroby dostałam pracę w grupie geologów poszukujących węgla w stepie<sup>35</sup>); Moja praca polegała na nanoszeniu na papier milimetrowy różnych danych podawanych przez geologów. Robotnicy dokonywali odwiertów sondażowych, geologowie analizowali próbki, ja to zapisywałam w nakazanej formie. Praca mnie zainteresowała i była przy tym nawet niezłe płatna. To już była jakaś stabilizacja.

Wczesną wiosną 1943 r. wezwano mnie i jeszcze kilka Polek na milicję z dokumentami, czyli z tymi naszymi, niedawno otrzymanymi polskimi paszportami, z których byłyśmy tak dumne. Na milicji znowu zabierają nam paszporty polskie i wydają sowieckie! Rozpacz, łzy. Następnego dnia wzywają następną grupę Polek, a te, którym paszporty odebrano wcześniej dołączyły do nas i całą sporą grupą maszerujemy na posterunek; mieszkańcy ze zdziwieniem patrzą na taką manifestację nie w sowieckie święto państwowe! A na milicji oczywiście spotyka nas jedno, co umieli dobrze zrobić – wszystkie nas wsadzają do cel, bowiem takie zgromadzenie to było straszne przewinienie. Nie chcieliśmy pogodzić się z odebraniem polskiego obywatelstwa i przyjąć sowieckiego! Kobiety były w różnym wieku, nawet nastolatki. Duża cęła była przepełniona, mogłyśmy tylko stać, taki upchnięto w niej tłum. Głośno modliłyśmy się o ratunek; jedna z kobiet nawet błagała w głos Panienkę Przenajświętszą, aby tu, na tym podwórku, zaraz wylądowali amerykańscy spadochroniarze i nas uwolnili!

Szansę nasze oceniałyśmy jako słabe, kolejny raz ulegałyśmy państwowej przemocy, po nadziei i szczęściu miało nadejść od początku całe zło. Noc minęła w zaduchu i nerwowej, przerywanej drzemce na stojąco. Rano wchodzi *strielok* (dosłownie strzelec, potoczna nazwa uzbrojonego żołnierza, konwojenta lub wartownika), szeroko otwiera drzwi do celi i wrzeszczy: „- *Uchoditje!*” (Wychodź!). To było takie nagłe, że zapanowała konsternacja, wietrzmy podstęp, zbiłyśmy się w gromadkę, a *strielok* zdecydowanie wali z pepeszy serią w sufit i znowu nas wygania! Zastraszone do ostatka – rozstrzeliwać będą, czy jak? – wychodzimy, a tam przy wyjściu z komendy wręczają nam znowu te swoje sowieckie paszporty. Nieszczęśliwe

<sup>35</sup>) Już wtedy w okolicach Karagandy funkcjonowało kilka kopalni węgla (traktowanych oczywiście jako karne łagry), potem na bazie węgla powstały liczne zakłady przemysłu przetwórczego.



i zrezygnowane poszłyśmy do chałup czy gdzie tam która mieszkała... Delegatury nie ma, znowu jesteście zdane na siebie.

Ale następnego dnia z koleżankami poszłyśmy do kina na film „Wielki walc”. Jakież to było dla nas odprężenie! Na świecie istniał, nawet w czasie wojny, inny, cudowny świat! Ludzie tańczą, kochają się, uśmiechają się do siebie i żyją po ludzku. Wtedy gorzka refleksja – a my? Nasze życie mija bez żadnej nadziei.

### Ocalenie - wojsko

W połowie października 1943 r. dostałam kartę mobilizacyjną do Wojska Polskiego gen. Berlinga. Wraz ze mną powołano kilka dziewcząt z Akmolińska. Nie miałyśmy zbyt wiele czasu na przygotowanie się do wyjazdu, za parę dni miałyśmy stawić się rano na stacji w Akmolińsku. Żegnałam się z Mamą, mając świadomość, że może znowu jest to ostateczne rozstanie, że może już jej nie zobaczę – może nie doczeka końca wojny, może ja zginę na froncie...

Mama płakała, a ja myślałam o zaginionym Ojcu: minęło tyle lat, żadnych wieści, żadnej nadziei. Widziałam, co się dookoła dzieje, słyszałam opowieści ludzi i nie miałam już złudzeń, Ojca już nie zobaczymy, a teraz jeszcze zostawiam Mamę samą w obcym i bardzo nieprzyjaznym kraju, w klimacie trudnym do zniesienia. Bardzo było mi ciężko na duszy.

Z Akmolińska odprawiono nas do Pietropawłowska, a tam miałyśmy czekać na pociąg sanitarny, którym na dalsze leczenie wieziono na wschód rannych z frontu. Pociąg wracając miał nas zabrać do Sielc nad Oką, w obwodzie riazzańskim, do pierwszego ośrodka formowania jednostek polskich w Związku Sowieckim po wyjściu armii gen. Andersa. Tam też w maju 1943 r. utworzono I Dywizję Piechoty im. Tadeusza Kościuszki.

Czekałyśmy na ten pociąg z dziesięć dni, śpiąc pokotem na betonowej podłodze, dostawałyśmy skąpe racje chleba oraz na kawałku papieru coś, co przypominało sałatkę kartoflano-jarzynową. W czasie tego oczekiwania, a właściwie koczowania, zaprowadzono nas do starej i zniszczonej *bani* (łaźnia zupełnie taka sama, jak lepiej znane fińskie sauny), dając do wytarcia się parę szmat. Wreszcie nadjechał pociąg, nareszcie miałyśmy czym jechać do tego wojska, wprowadzić nieznanego – ale do naszych! Co więcej – nie były to wagony bydłowe, lecz kuszetki po tych rannych, więc jak na tamte warunki podróż była wygodna.

Ze zmęczenia niemal natychmiast wszystkie pospałyśmy się, ale nie był to głęboki sen, mimo monotonnego stukotu kół. Oddalałyśmy się od rodzin, przyjaciół, względnie znajomego życia w Akmolińsku, wiózł nas pociąg ku nieznanemu, bowiem wcale nie było pewne, czy przybliży nas ku wyśnionej Polsce.

Jechałyśmy do tego drugiego już wojska formowanego na ziemi sowieckiej jak zawsze ze strachem (który nas nigdy nie opuszczał), ale i z rosnącą nadzieją. Bałyśmy się tego życia wojskowego – nieznanych obowiązków i rygorów, nowych ludzi i sytuacji, ale przeważała chyba ciekawość i chęć życia. Nie miałyśmy zresztą wyboru: powołanie to powołanie, to rozkaz.

Pociąg dojechał do stacji Diwowoje. Była noc, umieszczono nas w namiocie, na podłodze namiotu była wyściółka słomiana. Rano pobudka, kapral, pewnie Polak z Armii Czerwonej, usiłuje wydawać komendy po polsku: „- *Rozbiwajties' trójkami!*”. Miało to znaczyć, że ma oto nastąpić zbiórka w trójszeregu, a wszyscy się głośno roześmiali. Dotąd pamiętam jego przerażenie – nie wiedział, o co chodzi. Ktoś mu wytłumaczył. Dookoła był las, niezbyt duży, płynęła zakolami rzeka – Oka. „- *Płynie, płynie Oka, jak Wisła szeroka, jak Wisła głęboka, co ci przypomina obraz znajomy ten...?*”.

Po zmobilizowaniu nie od razu byłyśmy pewne, że pojedziemy na zachód. W szyku trójkowym maszerowałyśmy raźniej, choć nieskładnie. Na wieczór ulokowano nas w ziemiance. Wszędzie pełno hasel – białe litery na czerwonym płótnie: „Idziem do ciebie, ziemio – matko nasza, coś z pierwotnej zrodziła nas gliny.” Po kolacji na apelu śpiewałyśmy „Wszystkie nasze dzienne sprawy...”. Pieśń chóru jeszcze niezestrojonego odbija się w moich uszach od ściany lasu.



Batalion Kobiety im. Emilii Plater powstawał niemal równocześnie z I Dywizją im. Tadeusza Kościuszki i (co zadziwiające!) był w założeniu jednostką bojową, przeznaczoną do walki na pierwszej linii frontu; dlatego byłyśmy „fizylerkami” – wyposażono nas w pepesze. Dopiero później okazało się, że nie ma możliwości użycia takiej jednostki w formie zwartej. Kilkanaście dziewcząt i młodych kobiet po przeszkoleniu oficerskim dowodziło jednak plutonami złożonymi z samych mężczyzn, i to z powodzeniem. Naprawdę znakomite były te nasze fizylerki służbie wartowniczej, być może ze względu na kobiecą ostrożność.

Byłyśmy - żyłyśmy! - szczęśliwe, że już tutaj jesteśmy. Mundurów jeszcze nam nie wydano, ale byłyśmy już po oględzinach lekarskich. Na komisji okazało się, że nie nadaję się do wojska – zbyt wychudzona, za słaba! Płacę, nie chcę wracać do Akmolińska. Zwracam się do kpt. Sztachelskiej – pomaga mi, zostaję, zwolniono mnie początkowo z cięższych ćwiczeń. Po kilku dniach dostaję mundur, drużynowa woła „– Ochnikówna - zameldować się u do dowódcy. Pytam, która ziemianka, pukam, słyszę „Wejść”, wchodzę i nie wiem, o co chodzi, mówię dzień dobry – słyszę „Wynoście się”, więc wracam do swojej ziemianki, a tu znowu „- Dowódca cię woła”. Idę, pukam – „Wejść!”, a gdy wchodzę – „Wynoście się!” i znowu – Ochnikówna do dowódcy z drużynową!”. Drużynowa melduje się, ja stoję nieszczęśliwa... „- Nauczcie ją meldować się!” i przez 2 godziny na strzelnicy marsz krokiem defiladowym pomiędzy tarczami i stanowiskami strzeleckimi, a na krańcach mam się meldować do słupek: „- Obywatelu kapitanie, melduję swoje wejście/wyjście!” Bola mnie nogi od tego męczącego kroku defiladowego, od tego durnego meldowania się. Ale nauczka poskutkowała, przezornie byłam z musztry dobra do końca pobytu w wojsku, a musztra dla wojska jest – jak się zdaje – bardzo ważna.

W ramach zwolnienia od cięższych ćwiczeń przynajmniej przez tydzień myłam kotły w kuchni: praca nie była lekka, ale przynajmniej w wojsku gen. Berlinga nie czułam się zagrożona aresztowaniem. Nieraz w Akmolińsku, po drugim pobycie w więzieniu, budziłam się nad ranem z lękiem, budziłam przyjaciółkę, z którą spałam na polepie i szeptałam: „- Halinko, słyszysz? Oni chodzą pod oknami, zaraz zastukają do drzwi! Co mam robić?!” Ona odpowiadała: „- Śpij, Gena, jest cicho, nikt nie chodzi...” i momentalnie zasypiała, a ja z kołającym sercem, spocona i strwożona długo jeszcze czuwałam.

Tu w obozie wojskowym byłam bezpieczna. Las i rzeka przypominały mi Polskę, wszędzie dookoła mowa polska, jakże było mi dobrze, mimo niedostatków jedzenia, mimo męczących, codziennych ćwiczeń i nocnych alarmów. Gen. Berling mawiał „Im więcej potu na ćwiczeniach, tym mniej krwi w boju”, więc ćwiczyliśmy nas ostro.

Spałyśmy w ziemiankach, deski na I piętrze i na II piętrze. Była jakaś słoma na tych deskach. Nie pamiętam, czy były jakieś koce do okrycia się. W ziemiankach było nie tyle ciepło, co duszno, co uświadamiały mi częste nocne apele. Trudno było pozbierać się do apelu, być przytomnym, równo pozapinać wszystkie guziki. W dzień odbywają się rozmaite ćwiczenia, jak to w wojsku. Chyba raz w tygodniu łaźnia, w każdą niedzielę msza święta, którą odprawiał kapelan ks. Kupsz. Te patriotyczne hasła porozwieszane dookoła, śpiewanie „Wszystkie nasze dzienne sprawy” wieczorem, a rano „Kiedy ranne wstają zorze” sprawiało podniosły nastrój patriotyczny, czułyśmy się bliżej Ojczyzny. Święta obchodziliśmy w jednostce według polskiej tradycji katolickiej - nawet stajenka była i żłobek, śpiewaliśmy kolędy.

Jedzenie w wojsku było marne. Pamiętam krupniki z kawałkami suszonych kartofli, rano na śniadanie dawali nam kawałek „świnoj tuszonki” z amerykańskich puszek, wieczorem kasza jęczmienna. Dziewczęta narzekały, że są głodne. Dookoła naszego batalionu krążyły miejscowe kołchoźnice, aby placki z marchwi wymieniać na odzież z cywila. Ja swoją odzież wysłałam mamie, bo u niej było bardzo źle. Placki jednak dziewczętom nie posłużyły, pochorowały się po tych plackach, więc z logiką wojskową wystawiono warty, aby te handlujące kołchoźnice przepędzić.

Zaproponowano mi szkołę podoficerów oświatowych (w batalionie), gdyż jako jedna z doprawdy nielicznych miałam małą maturę. Te bardziej wykształcone, zwykle córki ziemian, oficerów, urzędników, wcześniej zdążyły wyjechać do armii gen. Andersa. Szkolono nas w tej szkółce batalionowej naturalnie w historii ruchu robotniczego, omawiano linię Curzona jako jedyną słuszną i sprawiedliwą wschodnią granicę Polski, były też ćwiczenia typowo wojskowe, jak strzelania, musztra, czyszczenie broni itp. Sama nie wiem, jak



zdołałam opanować składanie ckm Maxim wz. 1910 z rozrzuconych części, których było około 150; w tej starej konstrukcji, zwykle niezawodnej, mogło się jednak zdarzyć prawie 70 rodzajów zacięć i trzeba było umieć je usuwać! Dlatego składanie i rozkładanie tego monstrum było tak ważne<sup>36</sup>). Skończyłam szkołę batalionową jako prymuska i dostałam nominację na zastępcę dowódcy kompanii fizylierek jako oficer bez stopnia. Często mnie, z racji mojej funkcji, pytano, co z nami będzie, gdy dotrzemy do Polski – a ja sama nie wiedziałam, co w tej Polsce będzie. Wybierano spośród nas kandydatki do szkół oficerskich, poza służbą liniową szkolono na „oficerów oświatowych”, jak taka funkcja się początkowo nazywała, potem otwarcie nazwano nas „ds. polityczno - wychowawczych”.

Jednak praktyka naszego działania była w istocie „oświatowa”, a nie „polityczna”. Podległym żołnierzom wpajałyśmy podstawową wiedzę, czytaliśmy im gazety i opowiadaliśmy im o tym, jak przebiega front i jak toczą się walki. Zadania wpajania niechby i prymitywnych podstaw marksizmu-leninizmu nie tkwiły nawet w programach i planach pracy takich oficerów. Większość kobiet nie miała nawet ukończonej szkoły podstawowej. Wiele problemów i pojęć było dla nich całkowicie niezrozumiałych.

Przed świętami Bożego Narodzenia w ramach „ćwiczeń” wyruszyliśmy spod Riazania na Smoleńsk; w linii prostej jest to około 500 km. Rozkazano nam iść forsownym marszem dniem i nocą, z krótkimi tylko postojami po kilkanaście minut. W plecakach niosłyśmy ciężkie walonki, w których nie sposób było maszerować (ale potem się bardzo przydały), koce, żelazne racje żywności, której bez rozkazu nie wolno było zjeść. Na ramieniu pepesza, przy pasie zapasowy magazynek i łopatka. Najgorsze były długie buty – cholewy z impregnowanego brezentu (*kierzowije*), reszta, w tym zelówki ze skóry bardzo złej jakości, na stopach oczywiście onuce<sup>37</sup>). Brnęłyśmy przez śnieg, ciepło nóg roztopiało na butach ten śnieg, nogi stały się mokre. Dopóki szłyśmy, było niewygodnie, ale można było to znieść. Gorzej było w czasie krótkich odpoczynków: dziewczyny padały na śnieg i momentalnie zasypiały, a budzenie wymagało mocnego poszturchiwania. Nogi przymarzały do wilgotnych butów, buty sztywniały - koszmar.

Nie pamiętam, jak długo odbywał się ten męczący marsz w zawiei i w głębokim śniegu. Nasz dowódca kompanii fizylierek poruszał się na nartach, dowódca batalionu jechał saniami. Z nami szła zastępca dowódcy kompanii, kapitan dr Irena Sztachelska, już przed wojną udzielająca się w organizacjach lewicowych. Była szczupła i wytrzymała, nieraz brała pepeszę dziewczyny, która już nie dawała rady i niosła na każdym ramieniu po 2 pepesze; razem około 20 dodatkowych kilogramów, wliczając wagę 71-nabojowych magazynków bębnowych, przy wadze samego pistoletu maszynowego ponad 3,60 kg.... Podziwiałam ją i dotąd mam w pamięci jej hart ducha i jej siłę. Szła pochylona, nie korzystała z żadnego udogodnienia, jak sanie, którymi podróżowali inni oficerowie. Wiele dziewcząt nie dawało rady tym morderczym manewrom i po prostu padały, karetki je zbierały, zostawiały w jakiejś wsi, a my maszerowałyśmy dalej. Doszłyśmy w końcu do celu, rzucono nas natychmiast, bez odpoczynku, do kopania okopów, części dziewcząt udało się jednak odpoczywać. Po drodze wydawano nam do menażek dosyć pożywną zupę – podążała za nami kuchnia polowa. Potem trzy dni w okopach, zamieniłyśmy te okropne *kierzowoje* obuwie na walonki, przydały się one wtedy, choć ciężko było je nieść przez pół tysiąca kilometrów, były przynajmniej ciepłe.

A zaraz potem znów w drogę powrotną, też bardzo męczącą, cały czas zawieja, a od Smoleńska w stronę Riazania ciągnie się pasmo wzgórz, więc marsz znowu był bardzo uciążliwy. Dotarliśmy w końcu do naszych ziemianek, które teraz wydały się nam bardzo przyjazne. Wieczorami przed snem rozpałyśmy często ognisko i śpiewałyśmy „O Marianno, gdybyś była zakochana”, bądź jakieś piosenki, czasem harcercskie.

<sup>36</sup>) W czasach carskich Rosji i potem w Sowietach najlepiej wykształconych żołnierzy (tj. najmniej szkoła podstawowa...) brano na *pulemiotczikow*, czyli jako strzelców ckm; najlepiej edukowanych i najbystrzejszych, często po praktyce robotniczej w zakładach metalowych, kierowano jednak do marynarki – bo tam były dookoła przecież tylko mechanizmy.

<sup>37</sup>) Owijanie stóp onucami tak, aby było wygodnie i nie było obtarć, to nie lada sztuka! Ale też stopa w onuce i odpowiedniej wielkości bucie znacznie lepiej znosi wyczerpujące marsze, niż w najlepszych nawet skarpetach.



W naszym batalionie kobiecym na wyższe funkcje oficerskie mianowano członkinie Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy, Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi<sup>38</sup>) i KPP. Osoby te wcale nie narzucały swojego sposobu myślenia – pozostawiano pewnie tę sprawę indoktrynacji na potem. Inna rzecz, że nie za bardzo byśmy słuchały takich treści, mając za sobą przejścia jak moje; a może też już nie tak pewne były tej swojej utopii?

W styczniu 1944 r. zostałam skierowana do szkoły oficerskiej, już dla oficerów polityczno – wychowawczych, w Moskwie, przy ulicy Arbackiej, w dawnych koszarach armii carskiej. Powodem nie były poglądy, lecz po prostu moje wykształcenia – miałam małą maturę, jak wspominałam. Wykładano dużo historii, fakty były prawdziwe, ale jakaś inna interpretacja ruchu robotniczego, a także podstawowych zasad ekonomii. Wykładowcami byli m.in. późniejsi najwięksi dostojnicy państwowi i partyjni – same znane potem nazwiska.

Naturalnie były wykłady i ćwiczenia z umiejętnością posługiwania się bronią, w tym znowu składania zamka karabinu maszynowego Maxim, składającego się z tak wielu części; ale to miałam już opanowane. Recytowano wiersz Juliana Tuwima „*A kiedy lud na nogi stanie, niechaj podniesie pięść żylastą, daj pracującym we władanie plon pracy ich we wsi i miastach*”. Przekonania miałam wtedy socjalistyczne, już przed wojną zetknęłam się z „Robotnikiem”, dziennikiem wydawanym przez PPS<sup>39</sup>) To, co widziałam w ZSRR, zupełnie nie pasowało do haseł rewolucji francuskiej, ale do bardziej radykalnych i już socjalistycznych (socjalizm utopijny) haseł Wiosny Ludów. Człowiek przecież nie miał żadnych praw, Nawet poeta Majakowski pisał: *Jednostka – niczym!* W innych wierszach pisał *Niech głos ma towarzysz Mauzer!* (miał na myśli pistolet w drewnianej kaburze...), albo zgoła *I trzeba słuchać, co towarzysz komsomolec myśli!* To jest właśnie czysty bolszewizm, te trzy zdania!

Zauważyłam, że w tej szkole była grupa nieintegrująca się z resztą, ostentacyjnie trzymająca się osobno. Była to m.in. Madalińska, córka dużego przemysłowca z Łodzi, już przed wojną działająca w KPP, po wojnie została kierowniczką sekretariatu ministra gen. Stanisława Radkiewicza (Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego<sup>40</sup>). Innych nazwisk już nie pamiętam, tyle tylko, że część moich kolegów i koleżanek pracowała potem w UB; ja nie utrzymywałam z nimi potem żadnego kontaktu.

W szkole zorganizowano nam spotkanie z późniejszym premierem Osóbką-Morawskim, który nas uświadamiał, jakie są podziały polityczne w Polsce. Mówił jako socjalista, ale czuło się w nim ducha polskiego i obronę polskiej racji stanu. Przemawiał też późniejszy przewodniczący Rady Państwa gen. Marian Spychalski – powtarzał jakieś ogólniki. Ogólnie po twarzach prezydium tego spotkania, a w szczególności radzieckich pułkowników, widziałam, że oni woleliby inne wystąpienia Polaków z przerzutu zza linii frontu. Między innymi Osóbka-Morawski powiedział, że „- Wilno jest za daleko (od linii Curzona – GL), ale o Lwów będziemy się targować z przyjaciółmi radzieckimi”, co wspomnianych sowieckich pułkowników wprost zmroziło, ich twarze stały się nagle kamienne – i chyba zaniepokojone, że w ich obecności dochodzi to takich rzeczy...

Była już wiosna 1944 r. Szkołę oficerów polityczno – wychowawczych (na takie określenie zmieniono poprzednie „oficerów oświatowych”, a ja pozostałam nadal bezpartyjna, aż do końca życia!) ukończyłam ze stopniem podporucznika, co wynikało z faktu, że otrzymałam drugą lokatę. Poza tym świetnie strzelałam, nauczyłam się perfekcyjnego już składania tego skomplikowanego zamka ckm Maxim, umiałam wydawać komendy. Nie byłam dobra w walce na bagnety i z tego miałam trójkę, ale też i ta umiejętność miała niewielkie

<sup>38</sup>) Były to organizacje utworzone na ziemiach polskich po inwazji sowieckiej, jako satelickie organizacje polityczne wspierające tę inwazję. KPP praktycznie nie istniała – została wcześniej zlikwidowana przez władze sowieckie i praktycznie zdelegalizowana przez Komintern, jako rzekomo przeżarta przez agentów i prowokatorów policyjnych oraz szpiegów zachodnich...

<sup>39</sup>) Wydawany w Polsce także od 1944 r. do Kongresu Zjednoczeniowego (PPR i PPS utworzyły PZPR) w grudniu 1948 r.; ukazywały się także odmiany „Robotnika” za granicą, publikowane przez różne odłamy PPS.

<sup>40</sup>) Komitet Centralny Polskiej Partii Robotniczej określił pożądane proporcje – jeden funkcjonariusz tego ministerstwa na dwustu obywateli...



znaczenie w realnym boju<sup>41</sup>). Ale potem tak się ułożyły moje losy w wojsku, że nigdy nie nosiłam broni i nie strzelałam. Usiłowano mnie namawiać, abym jako oficer nosiła ten swój przydzielony rewolwer Nagant, ale ja nawet go nie wyfasowałam i zawsze odpowiadałam, że przecież ja pierwsza nie wyciągnę broni nawet w obliczu zagrożenia, więc po co mam nosić kilo żelastwa u boku?

Po paru miesiącach tej szkoły opanowałam odpowiednią frazeologię „oświatową” i „wychowawczą”, nauczyłam się nią posługiwać nie burząc swoich własnych przekonań patriotycznych i innych. Przychodziło mi to o tyle łatwo, że w czasie pracy Delegaturze w Akmolińsku zajęła się mną, młodą dziewczyną, pani Pilichowska, prawnik i znana przed wojną socjalistka<sup>42</sup>). Prowadziła ze mną rozmowy znacznie wykraczające tematyką i horyzontami poza wiedzę wyniesioną przeze mnie ze szkoły średniej.

Nauka w tej szkole była o tyle łatwiejsza, że już wyraźnie było widać, że droga I Armii wiedzie jednak na zachód, do Polski, a nie do Kazachstanu. Akceptacja mundurów, które nam nałożono, dla nas wszystkich wynikała właśnie z tej okoliczności. Generał Berling miał być tym, który wywiedzie nas z sowieckiej niewoli. Wrażenie swojskości potęgowały wspomniane liczne hasła patriotyczne umieszczane na ziemiankach, w stylu „Idziemy do Ciebie – Ziemi Matko Nasza!” itp. Rano w szykach zwartych na apelu obowiązkowo wojsko śpiewało „Kiedy ranne wstają zorze”, a wieczorem dzień żegnaliśmy pieśnią „Wszystkie nasze dzienne sprawy...”. To był niewątpliwie polski obyczaj żołnierski – niewątpliwie Wojsko Polskie, tak myślałyśmy na samym początku i później. Dopiero w Lublinie mogły nas ogarnąć inne myśli.

Po szkole skierowano mnie do Żytomierza, gdzie formował się II Batalion Kobiety z kobiet z Wołynia i Podola. Dowódcą była Stasia Zawadecka, starsza ode mnie (potem była przewodniczącą Ligi Kobiet), a ja byłam jej zastępcą. Dziewczęta trzeba było szkolić, nie były umundurowane (brakowało sortów w magazynach), co utrudniało szkolenie. Gdy już znalazły się w Żytomierzu, bały się, że ziemię, na których mieszkają, mogą wrócić – jak w 1939 r. – pod władzę Sowietów. Obawy były zasadne, jak wiemy, a pobór tych kobiet do wojsk ratował je przed gwałtami, morderstwami, napaściami, podpaleniami wsi, jakich dokonywali na tamtych terenach nacjonałiści ukraińscy.

Kobiety pozostały pełniąc służbę wartowniczą (bardzo rygorystycznie, co zaznaczam raz jeszcze), a mnie oddelegowano jako dowódcę konwoju kilkunastu ciężarówek ze sprzętem i zaopatrzeniem, zmierzającego do Lublina; dotarliśmy tam bez przeszkód.

Któregoś dnia wczesnym rankiem obudzono mnie, bym szybko sprowadziła jakiegoś lekarza, bowiem jedna z dziewcząt ciężko zaniemogła i ma straszne bóle. Została przy niej ppor. Zawadecka, a ja biegiem i szybkim marszem do szpitala, zatrzymywana przez liczne warty, musiałam się opowiadać hasłem. Obudziłam dyżurnego lekarza i z nim już jeepem z powrotem do obolałej i cierpiącej dziewczyny. A tam, jak się okazało, urodziło się dziecko! Przyjęłyśmy to jako wielkie szczęście, każda chciała coś uszyć dla maleństwa, coś w ogóle zrobić, Cudowne to było. Ppor. Zawadecka opowiadała mi potem, że zorientowała się, że ona rodzi i mówiła jej „- Słuchajcie, wy rodzicie!” a ona odpowiadała „- Jak Boga kocham, pani porucznik – NIE!”. Urodziła po dwóch czy trzech miesiącach pobytu w wojsku i nikt nie zauważył jej ciąży! Chwała komisji lekarskiej! Albo brak kompetencji medycznych, ale raczej głęboka znajomość życia w Rosji sowieckiej: przy wojsku i ona, i dziecko przeżyją...

Nadeszły żniwa 1944 r. i nasze dziewczyny -wojacy, w ogromnej większości córki rolników, uważały, że tu marnuje się czas na jakieś bezrozumne czynności wojskowe, a tam są potrzebne ręce do pomocy w polu, zboże czeka na żniwo – i uciekły pracować! Dezercja to przecież straszna rzecz, złapano je naturalnie, odstawiono do Żytomierza i wsadzono do aresztu. Sąd odbył się szybko, były wielkie kary za dezercję – lecz po kilkunastu dniach całkowita amnestia; co dalej było z tymi dziewczętami, nie wiem, ale pewnie nie rozstrzelano

<sup>41</sup>) Gdzieś wyczytałam, że II Wojnie światowej od bagnatów zginęła śladowa liczba żołnierzy, od postrzałów z osobistej broni strzeleckiej niespełna 2%, za to pociski moździerzowe spowodowały aż około 30% ofiar!

<sup>42</sup>) Przyjaźniła się nawet z Wandą Wasilewską, lecz od czasu, gdy Wasilewska założyła Związek Patriotów Polskich – Wasilewskiej nie znosiła i nawet nie mogła spokojnie o niej mówić.



żadnej, jak by się należało w czasie wojny, przecież one poszły do pracy z obywatelskiego poniekąd obowiązku...

W Żytomierzu zwróciłam uwagę na Annę Jakubiszyn<sup>43</sup>), która ukończyła już 2 lata filologii francuskiej, więc zapromowałam ją do wojskowej gazety „Zwycięzimy”, gdzie była cenioną i bardzo potrzebną korektorką. Gazeta bardzo szybko doszła do przekonania, że nie można publikować bez jej pracy. Warunki bytowe miała ciężkie, ale dzielnie wszystko przetrwała.

Mieszkałam wtedy w chałupie tuż nad rzeką, Ania przychodziła do mnie kąpać się. Rzeka była dziwna, zdrażliwa, płynęła to głębokimi jeziorkami, to znów było płytkie kamieniste dno, niektóre odcinki można było przejść w butach nawet. Ania miała piękne kasztanowe włosy, upięte w dwa grube warkocze, chciała je w wodzie poprawić - wpadła w jakąś dziurę i zaczęła się topić. Zaczęłam ją ratować, ale nie dawałam rady. Na wysokim brzegu stał żołnierz radziecki i przykładając ręce w tubę do ust wykrzyczał: „- *Czto – ona toniet?!?*”. Mówić nie mogłam, pokiwałam głową, on błyskawicznie zdjął pas, czapkę i buty, pędem zbiegł z tego wzgórzka i wyciągnął Anię, nawet udzielił pierwszej pomocy. Ania potem odnalazła jego jednostkę w Żytomierzu, zameldowała się u dowódcy, podarowała temu żołnierzowi paczkę, jaką właśnie dostała od swojej matki, co więcej – napisała o zdarzeniu w swojej gazecie. Rozpisuję się o tym, bowiem było to jedno z najbardziej wyrazistych emocjonalnie przeżyć w mojej służbie wojskowej. Bardzo blisko nas siedziało dwóch Ukraińców – i żaden z nich nie ruszył się ratować tonącej młodej kobiety! Tylko z tego powodu się nie ruszyli z miejsca, że obie byliśmy polskiej narodowości! Pomógł zaś będący znacznie dalej Rosjanin, po prostu człowiek.

Z Żytomierza pamiętam też straszliwe bombardowanie niemieckie. Schroniłam się w jakiejś piwnicy, Dziewczyna, chyba mieszkanka tego domu, zapytała: „- *Diewoczka, a wy iz kakoj-że armii?*” – a ja, że z polskiej. Dotykała moich epoletów, obejmowała mnie, a na koniec powiedziała: „- *Ja toże Polka*”, a potem odsłoniła spod jakiś worków regały pełne książek polskich, Paderewski, Sienkiewicz itd. Ucałowałyśmy się po wyjściu ze schronu, więcej nie widziałyśmy się. Ale często o tym opowiadam. Ilekroć słyszałam cokolwiek o Paderewskim – natychmiast przychodziła mi na myśl scena w piwnicy, polskie książki ukryte za kotarą z worka.

## Lublin

Z Żytomierza, jak wspomniałam, wyruszałam do Lublina jako dowódca kolumny samochodowej wiozącej sprzęt i zaopatrzenie. Wszędzie na postojach zaraz pojawiali się Polacy, którzy pytali, co z nami będzie, czy Sowieci opuszczą Wołyń? Odpowiadałam wymijająco, któż mógł przewidzieć, jak się potoczą moje i ich losy, co zostanie zadecydowane w sprawach granic Polski? Na szkoleniach wbijano nam na szkoleniach politycznych do głów linię Curzona – która oryginalnie, jeszcze z lat Wielkiej Wojny 1914 - 1917, miała mniej korzystny przebieg, niż ostatecznie to zadecydowano w Poczdamie. Poza tym, mieliśmy przecież jak najgorsze doświadczenia z „falowaniem” naszego polskiego obywatelstwa.

W Lublinie skierowano mnie, ku mojemu niezadowoleniu, do Głównego Zarządu Polityczno – Wychowawczego Wojska Polskiego. Było to środowisko składające się zwłaszcza na wyższych szczeblach z byłych członków KPP i – jak można się domyślać – popierali tylko swoich. Nie otrzymałam jednak funkcji politycznej, lecz zupełnie nieoczekiwanie zostałam „instruktorem propagandy artystycznej”. Miałam odtąd organizować imprezy kulturalne, pracę świetlic, a także okolicznościowych „akademii ku czci”<sup>44</sup>), co w tamtych czasach odbywało się bardzo często. Nader często potem, po upadku Powstania Warszawskiego, zgłaszali się do nas dosyć licznie artyści z Warszawy, różnych kategorii i klasy, o bardzo zróżnicowanych umiejętnościach – oni chcieli grać dla Wojska Polskiego, a przy tym otrzymać wynagrodzenie w naturze,

<sup>43</sup>) Z męża Tatarkiewicz, znana potem i ceniona publicystka, inicjująca wiele ogólnokrajowych dyskusji na różne tematy kulturalno-społeczne i na poboczu polityki i często zabierająca głos o decydującym znaczeniu.

<sup>44</sup>) Już wtedy akademie miały tendencję do schematyzmu, choć jeszcze nie jak w dowcipie z I połowy lat '50: Na akademii uczestnicy dziarsko skandują „Stalin – Bierut – Rokossowski! Stalin – Bierut – Rokossowski!” i pytanie: ku czyjej czci była ta akademia? – Jasne, że ku czci Leonarda da Vinci!



głównie żywność. Wychodziło to naprzeciw moim obowiązkom i chętnie organizowałam z ich udziałem przedstawienia, koncerty, uświetniali akademie, etc.

We wrześniu 1944 r. skierowano mnie – w formie propozycji, którą chętnie przyjąłam, na zastępcę komendanta Szpitala Ewakuacyjnego Nr 64. Odpowiadało to moim chęciom pomagania ludziom pokrzywdzonym przez los, rannym. Ponadto zespół lekarski składał się z ludzi o wysokich umiejętnościach lekarskich, świetnym przygotowaniu zawodowym – jak powszechnie uważano, a przy tym ofiarnych i oddanych pacjentom. Znaczna część tych lekarzy miała za sobą przeszłość w AK. Komendantem był oficer sowiecki, a ponadto pracowało w szpitalu dwóch innych lekarzy sowieckich.

Z polskiego zespołu należy wymienić lekarzy: Kazimierza Hołotę, Tadeusza Mockało, St. Lorenza, Edwarda Gorzowskiego, a także stomatologa panią Grabowicz – Perskiewicz. Tych lekarzy zapamiętałam, z kilkoma osobami utrzymywałam w miarę możliwości kontakty i przez wiele lat po wojnie, jeszcze w latach '80.

Wielu z naszych pacjentów stanowili żołnierze Armii Krajowej, którzy przepłynęli Wisłę w czasie Powstania Warszawskiego lub zostali ranni przed dostaniem się do Warszawy. Opiekowano się nimi, przedłużano pobyt – zatajano, skąd oni są. Ujawnienie faktu, że z AK – mogło nieść bardzo niedobre skutki i dla nich, i dla lekarzy. Jednak ani lekarze sowieccy, ani chyba działająca w szpitalu Informacja wojskowa niczego się nie domyślali.

Wtedy, w Lublinie, dowiedziałam się, że PKWN pozwalała NKWD i polskiemu bezpieczeństwu na krwawe rozprawy z żołnierzami AK i innymi ruchów niepodległościowych, na brutalne represje. Doskonale wiedziałam przecież, czym jest system sowiecki – a tu żołnierze AK szczerze i otwarcie się wypowiadali, w sierpniu 1944 chodzili w mundurach z biało-czerwonymi opaskami. W tym czasie odwiedziłam w Lublinie stryjenkę mojej przyjaciółki także deportowanej z Kobrynia do Kazachstanu, Marii Surackiej (wyszła z Kazachstanu z armią gen. Andersa, zamężna z Frankiem Muchlińskim, mieszkająca do dziś w Anglii). Wspomniana stryjenka prowadziła dochodowe przedsiębiorstwo hurtu spożywczego i chętnie na znaczną skalę wspierała finansowo AK. Spotkałam u niej wiele osób, krewnych Marysi, z różnych okolic Lubelszczyzny. Mając do mnie pełne zaufanie – opowiadano tam sobie przerażające wieści o fizycznym niszczeniu całych grup żołnierzy AK. Jednak nawet my, tam zebrani, choć wiedzieliśmy więcej, niż inni – nie zdawaliśmy sobie sprawy z rzeczywiście, ogromnej skali tego mordowania.

Do mnie docierały i inne informacje. Oto mój dawny dowódca kompanii, dobrze mi znany por. Woźniak, nawiązał w Warszawie kontakt z pewnym praskim oddziałem AK i został natychmiast aresztowany i rozstrzelany. Potem spotkałam w Lublinie por. Pisulę, który był wówczas adiutantem generała Aleksandra Zawadzkiego (Pisula później, jak się dowiedziałam z gazet, został ministrem przemysłu spożywczego i skupu); był on w stanie okropnego szoku. Wracał bowiem bezpośrednio z miejsca (nie powiedział, gdzie) w którym przetrzymywano dużą grupę żołnierzy AK. Jego szef, późniejszy przewodniczący Rady Państwa, osobiście raczył strzelać z pistoletu w tłum akowców stłoczony w jakiejś sali. „– Oni krzyczeli – opowiadał por. Pisula – Walczyliśmy za Polskę! Dlaczego nas zabijacie?!”. Strwożona niemal jak w areszcie NKWD wysłuchałam tego, siedzieliśmy w zacisznej kawiarni, przy kieliszku wina... Z naszymi lekarzami jednak nigdy na ten temat nie rozmawiałam – obawiałam się, że informacja o faktach lub o osobie je podającej może dojść do niepowołanych uszu. Rozumieliśmy się w tych sprawach bez słów.

W Lublinie w niedzielę w naszym szpitalu odbywały się msze, odprawiane na półpiętrze przez kapelana szpitala. Dzięki takiemu umiejscowieniu ołtarza większa liczba uczestników mogła obserwować kapłana składającego ofiarę – środkiem trakt schodów w górę (poniżej schodów też stali wierni), potem schody po bokach, na piętrze za barierką też tłoczyli się wierni. W grudniu 1944 r. w pewną niedzielę, akurat w trakcie mszy, przywieziono do szpitala samochodami ciężarowymi wielu rannych, na noszach i tylko przykrytych kocami. Padał mokry śnieg, rannych wnoszono do kąpieli (był to gmach gimnazjum, na parterze w szatni urządzono łaźnię i dezynsekcję), potem przenoszono ich parę kroków dalej, do izby przyjęć. Stałam wśród rannych. Cichy szmer i lekkie poruszenie oczywiście mogły księdzu przeszkadzać w sprawowaniu ofiary. Staraliśmy się zachowywać bardzo cicho, ale przecież szpitale są dla rannych. Ksiądz odwrócił się od ołtarza i



zwracając się do mnie, jakby winnej całego tego poruszenia, surowo powiedział: ”- Porucznik Ochnikówna! Proszę zaprzestać tych praktyk i pozwolić mi odbyć mszę świętą w ciszy i spokoju!!!”. Musiałam odpowiedzieć z całym szacunkiem: „- Ci ranni biedacy muszą jak najszybciej znaleźć się w szpitalu i otrzymać pomoc. Żołnierze – pacjenci widzą, jaka jest pogoda i że nie można ich w żadnym wypadku trzymać na śniegu z deszczem, dopóki się msza nie skończy!” Dostałam oklaski od wiernych, po czym niezwłocznie spontanicznie odmówiono Ojcie Nasz i Zdrowaś Mario w intencji zdrowia nowoprzybyłych rannych. Sześć lat później, w 1950 r., gdy w Poznaniu jechałam tramwajem z dwójką małych dzieci, podszedł do mnie ten kapelan i zapytał: „- Porucznik Ochnikówna?” A ja, że „- Już nie porucznik i już nie Ochnikówna, ale matka dzieciom, proszę księdza”. Podał mi kartkę z adresem swojej plebanii mówiąc, że „- Miała Pani rację, taka młoda była pani, ja często myślę o pani.” Zaprosił mnie z mężem i dziećmi na swoją plebanię. No - cóż, samochodu wtedy nie mieliśmy, podróż pociągiem i furmankami byłaby uciążliwa, więc podziękowałam księdzu za miłe słowa dobrej w sumie oceny mojej pracy. Ucieszyło mnie jego zrozumienie, choćby ponieważ, powinności szpitala i obowiązków personelu, stojących w tym przypadku nawet ponad niedzielną mszą.

W Lublinie ulegałam wypadkowi samochodowemu – sowiecki kierowca nagle (pewnie pijany) wjechał na chodnik i potrafił mnie. Powstałe wtedy uszkodzenia kręgosłupa, początkowo niespecjalnie dokuczliwe, z biegiem lat nasilały się, powstało zniekształcenie stawu biodrowego najpierw jednego, potem drugiego. Obecnie mam endoprotezy obu stawów biodrowych i choć do niedawna poruszałam się o kuli, potem o dwóch, dosyć dziarsko, chodziłam na spacer, to teraz już jednak moja ruchliwość i samodzielność w ostatnim roku znacznie się zmniejszyły; to bezpośredni skutek tego wypadku.

Wiosną 1945 r. nasz szpital ewakuacyjny<sup>45</sup>), liczący wtedy już około 1000 łóżek, został przeniesiony do Bydgoszczy, do budynku gimnazjum humanistycznego, rolniczego i jakaś inna jeszcze szkoła tam była, obok niewielki budynek administracji. Wojna kończyła się, a rannych przybywało, między innymi dlatego, że poprawiała się szybkość pomocy i możliwości przewożenia rannych do punktów pomocy sanitarnej i potem lekarskiej. Przywożono wielką liczbę rannych zwłaszcza z Wału Pomorskiego, a potem z walk o Kołobrzeg. Mieliśmy w szczycie 1000 łóżek, zajmowanych przez rannych głównie z uszkodzeniami kończyn.

W szpitalu mieliśmy trzech narkomanów, którzy przy ciężkich bólach dostali morfinę, a potem wrzeszcząc na cały szpital domagali się dodatkowych porcji morfiny<sup>46</sup>). Jedna z moich współpracownic popełniła w Bydgoszczy samobójstwo – była po ciężkim śledztwie w NKWD. Cały czas była smutna, bardzo dużo pracowała, rano przed śniadaniem pilnowała ważenia chleba na porcje, zawsze była gotowa do niesienia pomocy przy pisaniu listu. Jej śmierć wiosną 1945 r. wstrząsnęła wszystkimi; kapelan się zastanawiał, czy może ją odprowadzić na cmentarz. Opowiedziałam mu jej losy, on sam też był po obozie, więc już nie miał wątpliwości.

Ozdrowieńcy coraz częściej „porozumiewali się” z pielęgniarkami i urządzaliśmy śluby. Jeden z ozdrowieńców, dyplomowany rolnik, pojął pielęgniarkę za żonę i objął gospodarstwo rolne, więc mieliśmy dodatkowe prowianty na takie uroczystości. Żołnierze wychodzący ze szpitala dostawali gospodarstwa, dziewczęta zatrudnione w szpitalu zwalniano do cywila, a żołnierz po ranach nie od razu był zdolny do życia bez pomocy. Z rozczeniem wspominam swojego ordynansa<sup>47</sup>), która będąc na przyznanym im gospodarstwie wpadała do mnie, aby mi coś przynieść do zjedzenia. Na nic zdawały się moje wywody, że ja mam tutaj przecież wszystko, a ona na to, ”- Aby pani porucznik o mnie pamiętała...”. Nie paliłam, ale przysługujące mi na kartki papierosy chowałam na wymianę na cywilne ciuchy, więc oddawałam je dla jej męża. Ona powiadała, że on nie powinien palić, „- Więc zostaw sobie na coś innego” - mówiłam.

<sup>45</sup>) Tj. szpital przeznaczony dla poważniejszych przypadków, wymagających operacji i skomplikowanego leczenia, położony zwykle na dalszym zapleczu frontu.

<sup>46</sup>) Inna rzecz, że najcenniejszym dla Armii Czerwonej łupem były niemieckie ... sanitarki... Morfina szła do wyższych oficerów, niższe szarże zadawały się na przykład picie eteru...

<sup>47</sup>) To określenie funkcji żołnierza nie było wtedy używane, jako zbyt „pańskie”.



Cała jedna wioska była pełna ozdrowieńców i jak się potem dowiedziałam, gdy ich wzorem radzieckim chciano skolektywizować, stanęli murem w obronie swej własności.

Drugą taką wioską było Platerowo, gdzie nadawano ziemię dziewczynom z Batalionu Kobiecego im. Emilii Plater. Biedne były te dziewczyny z gospodarstwem, lecz bez gospodarza, czyli chłopca - nie dawały rady. Potem powychodziły za mąż, jakże często przypadkowo. Był później nawet zjazd żołnierek z Bab - Batu, ponad 25 lat temu. Odwiedziłam wtedy m.in. cmentarz przy zabytkowym kościółku - spoczywało na nim wiele bardzo młodych kobiet, z datami śmierci już powojennymi. One po prostu umierały z przepracowania, bowiem w poczuciu obowiązku, jako chłopki, ciągnęły gospodarkę pracą ponad siły... Władza ludowa wynagrodziła je, jak najlepiej umiała - i wedle swoich wyobrażeń; pewnie przypuszczano przy tym, że samotne kobiety będą podatne na kolektywizację, co miałyby dodatkowy walor propagandowy.

Po odwołaniu gen. Berlinga za próbę pomocy powstańcom warszawskich<sup>48</sup>), nasi ranni na znak protestu wyrzucili na ulicę jedzenie. Była to dla mnie straszna rzecz z dwóch powodów. Po pierwsze, jako zastępca komendanta szpitala ds. pol-wych byłam odpowiedzialna za ich „morale i dyscyplinę”, a po drugie, – nadal nie mieściło mi się w głowie – po latach głodu w Kazachstanie i po więzieniach – beztróskkie wyrzucanie jedzenia! Po trzecie, wyrzucali też przecież ludzkie ciała po obozach i innych syberyjskich przejściach, do wojska trafiali prosto z łagrów, co w moim mniemaniu było tym dramatyczniejsze – więcej już nic nie mogli zrobić, nie było bardziej radykalnej formy protestu. Szybko uprzątnięto ulicę i to wydarzenie rozeszło się jednak po kościach. Gen. Berling był naprawdę w wojsku lubiany i ceniony.

Na początku 1954 r. otrzymałam stopień pełnego już porucznika. Ale we wrześniu tegoż roku dwukrotnie składałam raport z prośbą o zwolnienie z wojska, co motywowałam chęcią podjęcia wyższych studiów. W istocie jednak nie chciałam pozostawać dalej w wojsku. Jedną z sowieckich „czujnych” lekarek zaczęła mnie atakować, że nie prowadzę żadnej „pracy polityczno-wychowawczej”. Była to prawda – ja chciałam pomagać rannym nie przez komunały i frazesy i popisy „czujności proletariackiej”, lecz bardziej bezpośrednio, przez dodawanie otuchy życiowej. W dodatku nasz szpital przemianowano na „garnizonowy”, co zmieniło całkowicie sposób jego działania i warunki pracy w nim zastępcy komendanta, którą to funkcję nadal tam pełniłam.

Dwukrotnie stawałam do raportu i ostatecznie zwolniono mnie z wojska. Byłam szczęśliwa. Jakieś cywilne odzienie miałam, papierosy i alkohol (były na kartki) wymieniłam. W kantynie oficerskiej można też było kupić tuszonkę, bardzo wtedy poszukiwaną na bazarach. Do tzw. dużej matury przygotowywałam się już w wojsku. Dyrektor pewnego liceum w Bydgoszczy skontaktował mnie z młodą kadrą nauczycielską z tej szkoły. Dali mi książki, zadawali materiał, odpytywali, przekazywali innym. Było cudownie – młodzi, życzliwi profesorowie gimnazjalni, pomoc, zrozumienie. Rewanżowała się, jak mogłam tymi przydziałami. Ale z matematyką było najgorzej, uczyła mnie pewna nauczycielka z Poznania – nie chciała zapłaty, choć u niej było bardzo skromnie. Dostała mieszkanie i pracę w Nowej Soli, została dyrektorką gimnazjum. Ileż razy ciepło o niej myślałam z ogromną wdzięcznością i jak jej w sercu dziękowałam.

### Losy powojenne

Z Bydgoszczy wyjechałam do Poznania, w celu podjęcia studiów, i tu zaczęły się schody. Brak mieszkania (już nie pokoju – niechby komórki!), dwie noce na dworze, w końcu jakiś wspólny pokój, zimno, głodno, najgorszy jednak był brak życzliwości. Chodziłam w mundurze przefarbowanym na brązowo, widocznie wyglądałam na wojskowego – krok, postawa – co wywoływało brak zaufania.

W końcu 1945 r. zapisałam się w Poznaniu na wydział prawno – ekonomiczny, sekcja ekonomiczna Uniwersytetu Poznańskiego (od 1955 r. Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza), początkowo jako wolny

<sup>48</sup>) Inna rzecz, że nie udzielono mu wsparcia artyleryjskiego i innej pomocy ze strony armii sowieckiej. Łączne straty kościuszkowców w ciągu paru dni tej „pomocy” były większe, niż armii gen. Andersa pod Monte Cassino – w bitwie, która trwała wiele dni!



słuchacz; musiałam bowiem uzupełnić maturę (zdałam ją w lutym 1946 r.). Ukończyłam trzy lata studiów, lecz w kwietniu 1947 r. wyszłam za mąż za kolegę ze studiów, inwalidę wojennego po AK. W 1948 r. urodziłam syna, w 1950 r. córkę, w 1956 r. – drugiego syna.

Tu wydaje mi się potrzebne pewne wspomnienie. Na pierwszym roku mojego wydziału prawno – ekonomicznego, starostą roku został Janusz Z. Miał on bardzo dobre formy, dobry, szary garnitur, a w klapie ostentacyjnie nosił krzyżyk sodalicii mariańskiej... Wzbudziło to we mnie nieufność i podejrzenia, a przebieg jego późniejszej kariery potwierdzał te podejrzenia. Pod koniec studiów wyjechał do Oxfordu, został redaktorem, zaliczył lukratywne placówki zagraniczne, a u Lecha Wałęsy był za szefa kancelarii... Być może po moich przejściach byłam zbyt podejrzliwa, lecz wydaje mi się, że po prostu pewne spraw widziałam wyraźnie i jaśniej, zaznajomiwszy się na swojej skórze z metodami działania nowego ustroju.

W kwietniu 1946 r. w ramach repatriacji z Kazachstanu powróciła moja Matka, bez butów i odzieży, chora, zawszona. Sam byłam głodna, ale dzieliłam się przecież jedzeniem z Matką. Udało mi się załatwić dla niej lokum – pokój w pewnym domu w podpoznańskiej Mosinie. Jakie to były ciężkie czasy! Do mojej Matki odnoszono się jak do jakiejś „pół - ruskiej”. Po co tam, do tego Kazachstanu pojechała – nie mogli się nadziwić Wielkopolanie. Choć sami mieli doświadczenia z wysiedlaniem przez Niemców (jak rodzina mojego męża, deportowana z Wągrowca do Zamościa). A po co mieszkaliśmy aż na Polesiu!? I takie zdziwienie wyrażała na przykład moja teściowa, skądinąd z zawodu nauczyciel języków obcych, żona lekarza powiatowego, co dawało wysoką pozycję towarzyską i bardzo godziwe dochody. Ja odpowiadałam grzecznie, że „- Tam przecież była Polska”, a na to teściowa niegrzecznie wrzuszała ramionami... Nie jestem pewna, czy ona w ogóle знаła geografię Polski.

Ponadto, w tamtym okresie musiałam mieć jeszcze staranie o mojego młodszego brata Henryka. Załatwiłam mu przyjęcie do wojskowej szkoły oficerów samochodowych i do końca pracy zawodowej pracował już w transporcie samochodowym. Pomógł mi w takim ustawieniu brata pewien pułkownik (nie pamiętam nazwiska), jeszcze przedwojenny oficer sądząc po formach.

Po odchowaniu dzieci podejmowałam pracę w różnych miejscach, w „Domu Książki” w Poznaniu, po przeprowadzeniu się do Warszawy – w Ministerstwie Kultury, potem w piśmie branżowym „Weteran Walki i Pracy” (pismo spółdzielczości inwalidzkiej), w centrali zarządu „Społem”, a po wyjeździe z mężem na placówkę do Budapesztu w 1978 r., pracowałam w ambasadzie polskiej.

W 1979 r. uzyskałam – na podstawie obrażeń odniesionych we wspomnianym wypadku drogowym i ich skutków prawa inwalidy wojennego. Od 1982 r. jestem na emeryturze.

Potem mnie jeszcze przed dwoma laty awansowano do stopnia majora rezerwy – jako gest uhonorowania.



IV. KORESPONDENCJA Z FAX

- listy i e-mail'e z lat 1998-2008.





© Konkret Pictura  
34 0024



*Classie*

Konkret Pictura Sp. z o.o.  
05-090 Raszyn, ul. Sasanki 25  
tel. 022 720-65-54 (5S), fax 022 720-65-56  
e-mail: konkret@konkret.com.pl  
www.studiokonkret.pl



GRUPA CENOWA: **K1**  
  
5 905374 001484 >



*Wrodzinowe życzenia*



Wielec Szanowna i Droga  
Pani Profesor,  
Serdecznie dziękuję za  
zaproszenie na uroczystość  
Pani Urzeklich,  
Ze względu na zdrowotny  
nie mogłam przybyć  
Jeszcze Pani Profesor na-  
dał dobrego zobrażenia  
okno tęczowa adylerca  
osobisty.  
W wyrażeniu serdecz-  
nie i szanowna

*Dużo szczęścia i radości,  
zdrowia, wszelkiej pomyślności  
i wspólnych marzeń kilka,  
niech radośna będzie  
każda chwilka.*

FUNDACJA  
"Archiwum i Muzeum Pomorskie  
Armii Krajowej oraz Wojskowej Służby Polek"  
w Toruniu

Wpłynęła dnia 30 00 8r.  
L. cz. 613/WSK-42/08

Załączniki.....  
Płatności.....



l. dz.  
i adres do  
teczki Genowefy  
Likowskiej z a  
Ochnik

WIRTUALNA POLSKA

www.wp.pl

Data: Środa, 16 Kwietnia 2008 04:02

Od: Jacek A. Likowski <jacek-a-likowski@o2.pl>

Do: Fundacja AK (fapak) <fapak@wp.pl>

Temat: Re: Dla p. Genowefy Likowskiej

Miła Pani,

Z przykrością, w imieniu mojej matki, Genowefy Likowskiej, z domu Ochnik, dowiaduję się o niepomyślnym stanie zdrowia Pani Zawackiej. Moja Matka ma lat 88, rozumiemy więc czas... Niemniej życzymy Pani Zawackiej jeszcze tylu lat życia, ile Ona sama sobie zażyczy. Czego i ja, i moja Matka, życzymy jej - w jak najlepszym zdrowiu - jak najwięcej.

Dziękując za informację ważną dla mojej Matki,

Pozdrawiam z najwyższym szacunkiem,

Jacek Andrzej Likowski

(syn Genowefy Likowskiej nee Ochnik)

----- Wiadomość oryginalna -----

Od: "Fundacja AK (fapak)" <fapak@wp.pl>

Do: "Jacek A. Likowski" <jacek-a-likowski@o2.pl>

Wysłano: 15 kwietnia 2008 18:02

Temat: Dla p. Genowefy Likowskiej

- > Szanowna Pani,
- > W imieniu prof. Elżbiety Zawackiej, która niestety niezbyt dobrze się
- > czuje, dziękuję za miłe życzenia urodzinowe. Uroczystości z okazji
- > urodzin Pani Profesor bardzo się udały, władze miejskie zorganizowały
- > koncert orkiestry wojskowej pod balkonem Pani Profesor, a w naszej
- > fundacji miało miejsce uroczyste otwarcie wystawy "Polka 1939-1945" z
- > udziałem dość licznie przybyłych gości, w tym wielu kombatantek. Pani
- > Profesor była bardzo zadowolona, mimo że stan zdrowia nie pozwolił jej
- > przyjechać na otwarcie wystawy. Informacje o tych uroczystościach będą
- > zamieszczone w naszym biuletynie.
- > Dziękuję także za przesłane kserokopie dokumentów dotyczących Pani
- > służby wojennej (łącznie 9 kartek). Zostały dołączone do Pani teczki
- > osobowej o sygn. 520/WSK.
- > Załączam pozdrowienia i życzenia zdrowia od Pani Profesor.
- > Z wyrazami szacunku
- > Dorota Krump
- > Sekretarka prof. Elżbiety Zawackiej

- > -----
- > Najpiękniejszy głos kobiecego jazzu - STACEY KENT
- > 16.05 20:00 Warszawa, 17.05 20:00 Poznań
- > bilety: Ticketonline, Ticketpro, Shortcut, Eventim
- > <http://klik.wp.pl/?adr=http%3A%2F%2Fcerto.www.wp.pl%2Fas%2Fken>

Odp

DRUKUJ

FUNDACJA  
"Archiwum i Muzeum Pomorskie  
Armi Krajowej oraz Wojskowej Służby Polek"  
w Toruniu

Wpłynęła dnia: 16.04.2008

L. dz.: 1109 / WSK-412/08

Załączniki:

Referent:

l. dz. 1109 / WSK-412/08

od p. me  
l. dz. 613 / WSK-  
412 / 08



**WIRTUALNA POLSKA****DRUKUJ**Wydrukowane ze stron: [poczta.wp.pl](http://poczta.wp.pl)**Data:** Wtorek, 15 Kwietnia 2008 18:02**Od:** Fundacja AK (fapak) <[fapak@wp.pl](mailto:fapak@wp.pl)>**Do:** Jacek A. Likowski <[jacek-a-likowski@o2.pl](mailto:jacek-a-likowski@o2.pl)>**Temat:** Dla p. Genowefy Likowskiej

Szanowna Pani,

W imieniu prof. Elżbiety Zawackiej, która niestety niezbyt dobrze się czuje, dziękuję za miłe życzenia urodzinowe. Uroczystości z okazji urodzin Pani Profesor bardzo się udały, władze miejskie zorganizowały koncert orkiestry wojskowej pod balkonem Pani Profesor, a w naszej fundacji miało miejsce uroczyste otwarcie wystawy "Polka 1939-1945" z udziałem dość licznie przybyłych gości, w tym wielu kombatantek. Pani Profesor była bardzo zadowolona, mimo że stan zdrowia nie pozwolił jej przyjechać na otwarcie wystawy. Informacje o tych uroczystościach będą zamieszczone w naszym biuletynie.

Dziękuję także za przesłane kserokopie dokumentów dotyczących Pani służby wojennej (łącznie 9 kartek). Zostały dołączone do Pani teczeki osobowej o sygn. 520/WSK.

Załączam pozdrowienia i życzenia zdrowia od Pani Profesor.

Z wyrazami szacunku

Dorota Kromp

Sekretarka prof. Elżbiety Zawackiej

---

Najpiękniejszy głos kobiecego jazzu - STACEY KENT

16.05 20:00 Warszawa, 17.05 20:00 Poznań

bilety: Ticketonline, Ticketpro, Shortcut, Eventim

<http://kliik.wp.pl/?adr=http%3A%2F%2Fcerto.www.wp.pl%2Fas%2Fkentwpolsce.html&sid=312>





DRUKUJ

Wydrukowane ze stron: poczta.wp.pl

**Data:** Niedziela, 6 Stycznia 2008 16:25**Od:** Jacek A. Likowski <jacek-a-likowski@o2.pl>**Do:** Fundacja AK (fapak) <fapak@wp.pl>**Temat:** Re: Genowefa Likowska

L.dz. 143 / WSK-412/08

Szanowna Pani,

Bardzo się cieszę z odznaki, jaką moja Matka otrzymała od Fundacji i jestem wraz z nią dumny z niej.

Dziękuję za dołączenie wspomnień do teczki Matki.

Moja Matka prosi o przekazanie Pani Profesor serdecznych życzeń na Nowy Rok.

Pozostaję z szacunkiem,

Jacek A. Likowski

----- Wiadomość oryginalna -----

Od: "Fundacja AK (fapak)" &lt;fapak@wp.pl&gt;

Do: "Jacek A. Likowski" &lt;jacek-a-likowski@o2.pl&gt;

Wysłano: 6 stycznia 2008 13:56

- > Szanowny Panie,
- > Przepraszając za opóźnienie w odpowiedzi dziękuję za mail z 31 X 2007 r.
- > i za przesłane wspomnienia Pana Matki Genowefy Likowskiej. Zostały
- > dołączone do jej teczki osobowej o sygn. 520/WSK znajdującej się w
- > naszym Archiwum Wojennej Służby Kobiet.
- > Pani Profesor prosi o przekazanie dla Pana Matki najlepszych życzeń
- > noworocznych. Poczta wysłałiśmy do Niej wraz z naszym Biuletynem Odznakę
- > Pamiątkową Memoriału Generał Marii Wittek i podziękowanie za
- > dotychczasową współpracę.
- >
- > Z wyrazami szacunku
- > Dorota Kromp
- > Sekretarka prof. Elżbiety Zawackiej
- >
- > -----
- > Komedie o niejednej miłości
- > według pomysłu Ilony Łepkowskiej autorki scenariusza "Nigdy w Życiu"
- > Danuta Stenka i Jan Frycz "JESZCZE RAZ" tylko w kinach!
- > <http://klik.wp.pl/?adr=www.jeszczeraż.wp.pl&sid=171>
- >
- >



L. dz. 531/EZ/08  
Do G. Litowskiej Kopia

Projekt: Marzanna Wróblewska

Tamim, 6 II 2008 r.

Szanowna Pani,

Dziękujemy za list z 22 stycznia  
br i odesłanie pakietowem  
otrzymanie Odznaki Pamięci.

Będziemy wdzięczne jeżeli  
prześle Pani do nas kserokopie  
dokumentu, o którym wspomina  
Pani w liście, dotyczący je  
do Pani teżki osobowej.

Pani Profesor przekazuje serdecz-  
ne pozdrowienia i życzenie  
zdrowia.

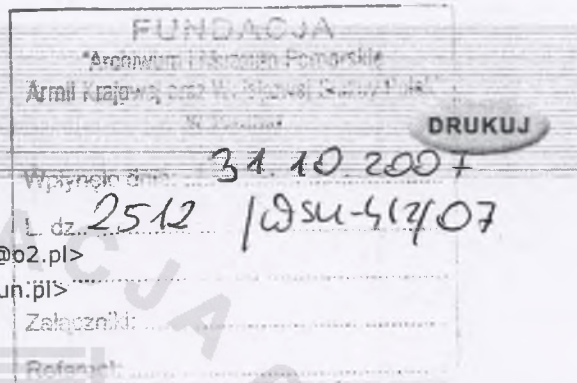
Z wyrazami szacunku

Dorota Kwamp  
Sekretarka prof. Elżbiety Lewickiej



N. 652/07

B48



kopie

Wydrukowane ze stron: poczta.wp.pl

**Od:** Jacek A. Likowski <jacek-a-likowski@o2.pl>  
**Do:** <fapak@wp.pl>, <archAK@um.torun.pl>  
**Data:** Środa, 31 2007 12:55  
**Temat:** Fw: Do prof. Zawackiej

Wygląd tego dokumentu może różnić się od oryginalnego, ponieważ zostały zablokowane niebezpieczne elementy w treści...  
[Odblokuj](#) [Zawsze ufaj temu nadawcy](#) [Zgłoś uwagi](#) [Ukryj komunikat](#)

----- Wiadomość oryginalna -----  
**Od:** Jacek A. Likowski  
**Do:** archAK@um.torun.pl  
**Wysłano:** 31 października 2007 12:29  
**Temat:** Do prof. Zawackiej

Szanowni Państwo,

Moja Matka, Genowefa Likowska, kombatantka z Batalionu Kobiecego im. Emilii Plater, pragnie przestać swoje wspomnienia wojenne swojej przyjaciółce, prof. Zawackiej.

Mam nadzieję, że nie będzie naduzyciem Państwa uprzejmości prośba o wydrukowanie załączonego tekstu i przekazanie go Pani Profesor.

Mimo, że moja Matka, obecnie 87-letnia, wróciła do Ojczyzny ze Wschodu (deportacja z Kobrynia do Kazachstanu) i w AK nie działała, uznają Państwo za możliwe i celowe dołączenie tych wspomnień do swojego archiwum.

NB. W AK działał mój śp. Ojciec, który pełnił służbę w ochronie radiostacji we wsi Kolomania, z której to radiostacji Delegat Rządu na Kraj komunikował się z Londynem. Brał też Ojciec udział w skutecznym zamachu na bardzo niebezpiecznego gestapowca Wittka i od 1987 r. w parku miejskim w Kielcach stoi pomnik upamiętniający ten czyn mego Ojca i jego towarzyszy broni.

Pozostaję z szacunkiem,

Jacek A. Likowski  
0 605 765 618

P.S. Numer telefonu na pieczętce Fundacji umieszczonej na kopercie, w której moja Matka otrzymała zaproszenie na zbliżającą się sesję naukową, jest albo niedostatecznie nieczytelny, albo nieaktualny i nie mogłem skomunikować się z Państwem telefonicznie.  
JAL



Delunh - Lihovska Penelope  
01-523 W-HE  
tel. 2

W-HE 10.07.03

<b>FUNDACJA</b> "Archiwum i Muzeum Pomorskie Armii Krajowej oraz Wojskowej Służby Polek w Toruniu"	
Wpłynęło dnia:	16.07.2003
L. dz.	3536/wsk-412/03
KR	
Załączniki:	
Podpis:	P. Hoj

Drogi Towarzyszu Bronisławie  
Przesyłam moje wspomnienia  
pracy oficerskiej polskiej w szpitalu  
Nr. 67 (Evokubaryjny) w Lublinie,  
a następnie w Bydgoszczy, laboratorystę  
jeseli nie nie wnoszą moją "laboratorystę"  
proszę wpisać do przydatkowego  
kole. Szczęść wyserdecznie  
pозdrówienia i jeżeli  
można o Rilka Stoh -  
Lihovska



Wylądowało dnia 19.08.2002 w 13.08.02  
L. d. 3048/404.

Droga Pani Długo, o.o.  
Pani słoń, a ile nauki - dzięki  
Przesyłam słońsiem polityce  
Nie jest to "elitarne" polityce,  
ale... takie + rzeczy były.  
Tydzień Pani co do tego o apelu.  
Wolność przykroci, ogrom  
języka jak do obce, że Pani  
profesor nie może być, że Pani  
przyjeżdża "tak przez się" to  
sprawę, dzięki nie wstępu  
i wszystkie dzieła i...  
Postaracie się być, przesłane  
do tego celu u...  
AK

P.S.  
jesli by toby mozliwe zaproszenie  
Anny Jakubczyk - Tatariewicz,  
by toby b. dobre, jest ona znana  
publicystka "Polityki" "Przebiegi"  
pani o dziej wiedzy i...  
Adres [W. W.] Poperska 8m 18  
00-367 warszawa by toby...  
zaproszenie do tej po jej...  
Lutopu.



7.06.2001.

Stacionarna Pani,

preprosiam, ze tak dlugo zapraszam  
z wystawieniem zdjecia.

Serdecznie dziękuję za przesłanie  
„Informatora” - proszę o następną, a ew.  
za załączenie powodowy.

Dziękuję serdecznie za otrzymanie  
i wytrwały ogólnego serdecznie  
za pracę nad dokumentacją  
udziału Polak w II wojnie światowej

J. Olszacki-Likowski

01-523 W-42

Wpłynęło dnia 12.06  
Ldz. 2463 W-42 2001



Toruń, dnia 15 II 2001r.

FUNDACJA *Rojewska*  
Archiwum Pomorskie Armii Krajowej  
ul. W. Garbary 2, tel. 85-22-186  
87-100 TORUŃ

Państwo Jan i Genowefa Likowscy

1.dz.301 WSK 2001

01- 523 Warszawa

Wielce Szanowni Państwo,

W imieniu p. prof. Elżbiety Zawackiej i całego zespołu dokumentalistek Archiwum WSK serdecznie pozdrawiam. Z całego serca dziękuję za przekazywane dary pieniężne. To dzięki takim ofiarodawcom jak Szanowni Państwo możemy kontynuować nasze prace archiwalne i wydawnicze.

Jestem dokumentalistką Archiwum WSK, zajmuję się opracowywaniem archiwaliów kobiet - żołnierzy I i II Armii WP. Porządkując materiały w Pani teczce osobowej o numerze inwentarza 520/WSK, zapoznałam się z bardzo interesującą i cenną relacją. Uprzejmie proszę Panią o przysłanie zdjęcia. Może być to zdjęcie nawet z okresu powojennego ( legitymacyjne). Mamy ładne 3 kserokopie frontowych zdjęć Pani. Myślę, że nasze kontakty będą przyjazne i trwałe. Wysyłam Państwu w darze od Fundacji wydany na jubileusz X- lecia Informator o zbiorach Fundacji „Archiwum Pomorskie Armii Krajowej”.

Jeszcze raz dziękując za pamięć o nas, życzę Państwu wiele zdrowia i pomyślności z nadzieją dalszej współpracy z Memoriałem Generał Marii Wittek.

Z wyrazami głębokiego szacunku

*Anna Rojewska*

mgr Anna Rojewska

Dokumentalistka Archiwum WSK





# FUNDACJA

## ARCHIWUM POMORSKIE ARMII KRAJOWEJ

12 UL. WIELKIE GABRZY 2 • 83-100 TORUŃ • TEL. 41 23 12 12  
KONTAKT: WITKOWSKI@AKWP.KRZYKOWY.N.ODDZIAŁ.W.TORUNIU@P.AKWP.PL

L. ob. 38/1954/198 - wywołano; list u 82

Toruń 2.11.1998r.

Państwo Jan i Genowefa Likowscy  
01-523 Warszawa, ul.:

Szanowni Państwo !

W odpowiedzi na list z 6 stycznia br., dziękując za miłe życzenia, uprzejmie informuję, że Memoriał Gen. Marii Wittek, działający przy Fundacji Archiwum Pomorskie AK w Toruniu, jest zainteresowany udziałem w ewentualnym Sympozjum w Krakowie w 1999r. zainicjowanym przez Światową Federację Weteranów; może też uczestniczyć w jego organizacji.

Proszę uprzejmie o jakieś materiały informujące o dotychczasowej działalności Federacji oraz o adres i jakieś dane o dr Marku Hegmajer.

Z wyrazami szacunku i pozdrowieniem

Przewodnicząca Rady Fundacji  
Prof. dr hab. Elżbieta Zawacka

zał.:

- 1/ Komunikaty Memoriału Gen. Marii Wittek ( nr 1-4 )
- 2/ Druczek "zgłoszenia" do Koła Przyjaciół Memoriału ( 2 egz. )



Jan i Genowefa  
LIKOWSCY

Warszawa 6. stycznia 1998 r.

01-528 Warszawa

tel.:

Wpłynęło dnia 12.1.98

Ldz. 38/WSK/98

Szanowna Pani  
prof.dr hab. Elżbieta Zawacka  
Toruń 87-100  
ul. Gagarina 136 m 26

Wielce Szanowna Pani Profesor !

Piszę ten list z pewnym opóźnieniem, gdyż wraz z Małżonką chcieliśmy złożyć najserdeczniejsze życzenia zdrowia i powodzenia w Nowym Roku. Tylko kłopoty ze zdrowiem trochę opóźniły niniejsze pismo. Prosimy oboje o wybaczenie.

Równocześnie chciałem poinformować, że nasza polska działalność w Światowej Federacji Weteranów /FMAC-WVF/ przyniosła w Seulu, gdzie byliśmy we trójkę - pozytywny rezultat. Wybrano mianowicie dr Marka Hagnajera /52 l./ Sekretarzem Generalnym Federacji, co umożliwi nam znaczniejsze ruchy na obszarze tej wielkiej międzynarodowej organizacji. W Seulu proponowano nam, by w 1999 r. zorganizować w Krakowie obrady "Standing Committee on European Affairs" co jest zgromadzeniem europejskich organizacji kombatanckich. Zapewne uda się to przeprowadzić i jakoś wydostaniemy pieniądze od rządu na oprawę ceremonialną i merytoryczną. W ramach tego programu powstała już myśl, by - jak to bywa w zwyczaju Federacji - zorganizować symponjum; proponowałem temat "Kobiety w II wojnie światowej". Zaprosiłoby się do wygłoszenia konkretnych tematów żołnierzy-kobiety ze Wschodu, z Południa, a szczególnie z Jugosławii, a także z Zachodu z Amerykankami łącznie. Z referatów powstałoby odpowiednie wydawnictwo, które stałoby się - tak myślę - ciekawą pozycją historyczną.

W trakcie wstępnych, niezobowiązujących rozmów na ten temat wymieniano Szanowną Panią Profesorkę jako osobę prowadzącą polskie tematy tego sympozjum a gdyby się Sz. Pani przy rozmowach konkretnych już zgodziła - także całość tej imprezy, która trwałaby jeden dzień. Podkreślałem, że jest to dopiero propozycja wstępna, a obrady SCEA odbyłyby się w końcu maja lub początku sierpnia w Krakowie w 1999 r..



Propozycje wstąpienia

Władze Kom. VI Sejm. Kombatantów  
i Kasarzy obiecały kontakty i umożliwienie  
nawrotów

Jan i Genowefa Mr Kom. Sejm. 412

zob. 97. Pałki n. cz. 1 s. 1. - v 10.05





Wpłynęło dnia 24. 11. 97 W-WA 7. 11. 1997  
Ldz. 16911 WSK192

Milcze Szanowna Pani Profesor,  
pragnę się usprawiedliwić, że tak  
późno przekazyję moje przeżycia  
wojenne (Syberia, Batalion Kobiec  
oficer 2. W.P. - w latach 1943 - gru-  
dnia 1945) oraz następstwo u mnie  
gwałtowne pogorszenie zdrowia - a  
mianowicie wewnątrzne uszkodzenie  
endoprotezy stawu biodrowego. Po us-  
pewnych badaniach w końcu sierpnia  
wykonano operację wszczepienia  
nowej endoprotezy. Choćby teraz, po  
1,5 mies pobytu w szpitalu, na oddziale  
Kulach.

Wydaje się, że wypełniłam życzenie  
Pani Profesor.

Łożę wyrosły głęboko szacunku,  
wrosł z chęcią do zdrowia i kontynuacji  
tej wartościowej pracy historycznej.  
Geneżeta Belmuk - Litwiska



Jan i Genowefa  
LIKOWSCY

01-523 Warszawa

Wpłynęło dnia 20.12.96

L.dz. 1570/1996

Warszawa 12. grudnia 1996 r.

48

W. Pani  
Prof. dr hab. Elżbieta Zawacka  
ul. Gagarina 136 m 26  
87-100 TORUN

Wielce Szanowna Pani Profesor !

Z prawdziwą radością i satysfakcją przeczytaliśmy oboje zarówno życzenia, jak i list. Przyznamy, że podziwialiśmy sprawność Sz. Pani w czasie obrad, no i energię. Piszę ten list - gdyż moja Małżonka parę dni po pięknej toruńskiej imprezie przeszła operację oka /zaćma/, która dobrze się udała, lecz nie może pisać, gdyż trzeba się pochylić, a tego lekarz zabronił.

Przesyłamy nasze wypowiedzi - łącznie z listem; natomiast losy wojennej mojej Małżonki prześlemy niebawem.

Oczywiście, gdy tylko Sz. Pani napisze o możliwości spotkania w Toruniu, gotów jestem przyjechać - także, jeśli trzeba, z Małżonką. Chwilowo informuję, że zebrałem pięć Pań-Kombatantek, by przedyskutować z nimi możliwość utworzenia "Komitetu Kombatantek Polskich". Chwilowo sprawa jest dyskusyjna, choć mam solenny zamiar doprowadzić rzecz do tego, by ow "komitet" stał się prosto samodzielnym stowarzyszeniem. Takie zebranie, mam nadzieję - już konstytucyjne - planuje się na ok. 20. stycznia 1997 r. Zależy mi na tym bardzo, gdyż projektowana jest konferencja kombatantka krajów Europy Centralnej i Wschodniej w Bratysławie w czerwcu. Tam zaś mam zamiar zainicjować spotkanie kobiet-kombatantek z tego obszaru, by te narodowe środowiska wzięły udział w pracach SConW - prezentując, co kobiety działały w czasie II wojny światowej. Miałem okazję przekonać się, po wypowiedzi mojej Małżonki w Nikosii, że wiedzą tam bardzo niewiele o losach polskich dziewcząt i kobiet.

Mam jeszcze jeden daleko idący projekt. Otóż, jeśli rząd da na ten cel trochę pieniędzy - mam zamiar na General Assamble w Seulu /listopad 1997 r./ zaprosić Radę Generalną FMAC-WVF do Krakowa. Z reguły w czasie takiej imprezy poświęca się dzień - lub pół dnia na sympozjum o jednym z tematów dotyczących kombatantów. uważam, że byłoby znakomicie, korzystając z dorobku Archiwum AK i ostatniego sympozjum urządzić właśnie imprezę o roli kobiet polskich w II wojnie światowej, a równocześnie dopuścić do głosu refe-

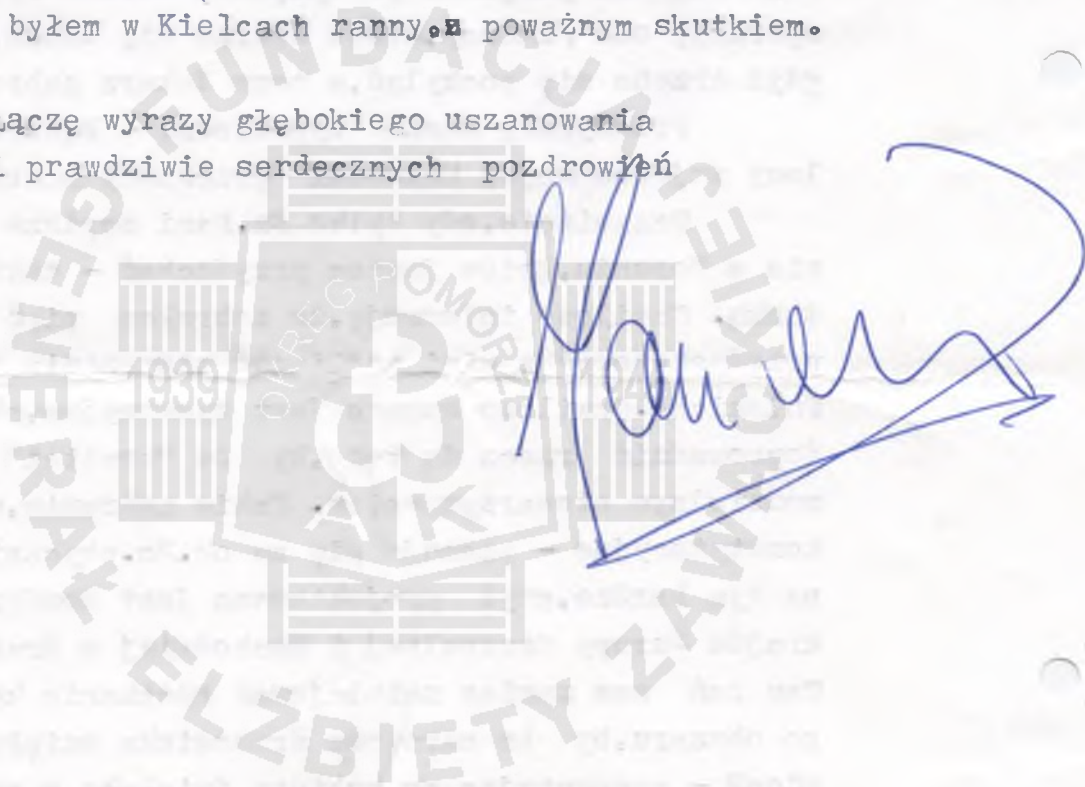


rentki np. z Jugosławii, Ukrainy, Rosji, Białorusi - z tekstami wcześniej przez nas akceptowanymi, by trzymały się linii sympozjum, a nie tworzyły niewłaściwej linii propagandowej nawiązującej do przeszłości, całkowicie minionej. Oczywiście pomysł Rady Generalnej trzeba najprzód zrealizować od strony sponsora finansowego, lecz zdaje się, że mamy za sobą Urząd d/sKombatantów i Osób Represjonowanych.

Uważam poza tym, że właściwym byłoby zaprosić Panią Profesor przynajmniej jako Honorową Przewodniczącą wspomnianego wcześniej Komitetu.

Na zakończenie - parę słów o sobie. Jestem b. żołnierzem Armii Krajowej, należałem do oddziałów dywersyjno-bojowych; uczestniczyłem w zamachach ulicznych - i przy takiej okazji 15. czerwca 1944 roku byłem w Kielcach ranny, z poważnym skutkiem.

Łączę wyrazy głębokiego uszanowania  
i prawdziwie serdecznych pozdrowień





Likowscy

9 V 97

412

przedstawicielstwo Memoriatu w ZYW (48)  
kontakt zagraniczny dla Memoriatu  
dotarcie do kombatantki  
zagranicą z

żone Odemk  
przedstawicielstwa KWP

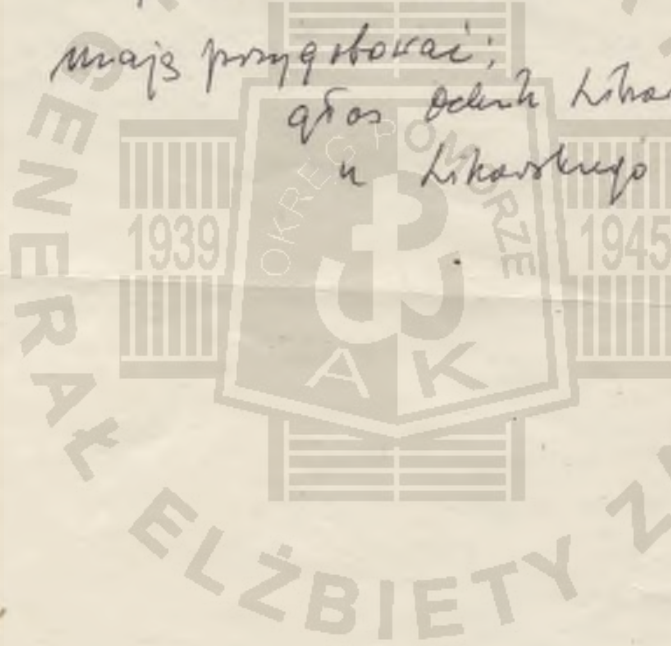
majs przygotować:

adres Odemk Licharskiej  
u Licharskiej

Likowscy

Informacja do drukarni "Głos"

Mwe 9. V 97 w Remy kochanki





P. Likowski

jakie inicjatywy prowadzić w Krynicy

Polki - kombatantki (z wyjątkiem na Kamb)

dla

1/ obrony przed wojaczką - kombat - polki

2/ dofinansowanie listy starby kombat

3/ referendum  $\rightarrow$  prof. Kowalczyk wiedeński

Swiat Federacji Kamb F M Am. Coi.

z Łódź  $\rightarrow$  przedst. ZGW, 522 DOK, 2 Kamb RP



Likowsky

290487

412  
48

Szanowni Drodzy Państwo,  
Przesyłam Państwu sprawozdanie z mojej  
formalnej Serji - Zjazd (opóźnione z powodu  
mojej choroby)

Chciałoby być w II części „Słuszy Półki ...”,  
która wprost wyjdzie z druku, miejsce  
Państwa obywateli „Głos” 1945

Będę w Warszawie dnia 9 maja br. Mogłaby  
mnie z Państwem spotkać u p. Remy Laskowskiej  
ul Karłowicza 27 1/2, tel 49 62 17, godz 18

Z wyrazami pozdrowienia

ΣΣ

Spółkoma w Wron - zob c d.



Korespondencja WSK sierpiec  
16<sup>xii</sup> - Likowski Jan gen. 48





Toruń, dnia .....<sup>23.</sup> 03. 2000 r.

1.dz.651/WSK/2000

Państwo Genowefa i Jan Likowscy  
01-593 Warszawa,

Szanowni Państwo,

Jak wynika z wyciągów bankowych stało się już tradycją, że Państwo wspieracie naszą działalność. Tradycyjnie też pragnę Państwu podziękować za te dary. Bowiem, jak wiecie już Państwo, tylko dzięki takiej ofiarności nasza Fundacja może sprawnie funkcjonować realizując założenia statutowe.

Z poważaniem

*K. Minczykowska*

Katarzyna Minczykowska  
Dokumentalistka Archiwum WSK  
przy Fundacji „Archiwum Pomorskie AK”

Ps.

*Szanowna Pani,*

*Pomógłby Pani teżkę dotrzeć do fotografii, które Pani do nas przysłała (załączone kserokopie). Proszę jednak, o ile jest to możliwe, o dokończenie ich opisu - zwłaszcza jeżeli chodzi o daty. Planujemy bowiem wydać, w przyszłości, album fotografii WSK. Dlatego też byłabym wdzięczna gdyby mogła Pani*



pracy stać nam oryginalny bóg kolonowe  
kserokopie lub fotografie zeskanowane. Oczywiście  
nie gwarantujemy opublikowania tej edycji,  
gdyż jesteśmy dopiero na etapie gromadzenia,  
ale z pewnością jakość wyklucza je zupełnie.

Z poważaniem

K. Niemcewicz





Toruń, dnia 25 VIII 1999r.

Szanowni Państwo,

W imieniu Zarządu Memoriału Generał  
Marii Wittek działającego przy Fundacji  
Archiwum Pomorskie AK w Toruniu, bardzo  
dziękujemy za dar pieniężny w wysokości 25 zł  
na naszą działalność. Tylko dzięki takiej ofiarności  
możemy gromadzić i archiwizować materiały  
oraz wydawać książki.

Z poważaniem

*M. Witek*

Katarzyna Mincezykowska

Dokumentalistka Archiwum WSK



WSK-  
-AK  
POW  
PWK

FUNDACJA  
MEMORIAŁ GENERAŁ  
MARIII WITTEK  
ul. Wielkie Garbary 2, 87-100 Toruń  
Archiwum Pomorskie Armii Krajowej  
fax/☎ (0-56) 65-22-186  
Konto: WBK II Oddział w Toruniu  
10901506-4675-128-00-0  
r.dn/2093/MSK/9A

1. Szanowni Państwo!  
GENOMEFA: TAN  
Zikowsky  
01-523 WARSZAWA





Prof. dr hab. Elżbieta Zawacka  
ul. Gagarina 136 m 26, tel. 417-344  
87-100 TORUŃ

Torun 27 II 98  
Państwo Jan i Genowefa Litwaczy

Szanowni, Drodzy Państwo,

*Wnio*  
Po napisaniu listu z 2 II 98 zadzwoniłam, tak że nawet zapomniało ten list wysłać.

Obejmu sprawę zajęć jej mi mogę -  
zadzwonił inny telefon, do Zaleskiej

ale jest w Krakowie ma ona dwie linie  
prezentacji jej przez Krystynę  
Mojtowicz, ul. Czarnowyska 97/17/10

(referowała me Zjednoczenie toruńskim  
XI 96r, w którym Państwo uczestni-  
czyliście). Ma ona możliwość

kontaktowania się, z kimkolwiek  
w Krakowie, może kontaktować się  
aktywnie jako organizatorka i  
referentka me Sesi

Po wyodrębnieniu się jej wyślą aby  
się do sprawy

Trzymam serce przy

Z wyrazami szacunku i pozdrowień

Elżbieta Zawacka

nie wiem  
wyjde 4 Maximalisty  
refor...

Torini 26 stycznia 98

Pani starsza Janina Gnowiecka di Karoscy  
61523 Wierzbowa, ul.

Główny Poinstrze,  
W opowieści  
miejscowi informacja, że Memoriał Gen. Marinko Heli, działający  
przy Fundacji Archiwum Powstania AK w Toruniu, jest zamierzone  
Pewnym udziałem w uczestnictwie Sympozjum w Krakowie w 1999r,  
zamierzonym przez Struktury Federacji Wotwanskiej; może być  
mierzonymi \$ 15 jego programem.

Przy okazji o jeden materiał informacyjny o dotychczas  
wzrosty działalności Federacji oraz o adresie i miejscu domowego  
dr. Marka Hagi...

Z wyrazami szacunku i pozdrowienia  
S. B. Paweł Kucharski Reżyser Filmowy

(dokładnie za miłą z pewnością)

2-6/12 stycznia br.



Poczuwam się jednak już teraz do poinformowania Pani Profesor o tego typu planach.

Wraz z Małżonką składam najserdeczniejsze życzenia Noworoczne, możliwie duże zdrowia i dalszej, tak wspieranej, skutecznej pracy społecznej i historycznej

*Jan Kuryś J. Litworska*



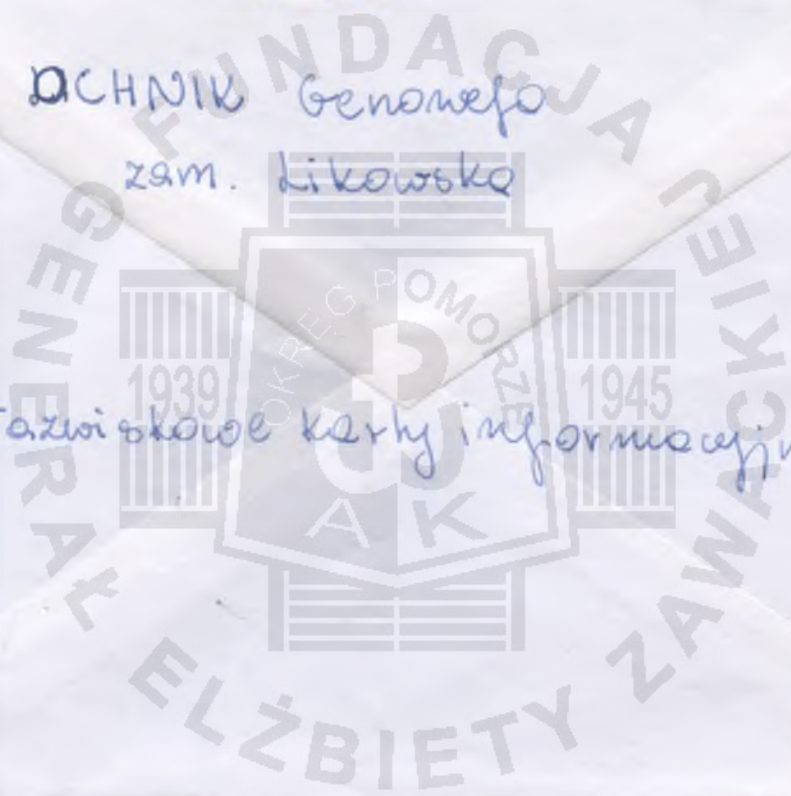
17217

T. 520

LWP

DCHNIK Genowefa  
zam. Likowska

v. Nazwiskowe karty informacyjne





i

T. 520

LWP

Ochronik Genowefa  
Liliowska

poniedziałek listopad 1944

Adres: Liliowska G. 01-523 Warszawa

"Dane o kamatanie - miejscowości w Serp."

E Ros. 12/96

i

T 520

LWP

Ochotnik Benowca  
zam. Likowka



Jlcal  
97



7. 5. 20

LWP

OCHNIK Genovefa

Księżka St. Drewnickiej

"Sąsiedzi z nad Olsą" 1945

W-wa 1985, Wyd. II, str. 78, 84

4. 12. 98

23

Dane o kombatancie-uczestniczce VI Sesji Naukowej nt. wojennej służby Polek w II wojnie światowej

1. Nazwisko w czasie wojny: *Ochnik*
2. Inne nazwiska z podaniem roku zmiany: *Likowska*
3. Imiona: *Genowefa*
4. Ps. ewent. przybrane nazwiska:
5. Stopień wojskowy, daty awansu: *Porucznik historyk od 1944*
6. Dokładny adres obecny: *01-523 Warszawa*
7. Kiedy przysłała lub przysła do Archiwum Fundacji w Toruniu własną relację o służbie napisaną wg. zał. schematu WSK *publikacja: 1982 (z magazynu Póki co żyjemy)*





**JAN LIKOWSKI**

członek Prezydium ZG Związku Inwalidów Wojennych RP  
członek Rady Generalnej Światowej Federacji  
Kombatantów FMAC – WWF

ul. Kopernika 3  
00-953 Warszawa  
tel. 265 147  
fax 261 438

ul. Prywatny:  
01-523 Warszawa  
tel. :



JAN LIKOWSKI

Member of Prasiidium Polish Union of War Disabled  
Member of General Council FMAC – WVP

3 Kopernika St.  
00-953 Warsaw, Poland  
Phone: 265 147  
fax 261 438

Private:

01-523 Warsaw  
Phone:



T. 520/WSK

LWP

OGNIK Geroweta

Zam. Likowska

VI. Fotografie

1. zdj. frontowe, ksero nt. 3



1. WSK - Jeczki osobowe (9)

2. T. 520/WSK

3. ksero - szt. 3

4.

5. OCHNIK GENOWEFA

zam. LIKOWSKA

6. N.N.

7. brak

8. Uwagi:

Ochmik Genowefa (z lewej strony)  
zam.

Likowska



1.

przeł szpitalca z walcem 64  
u szpitalca. żołnierze AK z  
parst. warszawskiego  
warszawskie nie przedają



Ochmnik Genowefa (z lewej strony)  
żonu.  
Lukowska



1.

przed Szpitalem Ewakuacji  
u Lotnicze. żołnierze AK z  
parst. warszawskiego  
maszyna nie poręczył







okolicie świątyni św. Krzysztofa z dziećmi i  
rodzicami









GENOWEFA

MINIHO

510